SEKRETY POLITYKÓW

Kukiz zdradza, co negocjuje z Kaczyńskim, Dudą i Ziobrą

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 10/313 4–10 MARCA 2019

Terlikowski miażdży raport w sprawie pedofilii w Kościele w Polsce

NOWA KSIĄŻKA SEMKA O SWEJ DZIAŁALNOŚCI W PODZIEMIU W PRL

Co się dzieje z Markiem Falentą?

ZNANY POLSKI MUZYK JERZY GRUNWALD:

Uciekłem ze Szwecji przed imigrantami

ISSN 2269-8500
Nr indeksu 288839
Nakład: 78 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 5ea8026dbc

KONFERENCJA I GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
POD HONOROWYM PATRONATEM

Ministerstwo Zdrowia

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WIZJONERZY ZDROWIA 2019

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2019–2023"

14 marca 2019 r., Warszawa

TYGODNIK „DO RZECZY" WŁĄCZA SIĘ W DYSKUSJĘ NA TEMAT KSZTAŁTU SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA.

Podczas konferencji „Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce 2019–2023 – Wizjonerzy Zdrowia" poruszymy najbardziej palące problemy ochrony zdrowia

- Służba zdrowia dla pacjenta
  – jak awansować w europejskich rankingach ocen pacjentów
- Czy Polskę stać na (nie)nowoczesne leczenie
- Choroby XXI wieku: priorytety leczenia 2019–2023

Podczas uroczystej wieczornej gali nagrodzimy wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, które zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.
Informacje i zgłoszenia do nagrody na: dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY WYDARZENIA:

PZU ZDROWIE, PHILIPS, MSD, novo nordisk, Takeda, AMGEN

PARTNERZY MERYTORYCZNI:

Polskie Towarzystwo Onkologiczne, PTD Polskie Towarzystwo Diabetologiczne, Polskie Towarzystwo Kardiologiczne, Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych, Polskie Stowarzyszenie Diabetyków, ALIVIA, Federacja Pacjentów Polskich, Fundacja Carita im. Wiesławy Adamiec, Polskie Towarzystwo Gastroenterologii, Fundacja OnkoCafe Razem Lepiej

eprasa.pl 5ea8026dbc

W RZECZY SAMEJ

Bohaterki ostatnich dni

PAWEŁ LISICKI

Czasem ogarniają mnie smutek i poczucie niemocy. Nie, nie zamierzam tu rozwodzić się nad swoimi odczuciami, jednak w tym konkretnym przypadku rzecz dotyczy kwestii – co się zowie – publicznych, a mianowicie podpisania przez prezydenta Rafała Trzaskowskiego tzw. karty LGBT. Smutek i poczucie niemocy wzięły się stąd, że wszystko to już obserwowałem, wszystko to widziałem i doskonale wiem, jak tego typu eksperymenty się kończą, w którą stronę zmierzają. Ku tyranii, zamordyzmowi i lewackiej tresurze. Tak było w Niemczech, we Francji, w krajach skandynawskich.

Jak mogą wyglądać w praktyce rozwój i efekty karty podpisanej przez Rafała Trzaskowskiego, dobrze pokazuje przykład Wielkiej Brytanii. Mało kto wie, że w 1988 r., za czasów wielkiej Margaret Thatcher, weszło tam w życie prawo, tzw. Section 26, chroniące dzieci szkolne przed promocją homoseksualizmu w trakcie lekcji wychowania seksualnego. W 2003 r. prawo to zostało zniesione, a dziś spiker parlamentu, John Bercow, nie tylko uważa tamto prawo za „najbardziej niegodziwy przykład legislacji w całym okresie powojennym", lecz także głosi, że prawa homoseksualistów, lesbijek, osób transpłciowych itd., itp. są ważniejsze niż wolność słowa. Z czego wynika szykanowanie, karanie i prześladowanie przeciwników ruchu LGBT. Jak widać w Wielkiej Brytanii, przejście od obrony dzieci przed propagandą homoseksualną do totalnej podległości rewolucjonistom zajęło ok. 30–40 lat. Czy tak będzie też w Polsce? Czy za sprawą ludzi pokroju Trzaskowskiego rozpocznie się proces powszechnej seksualizacji dzieci ze wszystkimi tego dramatycznymi skutkami?

Tego właśnie boję się najbardziej. Jestem w stanie wytrzymać brednie o tym, że w Warszawie jest 200 tys. osób LGBT (a niech sobie pan Trzaskowski tak uważa, teza jest równie prawdziwa jak ta, że w Warszawie jest milion Marsjan), podobnie mogę znieść informację, że ludzie ci są szczególnie narażeni na przemoc (według danych OBWE w 2017 r. wśród 886 przestępstw motywowanych nienawiścią jedynie pięć było związanych z orientacją seksualną). Naprawdę, niech pan Trzaskowski się pod tym podpisuje, niech w to wierzy, niech tak mówi, żyjemy w końcu w wolnym świecie, i jeśli znalazł odpowiednią liczbę tych, którzy to łykają, niech sobie tak będzie. Niech pan Trzaskowski – skoro odczuwa taką nieprzepartą potrzebę i głód wiedzy – sam odda się pod opiekę edukatorom seksualnym i niech sam zbada swoją orientację i poszuka w sobie odpowiednich strategii godzenia się z innością (nigdy nie jest za późno), a nawet niech jak prawdziwy postępowy polityk urządzi takie zbiorowe warsztaty dla swoich współpracowników i współpracowniczek, ale dzieci, proszę, niech oszczędzi. Od dzieci wara!

Oczywisty sposób seksualizacja w szkołach pociąga za sobą, co słusznie wytknęła zwolennikom „karty LGBT" Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, promocję pedofilii. Zresztą muszę powiedzieć, że postawa pani Nowak, to, że miała odwagę nazwać po imieniu ideologiczne szaleństwo, że się nie cofnęła, że namawia do walki z tą chorą ideologią, jest pierwszą dobrą rzeczą, jaka z całej tej historii wynika. Są jeszcze w Polsce ludzie sumienia, są odważne kobiety, które nie dały się zakrzyczeć i zastraszyć. Drugą taką bohaterką ostatnich dni okazała się Zofia Klepacka, polska mistrzyni windsurfingu. Wiem, jak trudno w takim środowisku sportowych, medialnych gwiazd zabrać głos, jak trudno przeciwstawić się postępowej poprawności. Jak trudno nie ulec owczemu pędowi i nie paplać jak reszta. A jednak Klepacka się na to zdobyła, a to, co powiedziała – że nie o taką Warszawę walczył jej dziadek w powstaniu – to sama prawda. Nie o taką, tęczowo-genderowo-bezpłciową, oddawali swoją krew inni. Tym bardziej obrzydliwe są ataki na nią tchórzliwych zwolenników LGBT. To jest ich stała metoda: każdego, kto się ośmieli im sprzeciwić, chcą zaszczuć i założyć mu kaganiec.

Może głos obu kobiet obudzi rodziców i nie pozwoli im poddać się dyktatowi homopropagandy, której celem jest przerobienie dzieci w „genderowo niezidentyfikowane osoby", w osobniki bez płci i bez tożsamości. Jedno jest pewne: podpisując „kartę LGBT", Rafał Trzaskowski dokonał zamachu na to, co zawsze było uważane za nienaruszalne prawo naturalne. Jedyne, czego nie wiem, to to, czy zrobił to z głupoty czy z ignorancji. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 5ea8026dbc

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z JERZYM GRUNWALDEM
SZWECJA BĘDZIE KALIFATEM
Z muzułmańskiej imigracji uczyniono rację stanu

19 PIOTR WŁOCZYK
KULT MULTI-KULTI

KRAJ

22 ROZMOWA Z PAWŁEM KUKIZEM
MOŻNA DAĆ TANIEJ NIŻ PIS
Żadna władza nie liczy się z opozycją

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ROZDAWACTWO

28 ROZMOWA Z TOMASZEM PORĘBĄ
MIEJSCE POLSKI JEST TYLKO W UE

32 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
Z PRASÓWKĄ DO PAPIEŻA

34 ŁUKASZ WARZECHA
WALKA O BROŃ

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OSCAR PO INDYJSKU

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
SZUKAJĄC FALENTY

KULTURA

42 ROZMOWA Z JERZYM ZELNIKIEM
TRZYNASTU GRZESZNYCH LUDZI
„Cena" Waldemara Łysiaka w Teatrze Telewizji

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
MISTRZ, MAŁGORZATA, MORFINA

48 PIOTR GOCIEK
CZŁOWIEK DOBREJ ROBOTY

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z PROF. ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
ROSJA – CIERPLIWY AGRESOR
Najgroźniejsza jest agentura wpływu

58 KAROL KAŹMIERCZAK
CZY MOSKWA JEST DZIŚ GROŹNA?

61 PIOTR SEMKA
WSZYSTKO ALBO NIC? DZIĘKUJĘ, NIE SKORZYSTAM

HISTORIA

64 PIOTR WOYCIECHOWSKI
ZAPASY ZE SŁUŻBAMI
Jak inwigilowano zapaśników w PRL-u

68 ROZMOWA Z PIOTREM SEMKĄ
CO SIĘ STAŁO Z „BORSUKIEM"

ŚWIAT

74 MACIEJ PIECZYŃSKI
LITWA (NIE) DLA POLAKÓW
Grybauskaitė nie zasługuje na order?

76 OLIVIER BAULT
UNIJNA WOJNA WEWNĘTRZNA

EKONOMIA

80 OLIVIER BAULT
DUŻY UZIEMIONY
Airbus postawił na zły model

82 JACEK PRZYBYLSKI
MILIARDY NA MIASTA PRZYSZŁOŚCI

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
MĘSKIE UBRANIE?
Strój nie różni już płci

90 ROZMOWA Z OPATEM SENIOREM BENEDYKTYNÓW W FONTGOMBAULT
ŻYCIE WEWNĘTRZNE KLASZTORU

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (72), WARZECHA (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), KUCHARCZYK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 5ea8026dbc

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu list od członka KRRiT polemizujący z fragmentem tekstu Łukasza Warzechy i odpowiedź autora. Głos oddajemy również naszej Czytelniczce z Krakowa. E-mail do rubryki z listami prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Gdzie jest prezydent" – Łukasz Warzecha, „DRz" 8/2019

W „DRz" z 18.02 br. redaktor Łukasz Warzecha postawił niepokojące pytanie: „Gdzie jest prezydent?". Następnie w długim wywodzie przywołał zdarzenia, które mają „być świadectwem autentycznej politycznej niemocy" prezydenta. Pośród nich opisał jego spotkanie z członkami KRRiT. Według red. Warzechy prezydent zaprosił Krajową Radę w odpowiedzi na powszechną krytykę materiałów w „Wiadomościach" TVP. Po spotkaniu wydano komunikat, ale nie miało to przecież, dalej według redaktora, żadnego wpływu na działania telewizji publicznej. Łukasz Warzecha dodatkowo poprzedza tę informację przypomnieniem o aktualnie procedowanym w parlamencie projekcie zmiany ustawy o opłatach abonamentowych i wskazuje, że będzie to „kolejne wyzwanie" stojące przed Andrzejem Dudą. Całą opowieść zamieszcza pod znamiennym śródtytułem „Niekonsekwencja". Ot, takie sobie wymieszanie zdarzeń i specyficzna logika w dowodzeniu z góry przyjętej tezy. Ten fragment artykułu jest bowiem oparty na fundamencie nieprawdziwym. Otóż Krajowa Rada (nie Andrzej Duda) prosiła o spotkanie, by złożyć prezydentowi coroczne sprawozdanie ze swojej działalności. Termin spotkania, po przyjęciu sprawozdania przez Sejm i Senat, ustalony pierwotnie na jesień ub.r., był przesuwany kilkakrotnie z powodu dodatkowych obowiązków prezydenta i ze względu na przykre wypadki losowe.

Pozostaje jeszcze kwestia, czy inne zdarzenia, przywołane przez red. Warzechę dla jednoznacznej odpowiedzi na pytanie tytułowe, mają równie solidne podstawy. Wątpliwości zdaje się być więcej.

Andrzej Sabatowski,
członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

Bardzo to pięknie, że powołany przez prezydenta Andrzeja Dudę członek KRRiT tegoż prezydenta broni. Warto docenić lojalność.

Oczywiście tłumaczenie o przesunięciu terminu spotkania z powodu „dodatkowych obowiązków prezydenta i przykrych wypadków losowych" jest absolutnie wystarczające i rozstrzyga sprawę. Jak wiadomo, towarzysz Gierek ustąpił ze stanowiska z powodu ciężkiej choroby, światowi przywódcy nie dali rady przybyć na pogrzeb Lecha Kaczyńskiego z powodu wybuchu wulkanu o trudnej nazwie, a europejscy przywódcy nie dotarli na bliskowschodni szczyt w Warszawie, bo mieli inne niecierpiące zwłoki sprawy. A może nawet przykre wypadki losowe.

Łukasz Warzecha

Naziści z kosmosu?

Muzeum Historyczne Miasta Krakowa ma między innymi oddział w tzw. Fabryce Schindlera. Chodzi mi o angielską nazwę wystawy w tym oddziale.

Nazwę polską „Kraków – czas okupacji 1939–1945" jeszcze można przełknąć. Ale nazwa angielska jest już nie do przyjęcia: „Kraków under Nazi Occupation 1939–1945". [www.mhk.pl/exhibitions/krakow-under-nazi-occupation-1939-1945].

Czy to jest strach przed użyciem słowa „niemiecki"? Jakoś Niemcy nie wstydzili się nas okupować i z dumą śpiewali „Deutschland, Deutschland über alles". [...]

Jeśli dalej będą funkcjonować u nas takie nazwy jak „nazistowska okupacja" bez podawania, że była to okupacja niemiecka, to nie minie wiele lat i cały świat uzna, że w czasie II wojny Polskę okupowali polscy naziści (a wszyscy Niemcy byli w ruchu oporu). Zagraniczni turyści już tak uważają.

krakowianka

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Marek Budzisz**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Piotr Bławicki/DDTVN/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 5ea8026dbc

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Sprawdź, z kim będziesz świętował

Doktor Inka Słodkowska to jedna z tych niezwykle zasłużonych postaci ruchu Solidarności z lat 1980–1989, które nigdy nie pchały się na pierwszy plan. Ostatnio skupia się głównie na pracy naukowej.

A jednak całkiem niedawno zasłużona socjolog postanowiła znów zabrać głos na łamach „Rzeczpospolitej". Co ją do tego skłoniło?

Doktor Słodkowska odniosła się do słabo zauważonej zapowiedzi Aleksandry Dulkiewicz – pełniącej obowiązki prezydenta Gdańska – na temat planowanego kształtu obchodów 4 czerwca nad Motławą.

Jak wskazuje dr Słodkowska: „Komitet honorowy, pod którego patronatem uroczystości te będą się odbywać, ma zostać utworzony z wszystkich żyjących uczestników obrad Okrągłego Stołu (obradował od 4 lutego do 4 kwietnia 1989 r.). Należy rozumieć, że będą oni też gośćmi honorowymi tych wydarzeń. To położenie nacisku na Okrągły Stół zaskakuje. Bezsprzecznie było to ważne wydarzenie dla polskiej transformacji ustrojowej. Bohaterami wyborów czerwcowych są jednak działaczki i działacze komitetów obywatelskich Solidarności z całego kraju. Oni przeprowadzili kampanię wyborczą »drużyny Lecha« i to ich dziełem jest historyczne zwycięstwo Solidarności z 4 czerwca".

Jak pisze dr Słodkowska: „Była to ponadstutysięczna rzesza wolontariuszy i wolontariuszek, która sprawiła, że w okresie od 4 kwietnia do 4 czerwca 1989 roku Polska zmieniła się w kraj wolnych ludzi. Był to przykład działania społeczeństwa obywatelskiego – pospolite ruszenie, działające jak doskonale wyćwiczona i zdyscyplinowana armia. [...] Dziś w wypowiedzi [...] Aleksandry Dulkiewicz znalazły się jedynie enigmatyczne słowa, że »drugi filar tych obchodów to odwołanie się do komitetów obywatelskich«, sugerujące drugorzędną rolę działaczy komitetowych w planowanych uroczystościach".

Znana badaczka ma wyjątkowe prawo do obrony pierwszoplanowej roli działaczy komitetów Solidarności w obchodach 4 czerwca.

Sama w 1989 r. pracowała w Zespole ds. Kontaktów z Regionami Ogólnopolskiego Biura Wyborczego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, a potem poświęciła wiele prac wyborom do Sejmu kontraktowego. Rozumiem więc jej zdziwienie i rozgoryczenie.

Tyle że taktyka wysunięcia na pierwszy plan uczestników Okrągłego Stołu nie wzięła się znikąd. Skoro PO, inaugurując Koalicję Europejską, wyeksponowała Włodzimierza Cimoszewicza i Leszka Millera, to trudno podejrzewać, by chciała się ich wstydzić przy swoich obchodach 4 czerwca.

Jeśli jacyś działacze dawnych Komitetów „S" chcą skorzystać z zaproszeń pani Dulkiewicz do Gdańska, to niech przeczytają uważnie tekst Inki Słodkowskiej. Zawsze warto wiedzieć przed czasem, w co się można władować. ©℗

FOT. AP/EAST NEWS

SZCZYT KIM-TRUMP: STAN WOJNY TRWA

Z ubiegłotygodniowym szczytem przywódców Stanów Zjednoczonych i Korei Północnej wiązano wielkie nadzieje na zawarcie pokoju – oba kraje formalnie od siedmiu dekad pozostają w stanie wojny – i na denuklearyzację Półwyspu Koreańskiego. Niestety, sam szczyt niespodziewanie skrócono. Nie podpisano również żadnego porozumienia. Kim Dzong Un w zamian za ustępstwa ze strony reżimu miał bowiem zażądać od Donalda Trumpa zniesienia wszelkich sankcji, a na to USA nie chcą się zgodzić. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

Netanjahu na celowniku służb

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Prokurator generalny Izraela Awichaj Mandelblit zapowiedział w zeszłym tygodniu, że zamierza postawić premiera Beniamina Netanjahu w stan oskarżenia w sprawach dotyczących korupcji, nadużycia władzy i defraudacji.

Jeśli Netanjahu usłyszy zarzuty, to kierowana przez niego partia Likud może stracić zdolność stworzenia koalicji, a on sam mógłby zostać zmuszony do ustąpienia ze stanowiska szefa rządu. Sam premier Izraela w wystąpieniu telewizyjnym działania prokuratury nazwał „bezprecedensowym polowaniem na czarownice" i zagrożeniem dla demokracji.

W jego ocenie oskarżenia są bezpodstawne i wysuwane akurat w tym momencie, aby wpłynąć na wynik kwietniowych wyborów parlamentarnych. ***(jap)*** ©℗

POLSKI KONSUL Z MEDALEM

Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro uhonorował w ubiegłym tygodniu medalem „Zasłużony dla Wymiaru Sprawiedliwości" wydalonego niedawno z Norwegii polskiego konsula Sławomira Kowalskiego. – Państwo polskie powinno opiekować się swoimi dziećmi gdziekolwiek się znajdują – mówił Ziobro podczas wręczania medalu. I podkreślał, że Kowalski wielokrotnie wykazywał odwagę i zaangażowanie w pomoc polskim dzieciom.

Sławomir Kowalski udzielił pomocy 150 polskim rodzinom w związku ze sprawami o odebranie dzieci przez norweski urząd Barnevernet. W 2016 r. otrzymał Nagrodę im. Andrzeja Kremera „Konsul Roku", która jest przyznawana przez ministra spraw zagranicznych wyróżniającym się urzędnikom konsularnym. ***(luz)*** ©℗

NAGRODA DLA ZESPOŁU MAZOWSZE

Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze" im. Tadeusza Sygietyńskiego został laureatem Nagrody im. ks. bp. Romana Andrzejewskiego za rok 2018. Wyróżnienia przyznaje Fundacja „Solidarna Wieś" pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy". Ustanowiona w 2004 r. przez Fundację „Solidarna Wieś" Nagroda im. ks. bp. Romana Andrzejewskiego przyznawana jest za zasługi dla rolnictwa i rozwoju cywilizacyjnego polskiej wsi i małych miast. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

25 lat WYDAWNICTWA ALBATROS

Zachwycająca łamigłówka!

Agatha Christe, która triumfalnie wkroczyła w XXI wiek.

O jedenastej wieczorem Evelyn Hardcastle zostanie zamordowana.

Masz osiem dni i osiem wcieleń.

Pozwolimy ci odejść pod warunkiem, że odkryjesz, kto jest zabójcą.

Zrozumiano? W takim razie zaczynamy...

WYDAWNICTWO ALBATROS

Książki dostępne w KSIĘGARNIE Świat Książki i na swiatksiazki.pl

eprasa.pl 5ea8026dbc

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Sport w czasach ideolo

Obiegowa mądrość powiada, że każda rewolucja pożera w końcu swoje dzieci. Rewolucja seksualna nie jest wyjątkiem. Wybitna tenisistka Martina Návratilová została wykluczona z organizacji Athlete Ally, promującej sportowców LGBT. Kilkanaście lat temu Návratilová była dla działaczy Athlete Ally ikoną i natchnieniem, bo publicznie ogłosiła, że jest biseksualna, a potem związała się z inną kobietą.

„Transpłciowym" sportowcom wystarcza zmiana w papierach, dokonana na podstawie deklaracji, że czują się kobietami

Wszystko zmieniło się dosłownie z dnia na dzień, gdy okazało się jednak, że lesbijskie skłonności nie odebrały tenisistce w wymaganym stopniu rozumu i popadła ona w niewybaczalną herezję, określoną mianem „transfobii". Transfobia wyraziła się w publicznym stwierdzeniu, że dopuszczenie do rywalizacji w dyscyplinach kobiecych podających się za kobiety mężczyzn praktycznie zabija kobiecy sport, że jest to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i zwyczajnie nieuczciwe, bo najlepiej nawet wytrenowana i najbardziej uzdolniona sportsmenka w takiej rywalizacji nie ma szans. Organizm mężczyzny jest zwyczajnie silniejszy i bardziej wytrzymały – ucięcie penisa i zastąpienie go imitacją narządów żeńskich tego nie zmienia.

Tym bardziej że stopniowe liberalizowanie prawa do „wyboru" płci sprawiło, iż takiej operacji już nie trzeba. Obecnie „transpłciowym" sportowcom wystarcza zmiana w papierach, dokonana na podstawie deklaracji, że czują się kobietami – a są miejsca, gdy nawet w papierach nie trzeba niczego ruszać. Takim szczególnie liberalnym pod tym względem miejscem jest np. amerykański stan Connecticut, gdzie ostatnio dwa nagradzane specjalnymi stypendiami tytuły mistrzowskie w biegach kobiet zgarnęło dwóch mężczyzn, którzy po prostu oświadczyli, że są kobietami, i nikt nie miał prawa (ani zresztą nie próbował) tego podważyć.

W tenisie nagrody są dużo większe niż owe stypendia. I, jak zauważyła Návratilová, nic nie stoi na przeszkodzie, aby facet, który je kobietom zgarnie sprzed nosa, zaraz potem znowu poczuł się mężczyzną i zabierając kasę do domu, śmiał się w kułak z całego tego nonsensu.

Cóż, na takie herezje odpowiedź mogła być tylko jedna. I lepiej, żeby Návratilová dobrze ją zrozumiała, bo jeśli nie przestanie tak gadać, to mogą jej jeszcze zabrać wszystkie zdobyte niegdyś tytuły i puchary. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Najciemniej pod latarnią

Z poczuciem pewnego dysonansu poznawczego i niesmaku obserwuję, jak lewicująca aktywistka Koalicji Europejskiej Joanna Scheuring-Wielgus oskarża na podstawie funta kłaków niewartego raportu fundacji „Nie lękajcie się" Kościół w Polsce o pedofilię i ochronę pedofilów, a koalicyjni politycy PO – dla doraźnych celów politycznych – życzliwie jej kibicują.

Diabeł ubrał się w ornat i na mszę ogonem dzwoni, można by powiedzieć, pamiętając np., że w jednej z głośniejszych w ostatnich latach afer pedofilskich skazany (w 2016 r.) gnieźnieński katecheta Rafał P. był... prominentnym działaczem tamtejszej Platformy. Albo też, że oskarżony w ubiegłym roku przez prokuraturę o molestowanie małoletnich dziewczynek Zbigniew A., był onegdaj swarzędzkim radnym PO, a w jego obronie stawała powiatowa radna tej partii. Czy też, że warszawscy działacze PO kwestionowali działania prokuratury oskarżającej (2011) o czyny pedofilskie radnego tej partii Łukasza M., a z kolei Marek L., były żoliborski samorządowiec PO, molestował kilkanaście nastolatek.

Gdyby stosować retorykę lewicowej sojuszniczki Schetyny – pani Scheuring-Wielgus – można by grzmieć o zaskakującej liczbie stwierdzonych w ostatnich latach przypadkach pedofilii wśród działaczy PO, jednak byłoby to równie nieuczciwe i bezzasadne jak próba kreowania Kościoła na zbiorowisko pedofilów.

Policyjne statystyki mówią jasno – nie ma ich wśród księży więcej niż w innych grupach zawodowych. Problemem jest jednak skuteczna walka z tym zjawiskiem. I tu aktywiści Koalicji Europejskiej mogą uderzyć się w pierś – ogłoszony w 2008 r. przez Donalda Tuska program farmakologicznej kastracji pedofilów już pod koniec rządów PO-PSL okazał się totalną klapą. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. JUSTYNA ROJEK/DDTVN/EAST NEWS

Z prof. Norbertem Maliszewskim, psychologiem społecznym, specjalistą ds. marketingu politycznego
rozmawia Maciej Pieczyński

Zaletą PiS jest wiarygodność

MACIEJ PIECZYŃSKI: Podczas ostatniej konwencji PiS złożył obietnice wyborcze, które mają kosztować ok. 40 mld zł rocznie. Czy to nie jest „rozdawnictwo"?

PROF. NORBERT MALISZEWSKI: Po pierwsze, każda partia – czy to PiS, czy to PO – finansuje swój program z pieniędzy podatników. Po drugie, to do wyborcy należy decyzja, który program będzie realizowany – czy bezpośrednie wsparcie np. dla rodzin w wychowaniu dzieci, czy np. orliki. Na tym właśnie polega demokracja. Stan finansów publicznych jest dziś niewątpliwie dużo lepszy niż za rządów PO-PSL, deficyt jest najniższy od 20 lat. PiS może więc pozwolić sobie na zwiększenie wsparcia dla rodzin wielodzietnych, seniorów czy ludzi młodych, dopiero zaczynających zawodowe życie. Sondaże pokazują, że wyborcy bardzo dobrze oceniają tego typu działania. Przez wiele lat mówiło się, że po trudnych latach transformacji państwo musi wreszcie zająć się niwelowaniem różnic społecznych, podzielić się owocami wzrostu gospodarczego, ograniczyć poziom biedy.

Tylko czy finanse publiczne wytrzymają spełnienie tych obietnic?

Stan finansów państwa jest bardzo dobry. PKB rośnie, w styczniu tego roku mamy ponad 6 mld zł nadwyżki. W tej sytuacji nie wydaje się, by te dodatkowe 40 mld zł zachwiało budżetem. Oczywiście, w końcu obiektywne przyczyny doprowadzą do spowolnienia wzrostu gospodarczego. Właśnie dlatego jednak przyda się dodatkowa stymulacja w postaci kolejnych transferów finansowych. Te pieniądze zostaną przecież w obiegu i będą napędzać gospodarkę.

PiS tyle obiecał, że opozycji będzie chyba trudno przelicytować partię rządzącą.

Pamiętajmy, że 13. emerytura czy 500 zł na pierwsze dziecko to postulaty formułowane wcześniej także przez obecną opozycję. Jednak kwestią zasadniczą nie jest tylko atrakcyjność obietnic, ale wiarygodność w ich spełnianiu. Z badań opinii publicznej jednoznacznie wynika, że obecnie rządzącej partii przypisuje się wiarygodność w dużo większym stopniu niż ugrupowaniom opozycyjnym, więc trudno będzie im przebić partię rządzącą.

Która ze złożonych przez PiS obietnic jest – z punktu widzenia zarówno marketingu politycznego, jak i realnych potrzeb państwa – najważniejsza?

Według badań wyborcy najlepiej postrzegają rozszerzenie programu „500+" oraz 13. emeryturę. W polskim społeczeństwie powszechne jest przekonanie, że emerytury są zbyt niskie, i spore obawy przed przyszłością, związane z kryzysem demograficznym. Dlatego duże jest też poparcie społeczne dla polityki prorodzinnej. Przekonują także dane o znacznym ograniczeniu ubóstwa wśród dzieci.

Część komentatorów zwróciła uwagę na pominięcie przez PiS nauczycieli i niepełnosprawnych w wyborczych obietnicach.

Wcale nie jest tak, że PiS nie przedstawił im żadnej oferty. Ogromne środki poszły na program „Dostępność plus", adresowany także do niepełnosprawnych. PiS obiecał też – niewątpliwie potrzebne – podwyżki dla nauczycieli. Natomiast warto zauważyć, że PiS nie stara się wspierać finansowo konkretnych grup zawodowych – aby nie powstała fala roszczeń, bo każdy chciałby zarabiać więcej – ale raczej chce tworzyć ambitne programy pomocowe, skierowane do ogółu społeczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O postępowej edukacji

Pisałem nieraz o kretynach, którzy we włoskich szkołach walczą o integrację dzieci imigrantów, likwidując szopki, choinki i jasełka. Najczęściej wbrew woli muzułmańskich rodziców. Donosiłem też o stukniętych przedszkolankach, które przebierają chłopców w sukienki i edukują dzieci w kwestii rodzin jednopłciowych.

Chciał porozmawiać z dziećmi o rasizmie i wpadł na pomysł przeprowadzenia eksperymentu edukacyjnego

To wszystko jednak furda, jeśli porównać to z tym, co wylęgło się w głowie nauczyciela w Foligno. Zastępował chorą koleżankę w nieznanej mu klasie 10-latków. Dostrzegł czarnego chłopca. Kazał mu stanąć pod oknem i rzucił: „Patrzcie, jaki brzydki jest ten czarny! Wam też się wydaje brzydki, co? Odwróć się tyłem, chłopcze, bo nie mogę na ciebie patrzeć".

Chłopiec poskarżył się w domu rodzicom. Inne dzieci też opowiedziały w domu o tym, co się stało w szkole. Rozpętało się piekło. O haniebnym incydencie donosiły wszystkie włoskie media: „Rasizm w szkole w Foligno!". W prasie ukazały się setki tekstów i analiz. W telewizjach wystąpiły tabuny trzęsących się z oburzenia ekspertów wszelkiej postępowej maści. Te histeryczne jeremiady, niezmiennie wieszczące powrót ustaw rasowych, kończyły się jednym wnioskiem: wszystkiemu winien niechętny migrantom szef Ligi, faszyzujący wicepremier Matteo Salvini.

Na heroldów postępu czekała jednak przykra niespodzianka. Okazało się, że czarny chłopiec nie padł ofiarą rasisty, ale ultrapostępowego nauczyciela, który na co dzień naucza przedmiotu o nazwie „alternatywa dla religii katolickiej". Jak wyjaśnił, chciał porozmawiać z dziećmi o rasizmie i wpadł na pomysł przeprowadzenia eksperymentu edukacyjnego. Postanowił pokazać klasie to, czego robić nie wolno, czyli dyskryminować z powodu koloru skóry. Naturalnie 10-latki nie pojęły tych szczytnych intencji i przeżyły szok. Zdaniem zideologizowanego nauczyciela-idioty eksperyment się jednak powiódł, bo dzieci były oburzone.

Tak czy inaczej nihil novi. Włoscy postępowcy eksperymentują na dzieciach, za co powinni zostać wylani z pracy i trafić na leczenie do domu wariatów. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Trzylistna koniczyna Grzesia

Polskie Stronnictwo Ludowe, idąc w ślady SLD, dołączyło do pęczniejącej przed wyborami Koalicji Europejskiej. I od razu zrobiło się weselej. „Witamy zielonych braci i siostry" – napisała Partia Zieloni. „Hodowcy norek i Zieloni ramię w ramię. Serio?" – zapytał jeden z internautów. „Nie ma miejsca w Polsce na hodowle futrzarskie i oczekujemy, że PSL też to rozumie" – odparli Zieloni. „Witamy PSL w #KoalicjaEuropejska! Wspólnie zwyciężymy dla Polski" – tweetnął entuzjastycznie Grzegorz Schetyna, ozdabiając wpis ikonkami flag polskiej i unijnej oraz... trzylistnej koniczyny. „Grześ, nie ta koniczynka. Czterolistna!" – odparli ludowcy, swojego tweeta z kolei ozdabiając emotikonem z kobietą łapiącą się za głowę.

Nie mniej pogodnie w samej Platformie. „Czytam, że Grzegorz Schetyna po trzech latach doczekał się akceptacji przez PiS spełnienia postulatu PO, czyli 500+ na pierwsze dziecko. Sławek Neumann zaś twierdzi, że propozycje PiS to tani populizm. Czyżby rozłam? :-)" – z troską zapytał Paweł Kukiz.

Również z troską nad rodzinami, które dostają populistyczne dodatki socjalne, pochylił się Leszek Balcerowicz. „Politycy lubią pokazywać, że dbają o dzieci. Najgorsi, np. Stalin, dbali w ten sposób, że zabijali ich rodziców" – zauważył. „Co 500+ albo trzynastka dla emerytów mają wspólnego z UE i europejskimi wartościami?" – zaniepokoiła się Renata Grochal. „Mam nadzieję, że opozycja raz na zawsze rozstanie się z pomysłami licytowania się z PiS na populistyczne rozdawanie pieniędzy. Jesienne wybory można wygrać tylko, przedstawiając wizję nowej Polski, a nie komu dosypać więcej. Wygrywa się marzeniami!" – doradził, jak wyjść z defensywy, Bartłomiej Sienkiewicz.

À propos marzeń i sezonu oscarowego, który już za nami: „Jeśli ktoś marzy o następnym Oscarze, to mam gotowy tytuł i scenariusz: zakazana miłość między żydowską studentką a niemieckim inżynierem. Po wielu cierpieniach i moralnych dylematach w końcu odkrywają, że to Polska jest wszystkiemu winna. Tytuł: Mleko Matki" – zaproponowała Marta Smolańska. Oglądałbym. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

Na koncert Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

Zaprasza Mecenas

LOTOS

GDAŃSK POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

18 MARCA 2019 r. GODZ. 20.00

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. PAWEŁ GROMADA

BEZ MAKIJAŻU NIE TAŃCZĘ

FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

Tamara Gonzales Perea, blogerka modowa, znana jako Macademian Girl jest jedną z gwiazd aktualnej edycji „Tańca z gwiazdami". Podobno już wcześniej dostawała propozycje wzięcia udziału w programie, ale wtedy nie czuła się na to gotowa. Głównie z powodu słabej kondycji. Teraz czuje się już w tym temacie pewniej. Na tyle pewnie, że – jak donosi „Fakt" – niespecjalnie przejmuje się treningami, co doprowadza do szału jej tanecznego partnera Rafała Maseraka. – Ona ciągle się spóźnia na treningi – relacjonuje w „Fakcie" osoba z produkcji show. – Ostatnio usprawiedliwiała się tym, że musiała sobie zrobić makijaż, co jest czasochłonne. Rafałowi opadły ręce – dodaje. To nie koniec problemów Maseraka z Tamarą. – Gdy się spoci, potrafi przerwać próbę i gorączkowo poprawiać make-up – relacjonuje w „Fakcie" osoba z produkcji show. – Zamiast skupić się na krokach, zerka w lustro i sprawdza makijaż. Rafał boi się, że przez to szybko odpadną z programu – dodaje. Niech się nie boi, tylko lepiej jej podziękuje. Gdyby przyszła na próbę bez makijażu, to dopiero byłaby afera. Przecież mógłby jej nie poznać!

SKROMNA JAK ISABEL

Isabel Marcinkiewicz, była już żona byłego premiera Kazimierza Marcinkiewicza, robi wszystko, by mimo rozwodu nie dać o sobie zapomnieć. Po tym, jak w ubiegłym tygodniu wystąpiła z apelem do Moniki Olejnik, by pytała w programach jej byłego męża o to, dlaczego nie płaci jej zaległych alimentów, teraz ogłosiła, że byłaby dużo lepszym politykiem (a nawet polityczką!) niż Kaz. Dlaczego? I tu pojawiło się aż – uwaga! – 12 różnych powodów. Izabel pisze, że w przeciwieństwie do Kaza jest m.in. lojalna, tolerancyjna, wrażliwa, ludzka, pomocna, empatyczna, odpowiedzialna. Jest altruistką i – co podkreśla – jest skromna. Uważamy, że to ostatnie widać po niej najbardziej!

NIE WOLNO CYTOWAĆ DOSŁOWNIE!

Jarosław Kaczyński w swoim przemówieniu na konwencji PiS odniósł się do słów Agnieszki Holland, która na jednej z antyrządowych demonstracji nawoływała kiedyś do tego, „żeby było tak, jak było". – Pani Holland powiedziała kiedyś, nie tak dawno temu, te słowa, które są tak często powtarzane: żeby było, jak było. Otóż, szanowni państwo, jeśli nasi przeciwnicy wygrają, będzie gorzej, niż było – stwierdził Kaczyński. Jego słowa oburzyły grono polskich reżyserów, którzy zarzucili liderowi PiS manipulację. I oczywiście samą Holland. – Prezes już dawno opanował do perfekcji sztukę postponowania ludzi, których nie lubi, przy pomocy niedomówień, sugestii, insynuacji. Oczernia bliźnich tak, żeby jakieś błoto do atakowanego się przykleiło, ale żeby nie dać mu szansy na obronę – powiedziała Holland. Rzeczywiście przed dosłownym cytatem nie ma szans na obronę. Okrucieństwo prezesa nie zna granic.

ZARABIANIE OPANOWANE DO PERFEKCJI

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Perfekcyjna Pani Domu, czyli Małgorzata Rozenek-Majdan, wie, jak wykorzystać swoje pięć minut. Oprócz udziału w programach i pokazywaniu swojego życia w mediach społecznościowych robi masę innych rzeczy. Na przykład pisze książki. Wydała już sześć różnych poradników! O perfekcyjnym ślubie, o perfekcyjnym ogrodzie, o tym, jak przeżyć perfekcyjny rok i jak wyglądać perfekcyjnie. Wśród jej publikacji można też znaleźć „perfekcyjny organizer". Teraz, jak donoszą kolorowe media, Rozenek szykuje się do wydania kolejnych dwóch książek. Poradników oczywiście. Bo i po co zmieniać coś, co działa? Niezły biznes. Perfekcyjny wręcz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, osobooscary rozdane. Kolejny raz w historii najlepszym filmem został wybrany obraz mówiący o rasizmie. Kolejny raz pojawiły się też głosy, iż wręczanie statuetek najlepszym aktorom waginododatnim i waginoujemnym jest niepotrzebne, iż żyjemy po pierwsze w świecie, gdzie te granice są płynne, a po drugie – wszyscy jesteśmy po prostu osobami. Mamy więc nadzieję, iż niebawem zniknie ten podział na „rolę męską" i „rolę żeńską". W ogóle – jak to brzmi: jakby osobooscara miała dostać waginoosoba, która najwięcej pierze, prasuje i sprząta, oraz ta fallusoosoba, która pije najwięcej piwa na kanapie, oglądając sitcomy i mecze ekstraklasy. Tak nam brzmią te kategorie, tak widzimy ten tradycyjny podział ról.

Wogóle z tą sytuacją i brakiem kategorii musi sobie poradzić współczesny przemysł filmowy. Ufamy jednak, że kto jak kto, ale tęgie głowy Hollywood sobie z tym poradzą. Mianowicie: jeśli już rezygnujemy z nagród za role męskie i role żeńskie i skoro już wszyscy jesteśmy osobami, to czas najwyższy, aby przy kompletowaniu obsady filmowej twórcy przestali się kierować takimi względami, jak płeć, wiek, pigmentalne uposażenie czy inne czynniki tego typu. Gdzie jest powiedziane, że dziecko w scenariuszu musi być zagrane przez prawdziwe dziecko? Zresztą: czy na pewno mamy prawo i kompetencje, aby osądzać, kto tak naprawdę jest dzieckiem?

Próby takiego castingu już były, pewnie pamiętacie oburzenie wokół „Wiedźmina", kiedy konserwatywny zaścianek protestował przeciwko aktorom pigmentalnie uposażonym w rolach Geralta i Ciri. Może jednak i w Polsce kiedyś się doczekamy Tomasza Karolaka w roli Ani z Zielonego Wzgórza, Krystyny Jandy jako Mateusza Kijowskiego (wierzymy, iż powstanie taka biografia!) czy Mai Ostaszewskiej jako karpia – jak szaleć, to szaleć xD

Spójrzcie na nietolerancję i prześladowania w tym kraju. Podkarpacie kolejny raz obchodzi tzw. tłusty czwartek, czyli święto wspierające body-shaming i propagujące pożeranie tradycyjnych pączków smażonych na tłuszczu zwierzęcym, a nie np. donutów z jarmużem. Z tej okazji Nowy z Tarnowa przyniósł nam do korpo pączki z boczkiem i pasztetem, a potem się dziwił, iż nikt nie chce tego jeść. Z kolei na nasze wegeprogresywne pączki z jarmużem (ale bez ciasta i niesmażone, no w sumie sam jarmuż) kręcił nosem i sam też ich zjeść nie chciał. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 5ea8026dbc

dwaj panowie g

Mamy złą wiadomość dla wszystkich, którzy wykreślili już Jojo Brudzińskiego z wszelkich prognoz związanych z przyszłością PiS. Trochę się zdziwią. Bycie europosłem to wcale nie taka ciężka fucha, kilka dni za granicą wystarczy. Resztę można poświęcić na to co zwykle, czyli trzymanie aparatu partyjnego za gardziołko.

Ci, którym śpieszno wykreślić Achima Jojo Brudzińskiego, chodzą już po mieście i mówią, że za partię teraz będzie odpowiadał Krzysiek Sobolewski. „Miły gość, ale nie ten rozmiar butów" – odpowiadają bardziej zorientowani. No to wyjaśniamy: będzie trzymał partię, ale tylko w te dni, kiedy akurat Jojo siedzi w Brukseli albo Strasburgu. I nawet w tym przypadku będzie to i tak oznaczało, że partię trzyma Brudziński.

Strażacy bardzo się ucieszyli. I tak rozochocili, że wysmażyli też wniosek o zakup masek chroniących przed szerszeniami

Nowy rok wyborczy, nowe obietnice. Zapowiadaliśmy, że będzie coś extra dla emerytów i zmiany w podatkach, ale przyznajemy bez bicia, tym pierwszym dzieckiem w „500+" też jesteśmy zaskoczeni. Kiedy wyszliśmy z szoku, wymyśliliśmy billboard wyborczy z tej okazji, tylko nie wiemy, komu bardziej się spodoba: PiS czy PeŁo. „Zabrali Birgfellnerowi i dali dzieciom".

Wszystkim, którzy uważali Piotra Dudę za gapę, odpowiadamy: „To cwany gapa". Zanim poszedł na rozmowy z rządem, udał się na Nowogrodzką i teraz przy każdym postulacie przedstawianym premierowi Mateuszowi będzie mógł mówić, że Kaczor Dyktator właściwie się zgodził. Co oczywiście niekoniecznie musi być prawdą, głównie dlatego, że Kaczor Dyktator rzadko kiedy godzi się na cokolwiek. Doceniamy jednak finezję chwytu, doceniamy.

Apropos Kaczora Dyktatora. Piękna historia, która krąży po mieście od pewnego czasu, ale nikt nie odważył się jej opublikować. Dzień przed pogrzebem premiera Jana Olszewskiego świeżo zatrudniona w kancelarii premiera osóbka wykonywała polecenie służbowe „obdzwonić VIP-ów i upewnić się, że będą we właściwym miejscu o właściwym czasie". Owa osóbka jakimś cudem znalazła listę z najbardziej sekretnymi numerami telefonów, takimi, które VIP-y zawsze odbierają. Zgadnijcie, do kogo się dodzwoniła.

Po krótkiej przerwie na suspens wyjaśniamy: tak, telefon odebrał osobiście Kaczor Dyktator. Ku swemu zdumieniu usłyszał zdanie następującej treści: „Dzwonię z informacją, że przepustka dla samochodu na Powązki jest do odebrania jutro, o godzinie dziewiątej". „Hm... – odparł Kaczor Dyktator – A czy nie mogłoby być o dziewiątej trzydzieści?".

Mamy także dowody na niesłabnące poczucie humoru innych liderów Zjednoczonej Prawicy. Słyszeliśmy, że Zizou Ziobro dopytywany, czy to prawda, że Patryk Jaki będzie startował z trójki w Małopolsce, odpowiada z czarującym uśmiechem: „Znaczy z mojego miejsca?". Jest i ciąg dalszy żarciku: dociskany, czy na pewno sam nie chce kandydować, Zizou mówi: „No… tak na 90 proc.".

Skoro już o Ministerstwie Sprawiedliwości. Mało kto wie, że ze stworzonego przez resort Zizou Funduszu Sprawiedliwości kupiono trochę wozów dla strażaków. Strażacy bardzo się ucieszyli. I tak rozochocili, że wysmażyli też wniosek o zakup masek chroniących przed szerszeniami. Niestety, ta prośba została załatwiona odmownie. Prawdopodobnie dlatego, że szerszenie nie prowadzą działalności przestępczej.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jest oczywiście jedna osoba, której wcale do śmiechu ostatnio nie było. O niej opowiada prawdziwa anegdotka z ostatniej konwencji PiS. Po prezentacji „piątki Kaczyńskiego" ktoś z szeregów VIP zadał teatralnym szeptem pytanie: „A gdzie jest minister finansów?". „Właśnie odwozi ją karetka" – odparł równie teatralnym szeptem jakiś anonimowy żartowniś.

Przy okazji pragniemy podsumować dyskurs na temat „»500+« na pierwsze dziecko". Otóż w ten sposób PiS spełnia swoją obietnicę, której nigdy nie składał, oraz wypełnia punkt programu PeŁo, uznany przez jej liderów za nieodpowiedzialny. Jeśli ktoś chciał dostać esencję polskiej polityki, to oto ona.

Dla polityków PeŁo, którzy zapowiedzieli, że poprą nowe pomysły PiS w Sejmie, mamy ciekawy dokument z przeszłości. Publikowany wiosną 2017 r. przez różne media pod hasłem: „Eksperci FOR krytykują kosztowne obietnice Grzegorza Schetyny". FOR to taka przybudówka Leszka Balcerowicza.

Oto konkrecik, czyli cytat: „Trzeba postawić pytanie, jak PO zamierza sfinansować zgłoszone przez Grzegorza Schetynę obietnice: rozszerzenie programu »500+« na wszystkie dzieci oraz trzynaste emerytury. Obie propozycje mogą być bardzo kosztowne. Wprowadzenie obu rozwiązań spowodowałoby wzrost deficytu finansów publicznych wyraźnie powyżej unijnego progu 3 proc.". My też uważamy, że jeśli już ktoś ma się tłumaczyć, to niech to będzie Schetyna.

Jest problem. Problem nazywa się „Anka Zalewska". Z jednej strony źli ludzie chcieliby się jej pozbyć z rządu i wysłać ją do europarlamentu. Z drugiej strony przybywa tych, którzy uważają, że Zalewska jako jedynka na Dolnym Śląsku naprzeciw Janiny Ochojskiej to samobójstwo w najlepszym, efektownym japońskim stylu. „Kobieta, która całe życie pomagała dzieciom, kontra kobieta, która je skrzywdziła". Nie, to nie my tak podsu-

mowaliśmy ten pojedynek. To pewien wpływowy PiS-owiec.

Przy okazji: nie dajcie się nabrać na bzdury o tym, że Jarosław Zieliński, wicek policyjny od konfetti, ma zastąpić Ankę Zalewską i zostać nowym szefem MEN. Widzieliśmy ważnych ludzi z rządu skręcających się ze śmiechu podczas lektury tych doniesień.

Jeszcze o Parlamencie Europejskim. Wielu ludzi zadaje sobie pytanie, dlaczego Włodzimierz Cimoszewicz tak się uparł na jedynkę Koalicji Europejskiej w Warszawie, skoro na Podlasiu ma poparcie oscylujące w granicach 110 proc. Zadali je Cimoszce także partnerzy z PeŁo. Okazało się, że Cimoszewicz to człowiek małej wiary, który obawia się, iż w eurookręgu obejmującym także Warmię i Mazury jego czar może nie być już tak skuteczny. A przegrać z Jurgielem to – przyznacie sami – trochę siara.

Sprawa Cimoszewicza prowadzi nas do innej zabawnej historii. W ramach Koalicji Europejskiej SLD, podobnie jak PSL, ma dostać trzy jedynki. Tyle wynegocjował Włodek Czarzasty. Nie przypuszczał, biedak, że to nie on wskaże

Cimoszewicz, Belka i Miller. Wszyscy mają aktualnie z SLD tyle wspólnego co Liroy z Leroy Merlin

kandydatów, tylko wyjdzie na to, że są nimi: Cimoszewicz, Belka i Miller. Wszyscy mają aktualnie z SLD tyle wspólnego co Liroy z Leroy Merlin. Cóż, tak właśnie buduje się autorytet w partii, prawda, gaspadin Czarzasty?

Apropos gaspadinów. Informowaliśmy o tym już w sierpniu ubiegłego roku, jako pierwsi, ale młyny dyplomacji mielą powoli. No i faktem dokonanym (oraz oficjalnym) stało się dopiero teraz: Skwiet jedzie do Moskwy. Piotr Skwieciński, publicysta tygodnika rybackiego, zostaje szefem moskiewskiego Instytutu Polskiego. My Was pozdrawliajem, gaspadin Pietka.

Pozdrawiamy także kolegów dziennikarzy, którzy ujawnili, że jedynką kukistów w Warszawie będzie w eurowyborach Tyszka Stanisław. My piszemy o tym od trzech miesięcy, ale co my tam wiemy.

Apropos kukistów: trochę nas zasmuciło to, że Paweł Kukiz w telewizji naśladował Kaczora Dyktatora. Myśleliśmy, że robi to tylko prywatnie, na przykład kiedy rozmawia z nami. Pociesza nas tylko to, że prywatnie robi to o wiele lepiej niż na wizji u Bogdana Rymanowskiego.

Zostatniej chwili: na Czerskiej z powodu braku kolejnych taśm dźwiękowych desperacko rozważa się publikację taśm klejących z Nowogrodzkiej. Chodzi o taśmy, którymi namolni petenci przyklejają się do klamki drzwi gabinetu Kaczora Dyktatora. Zwykle na krótko, bo odkleja ich i przegania pani Basia. ©℗

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Granty na innowacje

Sieć Otwartych Innowacji

Sieć Otwartych Innowacji (SOI) to program grantowy adresowany do mikro, małych i średnich przedsiębiorstw. Jego operatorem jest Agencja Rozwoju Przemysłu S.A., która w tym roku ma 50 mln zł na dofinansowanie zakupu gotowych innowacji dla tego segmentu.

Z innowacjami w polskiej gospodarce nie jest dobrze: od lat zamykamy peleton „średniaków" w kategoriach globalnych, a w zestawieniu europejskim jesteśmy na 4. pozycji od końca. Nie ma wątpliwości co do tego, że zarówno każda firma, jak i gospodarka krajowa, by odnieść sukces i obronić go w dłuższej perspektywie, musi wdrażać nowe rozwiązania. Innowacje są solą ziemi dla przedsiębiorców i tlenem dla krwioobiegu gospodarki. Tymczasem mniejsze firmy na ogół nie mają pieniędzy na inwestycje w nowe technologie, zwłaszcza te, których wypracowanie i wdrożenie wymaga więcej czasu, a więc generuje koszty.

SOI to rozwiązanie dla firm z segmentu mikro i MŚP, które nie prowadzą własnych prac B+R, ale chcą nabyć innowację już gotową lub bliską gotowości, z szansą na szybkie wdrożenie i komercjalizację – i szukają na to środków. Minimalna transakcja, o której dofinansowanie można się ubiegać, wynosi 100 tys. złotych, ale wnioskować można o dotację nawet do miliona złotych. ARP S.A. może sfinansować do 70 proc. kosztów. Rozwiązanie, o którego zakup będzie się starał przedsiębiorca, musi być nowe: nie może być stosowane dłużej niż 3 lata na rynku polskim i maksimum 5 lat w skali światowej. Co ważne, technologii nie trzeba kupować, wystarczy nabyć licencję.

Poza formułą zakupu gotowych rozwiązań wyróżnikiem SOI jest element doradztwa. Brokerzy technologii pomogą w doprecyzowaniu potrzeb rozwojowych i przeprowadzą wnioskodawcę przez proces aplikacyjny. Atutem SOI jest również czas: ARP S.A. zapewnia, że od złożenia wniosku do uzyskania decyzji o dofinansowaniu i podpisania umowy nie upłynie więcej niż 3 miesiące.

Więcej na: www.siecotwartychinnowacji.pl

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 5ea8026dbc

Szwecja będzie

PIOTR WŁOCZYK: Wyjechał pan z Polski 44 lata temu, większość życia spędził pan w Szwecji. Dlaczego pan wrócił?

JERZY GRUNWALD: Kiedy wyjeżdżałem z PRL, potrzebowałem wolności. Brzydziła mnie komuna, byłem ciekawy świata, chciałem rozwijać się artystycznie. Wyjechałem do Stanów, by po latach znaleźć się w Szwecji. Kilka miesięcy temu wróciłem do Polski, gdzie odnalazłem prawdziwą wolność. Dzisiaj Szwecja to upadający ekonomicznie i moralnie kraj, gdzie prawa obywateli są ograniczane na rzecz islamskich uchodźców. Kto by pomyślał na początku lat 70., że kilka dekad później to Szwedzi będą zazdrościć Polakom normalnego kraju?

Szwecja to jednak wciąż dla wielu Polaków synonim dobrobytu. Czego w takim razie można się tam obawiać?

Ja niczego się nie boję. Nie akceptuję jedynie celowego importu wojny religijnej, chorej ideologii, a taką jest islam, która w asyście liberalno-lewicowych oszołomów sieje nienawiść do naszej cywilizacji. To jest religia, która toleruje inne tylko wówczas, jeśli jest w mniejszości. Jeśli proporcje są odwrotne, to tolerancja się kończy.

W Szwecji muzułmanie to wciąż mniejszość...

Jednak całe dzielnice są już w ich rękach. I to oni stanowią w nich większość. A to dopiero początek, bo przy porażce demograficznej, gdy na jednego Szweda rodzi się pięciu muzułmanów, jest oczywiste, że ta kultura wkrótce zdominuje ten kraj.

Prawie 30 lat mieszkałem w Helsingborgu. Dzisiaj dzielnica Söder, w której żyłem, jest praktycznie dzielnicą muzułmańską. W moim bloku mieszkali kiedyś sami Szwedzi i jeden Duńczyk. Teraz mieszkają tam prawie sami muzułmanie, a na domofonie zostało bodajże tylko dwóch Jensenów i Svensenów. Szwecja co roku przyjmuje ponad 100 tys. imigrantów i końca tego szaleństwa nie widać.

Pytanie tylko, czy da się utrzymać starzejące się społeczeństwo bez imigrantów?

Sam byłem uchodźcą, a nie imigrantem, ale przybyłem z kraju Moniuszki i Chopina, nie chciałem wywracać Szwecji do góry nogami. Zintegrowałem się, nauczyłem się języka. Nie mam nic przeciwko imigracji ludzi, którzy chcą się asymilować, wtopić w społeczeństwo. Bez znaczenia jest, jaki mają kolor skóry dopóty, dopóki nie zaczynają w myśl danych im swobód demokratycznych narzucać po cichu swojego porządku. A tacy niestety są muzułmańscy imigranci.

Malmö w polskich mediach zyskało ostatnio nie najlepszą sławę. Chce pan powiedzieć, że w Helsingborgu jest podobnie?

Tak, w Helsingborgu sytuacja wygląda podobnie jak w Malmö. W dzielnicy Söder zrobiło się niebezpiecznie, na ulicach widać prawie samych imigrantów z krajów muzułmańskich, którzy prowokują zwykłych obywateli... Ostatnio jednego dnia było tam pięć napadów, a człowiek pod moim domem otworzył ogień z karabinu. Czterdzieści lat temu to wszystko było nie do pomyślenia. Oczywiście drobna przestępczość to problem w każdym kraju, ale teraz zmartwieniem Szwedów jest islamski bandytyzm.

Ten, kto tego nie dostrzega, jest tylko naiwnym teoretykiem. Zapraszam na wycieczkę do Szwecji. W tej chwili jest już w tym kraju ponad 100 dzielnic, gdzie karetki czy straż pożarna wjeżdżają tylko pod eskortą policji, która też się boi tam wjeżdżać. Panują chaos i anarchia. Pod-

eprasa.pl 5ea8026dbc

Z Jerzym Grunwaldem, muzykiem, emigrantem mieszkającym przez wiele lat w Szwecji
rozmawia Piotr Włoczyk

Samochody spalone podczas zamieszek w sierpniu 2018 r. w Göteborgu
FOT. TT NEWS AGENCY/REUTERS/FORUM

kalifatem

dańczy lewicowy rząd oddaje własny kraj walkowerem.

Wyprowadzka do innej dzielnicy Helsingborga nie byłaby dla pana rozwiązaniem? Przecież nie brakuje tam spokojniejszych miejsc.

Niestety, coraz mniej jest takich miejsc, ale głównym powodem mojej ewakuacji jest chora lewacka zbrodnicza ideologia, która kompletnie zatruła umysły szwedzkiego młodego społeczeństwa, oduczając ludzi samodzielnego myślenia. Polacy nie są sobie w stanie wyobrazić, do jakiego absurdu doszła w tym kraju wspomniana poprawność polityczna. Liberalno-lewicowi naziści postrzegają swoich przeciwników jako faszystów, wygadując brednie o ksenofobii, rasizmie, homofobii i nietolerancji tylko dlatego, że ktoś odważył się myśleć inaczej...

„Liberalno-lewicowy nazizm"?! To się nie gryzie w pańskim pojęciu?

Lewica obrzuca prawicę najgorszymi epitetami, zaczynając od „faszyzmu". To wszystko nic nieznaczący bełkot, który ma postawić pod ścianą ludzi prawicy i zmusić ich do obrony.

Tymczasem lewica garściami czerpie z marksizmu, a jeżeli chodzi o formatowanie na nowo społeczeństw, to widać tam też ślady tego, co robił w Rzeszy Hitler, który był narodowym socjalistą. Nazizm to narodowy socjalizm. Owszem, narodowy, ale jednak socjalizm!

Nie za ostro stawia pan te sprawy?

To prawda, wypowiadam się bardzo ostro, ale gdybym opowiedział to wszystko, co mnie spotkało w Szwecji, to wielu czytelników nie uwierzyłoby, że dumne kiedyś państwo mogło tak nisko upaść.

W Szwecji jest już ponad 100 dzielnic, gdzie karetki czy straż pożarna wjeżdżają tylko pod eskortą policji, która też się boi tam wjeżdżać

Na przykład?

Kiedyś wydrukowałem nalepkę na auto z napisem, który w tłumaczeniu brzmiałby: „Ostatni Szwed zabiera flagę". Umieściłem ją na samochodzie. Podczas kontroli drogowej – jechałem ze znajomym Szwedem – zostaliśmy posądzeni o... sianie nacjonalizmu. Kiedyś Szwedzi bez problemu wywieszali flagi na domach, a dziś manifestowanie przywiązania do flagi własnego kraju postrzegane jest jako nacjonalizm...

Trafiliśmy na komisariat, gdzie byliśmy przesłuchiwani pod tym kątem. Ostatecznie sprawa została umorzona, bo za takie „przewinienie" chyba nawet w Szwecji nie dałoby się skazać człowieka. Dlatego proszę się nie dziwić, że tylu Szwedów emigruje z własnego kraju.

Przed naszą rozmową sprawdzałem statystyki migracyjne. Oficjalne dane pokazują, że nie ma jakiegoś wielkiego skoku w liczbie emigrantów w ciągu ostatniej dekady.

Byłbym ostrożny ze statystykami, bo robi je państwo, które z muzułmańskiej imigracji uczyniło rację stanu, zatajając przed społeczeństwem fakt islamizacji tego kraju. Znam wielu Szwedów, którzy przyjechali w ostatnich latach do Polski, uczą się naszego trudnego języka i chcą tu żyć. W szwedzkim Internecie roi się od pytań o warunki życia w Polsce, ceny mieszkań. Nie tylko w Polsce Szwedzi widzą jednak ratunek. Znam też dwóch

eprasa.pl 5ea8026dbc

Szwedów żydowskiego pochodzenia, którzy wyjechali do Izraela, bo społeczność żydowska w Szwecji znalazła się w bardzo trudnym położeniu. Słyszał pan na pewno o fali podpaleń synagog, o szczelnej ochronie żydowskich szkół, przedszkoli. Ja sam kilka lat temu widziałem płonącą synagogę w Helsingborgu. Największe szwedzkie media przemilczają takie ataki, bo imigranci są objęci totalnym immunitetem.

Rok temu zwrócił na to uwagę nawet „The New York Times". Czytelnicy tej gazety mogli wówczas przeczytać w tekście pt. „Trudna prawda na temat szwedzkiego antysemityzmu" o gorliwym potępianiu przez szwedzki rząd antysemityzmu w wykonaniu skrajnej prawicy i całkowitym milczeniu, jeżeli chodzi o antysemityzm przybyszów z krajów islamskich...

Właśnie tak jest. Szwedzki rząd to dzieci we mgle, które ślepo wierzą w równość kultur. Jak można integrować się z kulturą, w której kobieta nie ma żadnych praw? Przecież to jest dopiero prawdziwe średniowiecze, a nie chrześcijaństwo! Szwedzi i Europa nie pojmują, że islam rozumie tylko język siły i z islamem się nie negocjuje. Jak można być stadem baranów idących na rzeź? Wiem, że to bardzo radykalne określenie, ale nie można zaprzeczać czemuś, co widać gołym okiem. Szwedzi uczestniczą w procesie samozagłady. Chcę wierzyć, że nasz obecny rząd wyciągnie z tego wnioski. Dlatego żadnych uchodźców muzułmańskich, broń Boże, żadnych stałych pobytów, bo skończymy jak płonąca Europa Zachodnia.

Nie spotkał pan nigdy muzułmanów, którzy nie są radykałami i potrafią się asymilować?

Po każdym zamachu lewacy wypuszczają przed kamery przedstawicieli tej społeczności, którzy nadal twierdzą, że islam to religia pokoju. I tak do następnego zamachu. Mówienie o pokojowej twarzy islamu to usypianie naszej czujności. Wszyscy dzisiaj wiemy, że wyznawcy islamu są przedstawicielami kultury, która jest wrogiem wolnej cywilizacji, zbudowanej na wartościach chrześcijańskich.

Mimo wszystkich swoich gigantycznych problemów Szwecja bezwarunkowo wspiera pakt z Marrakeszu w sprawie migracji, który pozwoli na nieograniczoną imigrację ludzi z Afryki i Bliskiego Wschodu. Nie tak dawno Annie Lööf, szefowa Partii Centrum, posłanka do szwedzkiego parlamentu i była minister, zastanawiała się, dlaczego by nie przyjąć do kraju nawet 30 mln imigrantów! Do kraju, który ma 10 mln mieszkańców!

Przerażeni Szwedzi, których ogarnął paraliż strachu, muszą wziąć przykład z heroizmu Polaków z lat wojennych i wziąć sprawy w swoje ręce, jeśli chcą przeżyć. Dlatego cały czas pytam: Gdzie wy jesteście, wikingowie? Co się z wami stało? Obudźcie się, zanim staniecie się obywatelami drugiej kategorii we własnym kraju.

Jeżeli jest tak źle, jak pan mówi, to dlaczego Szwedzcy Demokraci (SD), czyli jedyna szwedzka partia, która wzywa do ograniczenia imigracji, nie wygrała ostatnich wyborów? Przecież w tajnym głosowaniu nie trzeba się bać poprawności politycznej, można głosować, na kogo się chce. Tymczasem SD zdobyli niecałe 18 proc. głosów...

Po pierwsze, wybory zostały „skręcone" i są dowody na to, że SD nie mieli równych szans z lewactwem. Posłowie SD, czyli po prostu szwedzcy patrioci, którym zależy na przyszłości ojczyzny, są zwyczajnie kneblowani przez większość w parlamencie. Tym ludziom odebrano prawo głosu! Cała reszta polityków traktuje ich jak zarazę, jakby stawianie postulatu: „Stop imigracji!" było jakąś zbrodnią.

Niektórzy szwedzcy wyborcy z jednej strony wręcz boją się tego, a z drugiej nie chcą tego widzieć, a do tego dochodzi goebbelsowska doktryna odmóżdżania, bo takim społeczeństwem rządzi się najlepiej. „Prawica to faszyzm, muzułmanie to nasi przyjaciele, wpuśćmy ich jeszcze więcej" – jak się ma takie podejście do życia – a to w Szwecji norma – to nie ma się co dziwić, że tylu ludzi głosuje na lewackie partie.

Na pewno nie jest pan bezstronny w tej dyskusji.

Nie jestem, bo żyłem tam i byłem świadkiem upadku tego kraju. Dumny niegdyś naród na naszych oczach umiera. Dlatego Polska to naprawdę normalny kraj, w którym na razie możemy żyć spokojnie, bez milionów ludzi, którzy chcą zniszczyć naszą cywilizację. Doceniajmy więc opcję rządzącą, która – jak dotąd – sprzeciwia się temu nazistowskiemu szaleństwu. Nie rozumiem, dlaczego PiS cały czas posypuje sobie głowę popiołem i ciągle coś tłumaczy KE, zamiast twardo oświadczyć: „Umawialiśmy się na Europę Schumana, nie Spinellego i kalifat!".

Z tego, co pan mówi, wynikałoby, że Szwedzi postanowili popełnić na oczach całego świata spektakularne harakiri. Jak społeczeństwo, które zbudowało tak dobrze funkcjonujące państwo, mogłoby dążyć do oddania się w – tak jak pan przewiduje – niewolę? Przecież to nielogiczne.

Szwedów zniszczył socjal. Przez powojenne dekady ci ludzie zatracili umiejętność walki o swoje. Zostali socjalem wprowadzeni w stan, który można porównać do letargu. W Polsce za komuny ludzie musieli walczyć, by przeżyć, a kto był niebieskim ptakiem, zostawał z niczym. Zresztą teraz w Polsce też nie jest łatwo. Dobrobyt w połączeniu z socjalem zabił w Szwedach wojowników. Nie we wszystkich, ale w zdecydowanej większości. Zdziecinniali ludzie, którzy podpiszą się pod wszystkim, byleby tylko być postrzegani jako „tolerancyjni". Czy pan słyszał, że młodzieżówka szwedzkiej partii Liberałowie wnioskowała w 2016 r., aby zalegalizować nekrofilię i kazirodztwo?

Jednak partia matka szybko odcięła się od inicjatywy swojej młodzieżówki...

To żadne pocieszenie, bo to kolejna próba sondowania społeczeństwa, oswajania z lewackimi wynaturzeniami. Ludzie, którzy to zgłosili, pójdą niedługo do „dorosłej" polityki i wrócą do tych pomysłów.

Nawiasem mówiąc, czy to nie paradoks, że wszyscy najwięksi przyjaciele muzułmańskich imigrantów, czyli przede wszystkim środowiska LGBT, nie wiedzą, jakie kary przewiduje islam za akty homoseksualne? Czy oni nie rozumieją, że kręcą sznur na własną szyję?

Polska to normalny kraj, w którym na razie możemy żyć spokojnie, bez milionów ludzi, którzy chcą zniszczyć naszą cywilizację

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jerzy Grunwald – (ur. 1950 r.) jest wokalistą, kompozytorem i producentem muzycznym. Był członkiem m.in. zespołów No To Co i En Face. Wiele lat spędził na emigracji w Szwecji.

eprasa.pl 5ea8026dbc

Piotr Włoczyk

Kult multi-kulti

Szwedzka prawica alarmuje, że cały kraj rozsypuje się pod naporem imigrantów. Lewica przekonuje, że to tylko przejściowe trudności. Jedno jest pewne: Szwecja, jaką znamy, właśnie odchodzi do przeszłości

Ustalenia dziennikarzy były porażające: ogółem 58 proc. sprawców gwałtów skazanych w Szwecji w ciągu ostatnich pięciu lat urodziło się poza tym krajem. W tych przypadkach, gdy ofiara gwałtu i sprawca się nie znali – sprawcami 85 proc. przestępstw byli imigranci. Czterech na 10 sprawców tej kategorii gwałtów przebywało w Szwecji mniej niż rok.

Do takich danych dotarli dziennikarze szwedzkiej telewizji państwowej SVT. Materiał, który opublikowali w sierpniu zeszłego roku, stał się jednym z najważniejszych tematów kampanii przed przypadającymi dwa tygodnie później wyborami do parlamentu.

Oprócz twardych danych, zebranych w sądach na terenie całego kraju dziennikarze przedstawili widzom również wstrząsającą historię Sofii Näslund, która w 2015 r. została zgwałcona przez Algierczyka i Syryjczyka, i zgodziła się opowiedzieć o swoich przeżyciach.

„Musimy mieć odwagę, by przyznać, że istnieją kulturowe problemy, np. z niektórymi młodymi mężczyznami z Afganistanu, którymi musimy się zająć" – komentował na gorąco Tomas Tobé, polityk Umiarkowanej Partii Koalicyjnej, będący wówczas ministrem sprawiedliwości w opozycyjnym gabinecie cieni.

Tobé nawiązywał do ujawnionych przez dziennikarzy SVT danych, z których wynikało, że aż 5,3 proc. skazanych za gwałty pochodziło z Afganistanu, co jest nieproporcjonalnie dużym odsetkiem zważywszy na liczbę Afgańczyków żyjących w Szwecji.

HUMANITARNE SUPERMOCARSTWO

– Dla wielu Szwedów, szczególnie na lewicy, publikacja tych informacji była szokiem. Przecież przez całe dekady wmawiało się nam, że imigracja nas wzbogaca – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Ingrid Carlqvist, szwedzka dziennikarka, która otwarcie przyznaje, że jej celem jest doprowadzenie do zatrzymania imigracji. – Sprowadzanie do nas muzułmańskich imigrantów, wyrosłych w kulturze, której nasze wartości są kompletnie obce, to jak małżeństwo z przymusu. Dlaczego mój własny rząd zmusza Szwedów do takiego nieszczęśliwego związku? Efekt jest taki, że w Helsingborgu, gdzie żyję, kobiety boją się chodzić wieczorami po ulicach, a i w dzień niebezpiecznie jest w wielu miejscach. Tak wygląda życie w naszym kraju, niech Polacy nie popełniają tego błędu.

To właśnie przemoc seksualna jest jednym z najbardziej zapalnych tematów w szwedzkiej debacie o imigracji. Nic dziwnego, ponieważ liczba takich przestępstw od początku wieku stale rośnie. W 2001 r. odnotowano ich 9,2 tys., ale w 2017 r. było ich już 22 tys. Rośnie też liczba zgłoszonych gwałtów: z 2 tys. w 2001 r., do 7,4 tys. 2017 r.

– Wiadomo, że imigranci przybywający do Szwecji mają zazwyczaj inne spojrzenie na równość płci. A to wiąże się też z molestowaniem i w ogóle szacunkiem dla kobiet. Sprawy kulturowe odgrywają tu wielką rolę – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Nima Gholam Ali Pour, polityk prawicowej partii Szwedzcy Demokraci (SD) z Malmö.

Ali Pour to barwna postać. Do Szwecji przybył w wieku pięciu lat jako uchodźca z Iranu. Od 2013 r. działa w partii, która dla szwedzkiej lewicy to rasizm w czystej postaci. SD jako jedyna duża szwedzka partia domaga się stanowczego ograniczenia przyjmowania imigrantów. Szwedzcy Demokraci zdobyli w ostatnich wyborach 17,5 proc. głosów i stali się trzecią siłą w parlamencie, ale cała reszta sceny politycznej ogłosiła, że pod żadnym pozorem nie będzie z nimi wchodziła w koalicje.

Nasz rozmówca, wyznający luteranizm, przyznaje, że również on wielokrotnie był nazywany przez swoich przeciwników politycznych „rasistą". – Uważam się za Szweda. Jestem zdania, że imigranci powinni się asymilować, a tymczasem mamy z tym olbrzymi problem. Imigranci muszą być częścią szwedzkiego społeczeństwa, będzie im dzięki temu łatwiej żyć – mówi Ali Pour. – Właśnie w Malmö widzimy największe konsekwencje ostatniego kryzysu migracyjnego. Myślę, że będziemy je odczuwali jeszcze co najmniej 20 lat – dodaje.

W szczycie kryzysu migracyjnego żaden inny kraj w Europie nie przyjął (per capita) tylu ludzi ubiegających się o azyl co Szwecja. Dla wielu sympatyków lewicy było to potwierdzenie, że ich państwo jest prawdziwym „humanitarnym supermocarstwem" (wielu Szwedów lubi w ten sposób myśleć o swoim państwie).

Krytycy tak liberalnej polityki migracyjnej twierdzą jednak, że złe skutki tej polityki widać gołym okiem w największych szwedzkich miastach. Od kilku lat tragiczną prasę, jeżeli chodzi o przestępczość, ma Malmö. Złą legendę tego miasta wzmocnił w 2017 r. Nigel Farage, nazywając je „europejską stolicą gwałtów". Gdy w odpowiedzi na to szwedzka minister Ylva Johansson powiedziała podczas wywiadu, że liczba gwałtów w Szwecji „idzie w dół, w dół, w dół", spotkała się z tak ostrą reakcją, że musiała przeprosić i sprostować swoją wypowiedź, przyznając, że gwałtów jest coraz więcej. Co

eprasa.pl 5ea8026dbc

najmniej 20 proc. mieszkańców Malmö to muzułmanie. Kilka imigranckich dzielnic – m.in. Rosengård, Holma i Kroksbäck – jest uważanych za bardzo niebezpieczne i lepiej omijać je szerokim łukiem.

Były zastępca burmistrza Malmö Nils Karlsson (polityk współrządzącej Szwecją Partii Zielonych) walczy z takim wizerunkiem swojego miasta. – Ja osobiście nie odczuwam niebezpieczeństwa, choć wiem, że wiele osób czuje się tu zagrożonych. Tak, mamy tu wiele brutalnych przestępstw i niektóre rejony Malmö są mniej bezpieczne od innych. Nie można się jednak cały czas bać. Szwecja to wciąż jeden z najbezpieczniejszych krajów na świecie. Na pewno nie martwię się o moje dzieci bardziej niż inni rodzice w Szwecji – mówi „Do Rzeczy" Nils Karlsson.

Gdy pojawia się pytanie o statystyki na temat sprawców gwałtów, o których tak często mówią politycy SD, Karlsson woli nie wchodzić w szczegóły: „Każdy gwałt jest nielegalny, więc nie trzeba się temu przypatrywać pod kątem kulturowym. O powody rosnącej przestępczości powinniśmy pytać kryminologów, a nie Szwedzkich Demokratów".

Co ciekawe, oczekiwanie asymilacji wobec imigrantów to zdaniem Karlssona zły pomysł. – Polityka asymilacyjna SD nie jest realistyczna, bo Szwecja nie jest monolitem kulturowym. Nie ma czegoś takiego jak jedna, homogeniczna szwedzka kultura, są różne szwedzkie kultury. Wymaganie od imigrantów, by robili coś więcej, niż przestrzegali naszego prawa, to zbyt daleko posunięty kulturowy autorytaryzm – mówi Karlsson. I dodaje: – Dla mnie SD to mocno szowinistyczna partia, z rasistowskim programem. Chcę podkreślić, że z pewnością nie wszyscy członkowie tej partii to rasiści, tak samo jak nie wszyscy głosujący na nią to rasiści. SD działa jednak jak magnes dla rasistów. Oni chcą zatrzymać imigrację do Szwecji. Nie uważam, że to dobre, szczególnie że krytycznie wyrażają się o imigracji z krajów pozaeuropejskich. Moim zdaniem dorośli ludzie sami powinni decydować, gdzie chcą żyć.

Prawda jest jednak taka, że politycy SD nie chcą zupełnego zamknięcia granic przed imigracją, chcą ją natomiast wyraźnie zmniejszyć. Ali Pour przekonuje, że Szwecja przyjmuje zbyt wielu imigrantów, by wszystkim zapewnić godziwe życie. Uderza nawet w bardzo osobiste tony: – Ja sam dorastałem w ciężkich warunkach, bo Szwecja już dekady temu przyjmowała imigrantów, a potem „zamykała" ich w osobnych dzielnicach. To nie może tak wyglądać. Nie chcę demonizować imigrantów. Jeżeli chcemy godnie ugościć ludzi w potrzebie, to trzeba stworzyć im odpowiednie warunki. Przyjmując zbyt wielu ludzi, odbieramy im szansę życia w normalnych warunkach. A potem z biedy w gettach robi się coraz bardziej palący problem z przestępczością. Dlatego trzeba skończyć z polityką drzwi otwartych na oścież.

Ali Pour podkreśla też, że islam nie jest jego zdaniem do pogodzenia z cywilizacją zachodnioeuropejską. – To są zupełnie inne kultury, to trzeba dostrzegać i wyraźnie mówić, że przyjmowanie zbyt dużej liczby muzułmanów to problem. Widzimy, jak kobiety są postrzegane w islamie. Koran to przeciwieństwo naszej kultury. Musimy bronić naszych wartości, domagać się, by inni się dostosowywali do nas.

SD, uważana w Szwecji za partię skrajnie prawicową, w polskich warunkach byłaby raczej partią centrolewicową. Poza mocnym ograniczeniem imigracji Szwedzcy Demokraci ani myślą bowiem delegalizować aborcji, a także popierają instytucję małżeństw homoseksualnych.

PROKURATURA ZA POST

Kiedy w 2017 r. Peter Springare, 61-letni policjant z Örebro, napisał na Facebooku post, w którym dał upust swojej frustracji, nie podejrzewał, że będzie to miało aż takie konsekwencje. Springare wymienił kraje pochodzenia sprawców brutalnych przestępstw, którymi się wtedy zajmował: „Irak, Irak, Turcja, Syria, Afganistan, Somalia, Somalia, jeszcze raz Syria, Somalia, nieznany kraj, nieznany kraj, Szwecja". Springarem dwukrotnie zajmowała się szwedzka prokuratura, badając, czy nie rozniecał tym samym „nienawiści rasowej". Ostatecznie jednak policjant nie został postawiony w stan oskarżenia.

Dla szwedzkiej prawicy był to kolejny dowód na to, że władze zamykają oczy na rzeczywiste problemy, próbując równocześnie represjami wymusić tolerancję.

Z punktu widzenia szwedzkiego rządu fatalnie brzmią kolejne artykuły w prasie

eprasa.pl 5ea8026dbc

Szwedzcy policjanci podczas patrolu w okolicach dworca kolejowego w pobliżu Malmö FOT. STAFF/REUTERS/FORUM

zagranicznej, w których jasno wskazuje się, że otwartość na jedną mniejszość powoduje olbrzymie problemy dla innej mniejszości. Rok temu „The New York Times" opublikował tekst pt. „Trudna prawda na temat szwedzkiego antysemityzmu".

Czytelnicy mogli w nim przeczytać o kolejnych atakach na synagogi i żydowskie cmentarze, o żydowskich dzieciach bawiących się w przedszkolach za kuloodpornymi szybami, o marszach muzułmanów w największych szwedzkich miastach, podczas których pojawiały się okrzyki wzywające do mordowania Żydów. Paulina Neuding, autorka tekstu, pisała wprost, że o ile szwedzki rząd nie ma żadnych trudności w piętnowaniu przejawów antysemityzmu ze strony skrajnej prawicy, o tyle ciężko mu się pogodzić z myślą, że ciesząca się specjalnymi względami społeczność muzułmańska stanowi dla Szwecji jeszcze większy problem, jeżeli chodzi o antysemityzm. Neuding cytuje wyniki badań, z których wynika, że o ile skrajna prawica odpowiada za 5 proc. antysemickich incydentów, o tyle „muzułmańscy ekstremiści" dokonują 51 proc. takich czynów. Za 25 proc. mają odpowiadać „lewicowi ekstremiści". Z ustaleń autorki wynika też, że część spośród 18 tys. szwedzkich Żydów szykuje się do opuszczenia tego kraju.

Szwed, który wyjeżdża z ojczyzny, bo czuje się zagrożony – coś, co kiedyś wydawało się kompletnym absurdem, dziś staje się rzeczywistością

UCIECZKA Z RAJU

Szwed, który wyjeżdża z ojczyzny, bo czuje się zagrożony – coś, co kiedyś wydawało się kompletnym absurdem, dziś staje się rzeczywistością.

Anders od ponad roku mieszka w Łodzi, ale na razie woli rozmawiać po angielsku. Ten 36-latek do Polski wyjechał z całą rodziną – żoną i trojgiem dzieci. Na szczerą rozmowę zgadza się jedynie pod warunkiem zachowania anonimowości.

– Zacząłem myśleć o wyjeździe ze Szwecji w 2013 r. Głównie z powodu przestępczości i poczucia zagrożenia. Przekalkulowałem sobie wszystko w głowie: w Szwecji cztery razy łatwiej paść ofiarą kradzieży niż w Polsce. Z napadami jest jeszcze gorzej, nie mówiąc już o przestępstwach seksualnych. To właśnie o dzieci boję się najbardziej – mówi Anders, który bez trudu znalazł u nas pracę w jednej z wielkich korporacji.

– Kiedy dorastałem, nie zamykaliśmy naszych domów, a gdy jechaliśmy na zakupy, nie zamykaliśmy auta pod sklepem – opowiada. – Dzisiaj nawet w centrum Sztokholmu nie można się czuć bezpiecznie. Tak wygląda dziś życie w Szwecji. Bezpieczeństwo to przeszłość. Natomiast w Polsce czuję się absolutnie bezpiecznie, co cały czas mnie zadziwia.

Anders opowiada, że niektórzy z jego znajomych już wyjechali do innych krajów Europy, a część zastanawia się nad wyjazdem. Jak mówi jednak, on jako jedyny zdecydował się wyjechać do Polski. Jego zdaniem większości Szwedów Polska wciąż kojarzy się jako biedny postkomunistyczny kraj, ale dla niego to nie zamożność państwa była kluczowa przy wyborze nowego domu.

– Poza bezpieczeństwem ważną kwestią dla mnie były szkoły. Jesteśmy katolicką rodziną i ciężko było mi wysyłać dzieci do szwedzkich szkół, gdzie uczy się ich, że wszystko trzeba akceptować: aborcję, małżeństwa gejowskie czy zmianę płci. Wszystkie szkoły muszą tego uczyć, bez wyjątku. Nawet w przedszkolach zwracają się do dzieci w bezpłciowy sposób. Nie mogę się zgodzić na tę liberalną rewolucję. W polskich szkołach można się z kolei czuć normalnie. W klasach wiszą krzyże i polskie godło. I nie ma problemu z tym, żeby do szkoły wszedł ksiądz – mówi nasz rozmówca. I dodaje: – Miałem dosyć politycznej poprawności w Szwecji. Jeżeli zaczynasz krytykować politykę imigracyjną, to zaczynają cię nazywać rasistą, a nawet nazistą. Ludzie tracą pracę, gdy mówią prawdę: wzrost przestępczości łączy się ze wzrostem imigracji. Masowa imigracja muzułmanów zmienia europejskie kraje w nieodwracalny sposób. Mam nadzieję, że Polska nie popełni tych samych błędów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Z Pawłem Kukizem, posłem, liderem ruchu Kukiz'15
rozmawia Marcin Makowski

Można dać taniej niż PiS

MARCIN MAKOWSKI: Życzliwi donoszą, że prowadzi pan rozmowy o potencjalnej koalicji po wyborach parlamentarnych z PiS. Prawda to czy złośliwości?

PAWEŁ KUKIZ: Owszem, rozmowy są, ale w innych kwestiach, np. odnośnie do ustanowienia sędziów pokoju, ustawy „antysitwowej" oraz antykorupcyjnej. Tutaj intensywnie negocjujemy z prezydentem Dudą, ministrem Ziobrą i prezesem Kaczyńskim. Natomiast o rozmowach koalicyjnych pierwsze słyszę. Jeżeli dostaniemy się do parlamentu i będziemy potrzebni którejś z opcji jako sojusznik, wówczas nie będziemy wchodzić w żadne koalicje, tylko podpiszemy umowę ramową dotyczącą realizacji konkretnych postulatów programowych. Podobnie jak to zrobił Ruch Pięciu Gwiazd z Ligą we Włoszech. Obydwie partie zgłosiły swoje postulaty, zobowiązały się ich przestrzegać, pozostając osobnymi bytami. W Polsce koalicja jest niczym innym, jak wspólnym pójściem po synekury w spółkach Skarbu Państwa, programy praktycznie się nie liczą.

Gdyby pańskie ugrupowanie faktycznie zostało powyborczym języczkiem u wagi, jakie minimum programowe byłoby ceną za wejście we współpracę z Kukiz'15?

Oprócz wspomnianych, wybieranych w wyborach powszechnych sędziów pokoju zajmujących się lżejszymi sprawami w zakresie wymiaru sprawiedliwości domagalibyśmy się demokratycznego wyboru prokuratora generalnego oraz członków KRS. Nasze priorytety od strony ustrojowej są natomiast dwa. W pierwszej kolejności zmiana ustawy o referendum, tak aby po zebraniu miliona podpisów jego rozpisanie było obowiązkiem władzy, a od werdyktu społeczeństwa nie było odwrotu. Próg frekwencyjny powinien być natomiast obniżony do 30 proc. Po drugie – położylibyśmy na stół kwestię zmiany ordynacji wyborczej na jednomandatową, a w przypadku braku większości konstytucyjnej na model mieszany. No i oczywiście redukcja biurokracji i zmniejszenie opodatkowania, tu przez ostatnie trzy lata przedstawiliśmy szereg konkretnych propozycji, np. likwidacja urzędów pracy czy zwiększenie kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł dla wszystkich obywateli.

Nie obawia się pan, że żadna z istniejących obecnie partii nie poszłaby na taką współpracę?

Na pewno nie ustąpię w przypadku referendum obligatoryjnego dla władzy, natomiast reszta podlega negocjacjom. To oczywiste, że nie wszystkie zmiany da się wprowadzić od ręki, ale partia albo koalicja, która zdobędzie większość, będzie musiała nas przekonać, że stworzy prawo, które w przyszłości uwzględni nasze postulaty. Zanim uformował się obecny włoski rząd, tarcia i rozmowy między ugrupowaniami trwały trzy miesiące.

Ostatnio bardzo panu blisko do Półwyspu Apenińskiego. Regularnie spotyka się pan z wicepremierem Luigim di Maio w Rzymie – niedawno ogłosił pan utworzenie wspólnych list do europarlamentu z Ruchem Pięciu Gwiazd. Skąd wziął się akurat ten kierunek?

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 5ea8026dbc

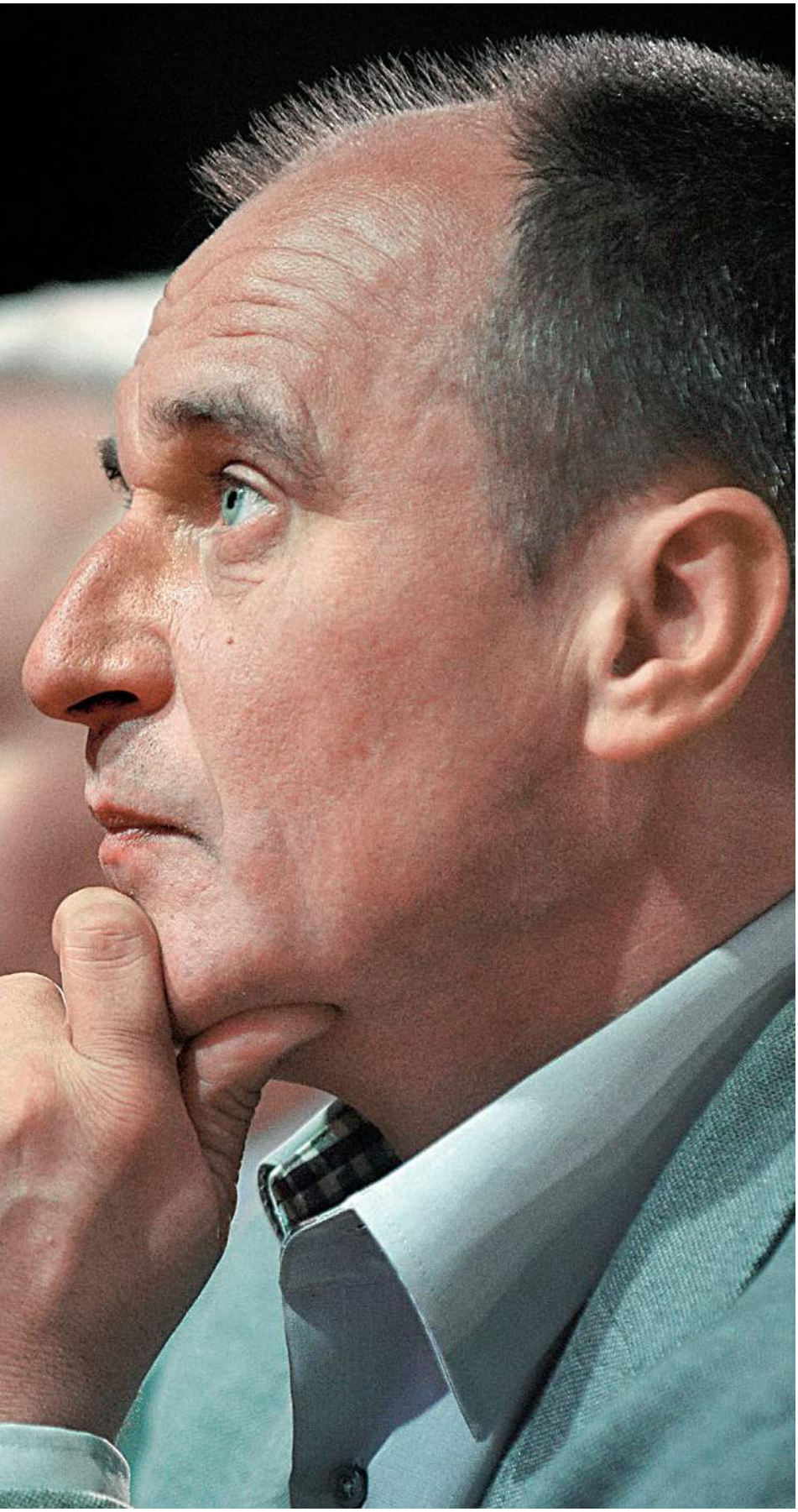

Z Di Maio myślimy podobnie o Europie i „docieramy się" politycznie przynajmniej od kilku miesięcy. Ruch Pięciu Gwiazd z pewnością wprowadzi swoich ludzi do europarlamentu, a my wraz z nimi chcemy brać udział w utworzeniu nowej frakcji w Brukseli. Potrzebujemy jeszcze akcesji dwóch innych państw, ale jest ku temu coraz bliżej. Zainteresowanie płynie z Finlandii, Chorwacji, Grecji, prawdopodobnie Francji oraz Czech.

Jak widziałby pan kształt nowej frakcji w europarlamencie? Czym miałaby się różnić od obecnie istniejących?

Od eurosceptyków będziemy się różnić tym, że nie podważymy istnienia Unii jako instytucji. Natomiast od starych partycypantów brukselskich salonów, takich jak Partia Ludowa, wyróżnimy się naciskiem na budowę Europy ojczyzn, podniesieniem rangi lokalnych parlamentów w stanowieniu prawa europejskiego, stworzeniem autentycznej równości między członkami wspólnoty oraz działaniem w kierunku przerwania prymatu Berlina i Paryża nad polityką Unii. Jednym zdaniem: wspólnota suwerennych państw narodowych, a nie eurokołchoz sterowany przez dwa największe państwa, kierowane za pośrednictwem brukselskiej arystokracji – Tusków, Junckerów i tym podobnych zjawisk.

Na papierze to wszystko wygląda pięknie, ale co się stanie w momencie, w którym Ruch Pięciu Gwiazd będzie chciał realizować agendę zniesienia sankcji wobec Rosji? Bierze to pan pod uwagę?

Wraz z przedstawicielami innych ruchów antysystemowych poprzez aklamację przyjęliśmy 10-punktowy program współpracy, ustaliliśmy równocześnie, że nie we wszystkich postulatach i dążeniach musimy się zgadzać. Włosi są w takiej sytuacji, że u nich nie było nigdy wojsk sowieckich, więc należy zrozumieć, iż ich podejście do Rosji jest nieco inne.

Są takie sprawy, w których trzeba się opowiedzieć zero-jedynkowo z perspektywy polskiej racji stanu. Dajmy na to sprawa budowy Nord Stream 2.

Rzeczą oczywistą jest, że każdy rząd skupia się na własnym podwórku, a Włosi obecnie nie zastanawiają się, czy Nord Stream 2 będzie OK z perspektywy Warszawy, czy nie. Jestem jednak przekonany, że gdybyśmy wprowadzili razem europosłów i częściej rozmawiali… Bo wie pan, my mamy z nimi świetne relacje czysto ludzkie, w sensie towarzyskim wręcz przyjacielskie.

eprasa.pl 5ea8026dbc

Tylko do europarlamentu nie idzie się na piwo.

Niech pan nie trywializuje. Od takich rzeczy jak dobre relacje można iść dalej. My chcemy krok po kroku przekonywać naszych partnerów, że polski punkt widzenia jest istotny. Opowiadać o historii relacji polsko-rosyjskich, pokazywać, jakie metody stosuje Moskwa, gdy dostaje zbyt wiele swobody w Europie. Nie da się tego zrobić na dyplomatycznych rautach, przy stole z chorągiewkami. My mamy inny pomysł na uzmysłowienie Włochom, jakie zagrożenie może płynąć ze strony Rosji – wydaje mi się, że skuteczny.

Wróćmy na polskie podwórko wyborcze. Czy wzbogacona o SLD i PSL Koalicja Europejska to dla pana silny kandydat do zwycięstwa, a może polityczna efemeryda, która na dłuższą metę musi się rozpaść?

Ta koalicja pokazuje fatalizm naszego ustroju. Przecież tam nie ma żadnego programu na Polskę w Europie, natomiast dominuje psychopatyczna wręcz mania odsunięcia PiS od władzy. Gdy Kaczyński zostanie obalony, wtedy przyjdą wieczne lato i wieczny dobrobyt. Żadnych konstruktywnych pomysłów, różnice ideowe między koalicjantami na poziomie antypodów. Zgoda panuje jedynie co do wykorzystania wyborów do europarlamentu jako trampoliny przed jesiennym starciem.

A co, jeśli sytuowanie się na boku całej tej polaryzacji i jednoczenia środowisk sprawia, że Kukiz'15 traci na atrakcyjności?

To może zadziałać na naszą niekorzyść, jeśli jedno z tych plemion wyraźnie wygra wybory. Wtedy nawet jeśli wejdziemy do parlamentu, to będziemy działać jak statyści, bo z opozycją żadna władza się nie liczy. Jeżeli kogoś się dzisiaj w polityce boję, to jednych i drugich w scenariuszu, w którym wspomnianym języczkiem u wagi nie jesteśmy.

Wydaje się, że nie boi się pan za to ewentualnego powrotu Donalda Tuska, w wywiadzie u Moniki Olejnik deklamując pieśń miłosną na jego cześć.

To dawno napisana pieśń miłosna, a nie żadne świeże uczucie. A na poważnie, gdy pojawiły się doniesienia o tworzeniu inicjatywy Ruch 4 Czerwca, pierwsze skojarzenie, jakie miałem, to tworzenie zaplecza politycznego pod start Tuska w wyborach prezydenckich, co mnie szczególnie nie martwi. Wtedy będę miał już bowiem pełną informację, którzy z bezpartyjnych samorządowców są zwolennikami ancien régime'u, a którzy szukają innej drogi. To będzie dla mnie bardzo cenna informacja przed październikiem.

Przewodniczący Tusk mówił w TVN, że chciałby, aby wspomniany ruch przypominał Solidarność z lat 80.

Śmiać mi się chce, bo przy okazji Tusk opowiadał o „odpowiedzialności" i „etyce" Okrągłego Stołu. Cały Ruch 4 Czerwca w tym kontekście wygląda niepoważnie, bo akurat Okrągły Stół był koronnym przykładem braku etyki i odpowiedzialności w polityce. Wtedy ponad głowami Polaków podzielono się państwem, co opisałem w piosence „Dnia 4 czerwca". Kompletnie padłem jednak dopiero wtedy, gdy Donald Tusk stwierdził, że utworzy „ruch obywatelski". Taki to oddolny ruch, że oparty na ludziach, którzy w polityce siedzą od kilkudziesięciu lat, nie znając innego życia. To jest tak samo jak ze świeżością Roberta Biedronia, który ze 20 lat spędził w kolejnych lewicowych partiach, od SLD do Ruchu Palikota. To są twory, które mają ogłupić biednych ludzi, pozostawionych bez żadnej edukacji politycznej i ustrojowej, dodatkowo otumanianych przez uwikłane w te spory media.

Wspomniał pan o Robercie Biedroniu. Dlaczego nie wierzy pan w ożywczy powiew Wiosennego wiatru zmian?

Po pierwsze, ze względów już wspomnianych, po drugie, ponieważ traktuję Wiosnę jako potencjalne wzmocnienie opcji Grzegorza Schetyny, który pożarł wszystko i pewnie środowisko wokół Biedronia również dałby radę skonsumować. Generalnie Biedroń to dla mnie osoba politycznie niepewna, która różne swoje zgryzoty przykrywa uśmiechem, ale przede wszystkim zależy mu na brukselskim salonie, z którego wcale nie mam pewności, że wróci.

To teraz kolejna nowa siła. Polska Fair Play Roberta Gwiazdowskiego. Potencjalny sojusznik?

Myślę, że tak. Gdyby pan Robert chciał startować z naszych list, nie mówię „nie".

A jak pan ocenia listy do europarlamentu wystawione przez PiS? Partia mówi: stawiamy na znane nazwiska i lokomotywy, które pociągną konkretne województwa, opozycja natomiast twierdzi, że to „akcja ewakuacja".

Nie widzę powodów, dlaczego akurat w tej chwili PiS miałby się ewakuować do Brukseli, skoro sondaże są dosyć wysokie i stabilne. A można się spodziewać, że po ostatnich obietnicach wyborczych – bardzo populistycznych, ale trafiających do elektoratu – słupki poparcia mogą podskoczyć.

„500+" na każde dziecko się panu nie podoba?

Nie no, jest wspaniałe. Może następnym krokiem będzie „500+" na dziecko planowane. No takie proszę pana mamy obietnice wyborcze, gdy ludzi nie uświadamia się, czym jest kwota wolna od podatku. Ba, problem jest znacznie głębszy, bo według badań opinii publicznej 30 proc. Polaków nie wie, że płaci podatki, będąc przekonanymi, że płacą je tylko bogaci, a oni nie. I jak my jako Kukiz'15 mamy się przebić? Wracając jednak do list – to nie ewakuacja, ale przetasowanie kadrowe w łonie partii i powolne przekazywanie władzy w ręce premiera Mateusza Morawieckiego. Mogę się mylić, ale takie odnoszę wrażenie, szczególnie w przypadku przekierowania na inny odcinek frontu ministra Joachima Brudzińskiego, o którym przecież mówiło się jako o potencjalnym następcy Jarosława Kaczyńskiego, z ogromnym wpływem na struktury terenowe partii. Z nim za granicą Morawiecki będzie mógł się czuć pewniej.

Jeśli doliczymy do tego trzynaste emerytury, zwolnienie z PIT pracowników do 26. roku życia i przywracanie połączeń PKS, to najbliższe miesiące premiera wydają się politycznie zabezpieczone.

Pewnie ma pan rację, ale znowu pytanie o cenę tego bezpieczeństwa. O ile zawsze lepiej jest, jeśli chociaż część pieniędzy, po które sięgnęłoby państwo, zostaje w kieszeni obywateli, o tyle kolejny raz można się czepić szczegółów. Dlaczego zwolnienie z PIT działa preferencyjnie tylko na jedną grupę wiekową i tylko przy umowach o pracę? Jeśli ktoś jest młodym przedsiębiorcą i ma własną firmę, to podatki będzie musiał płacić tak, jak płacił. Jemu się ulga nie należy? Zaraz zaczną się kombinacje z przepisywaniem działalności i trzeba będzie tworzyć nowe prawo do walki z nimi, zamiast prawo deregulować. Będę to do znudzenia powtarzać. To wszystko, co „PiS dał", można było „dać" taniej, bardziej sprawiedliwie i wydajniej poprzez podwyższenie kwoty wolnej.

eprasa.pl 5ea8026dbc

Pan tutaj opowiada jakieś nudy o podatkach. A może w poszukiwaniu elektoratu wystarczy uderzyć w nuty antykościelne? Przynajmniej w przypadku sporej części opozycji to działa.

Wiem, że to dzisiaj temat nośny, ale szczerze mówiąc, staram się w sprawy kościelne w polityce angażować jak najmniej. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, co się stało z pomnikiem prałata Jankowskiego. Jestem zwolennikiem rzetelnego dochodzenia do prawdy przez organy do tego powołane, a nie przez działaczy partyjnych. To jest problem Kościoła, a nie mój.

Tak łatwo nie dam za wygraną. Opodatkowałby pan tacę, jak chce zrobić Robert Biedroń?

Jeżeli wszyscy i każdy przychód podlega opodatkowaniu, to nie mam wątpliwości, że temu samemu prawu musi podlegać Kościół. Jednak ciężko mi sobie wyobrazić kasę fiskalną przy każdej ławce w kościele.

Idźmy dalej: renegocjowałby pan konkordat?

Nie jestem prawnikiem, żeby wypowiadać się na temat konkordatu, ale sądzę, że co jakiś czas powinno się różne umowy międzynarodowe przeglądać, aktualizować i oceniać ich przydatność.

Religię w szkołach zostawić czy wyprowadzić?

Od dawna twierdzę, że wyprowadzić i przenieść do salek katechetycznych, a mówię to jako osoba wierząca. Katecheza w szkołach – moim zdaniem – bardziej szkodzi Kościołowi, niż mu pomaga, ale właśnie w takich kwestiach powinien decydować naród w referendum, a nie pan Biedroń czy ja.

Idąc tropem światopoglądowym: o legalizacji aborcji również powinien zadecydować naród?

Tutaj już niekoniecznie.

Dlaczego?

W tym kontekście niezmiennie powtarzam jedno zdanie: dopóki państwo nie zapewni godnego bytu dzieciom urodzonym z wadami i ich opiekunom, często pozostawionym na pastwę losu, dopóty będę stał murem za obecnym kształtem ustawy aborcyjnej i nie zgodzę się na jej zaostrzanie.

Myśli pan, że właśnie te tematy zdominują jesienną kampanię? W Warszawie po wygranych wyborach Rafał Trzaskowski od początku stawia na akcje o zabarwieniu ideologicznym. Mowa choćby o „deklaracji LGBT+", ochronie osób homoseksualnych, specjalnym hostelu, w którym mogą zamieszkać, gdy czują się dyskryminowane.

Każdemu Polakowi należy się ochrona państwa, gdy jego prawa są zagrożone, ale nie podoba mi się uprawianie polityki kluczem światopoglądowym. Dlaczego akurat społeczność LGBT ma mieć taki hostel, gdy dyskryminowanych jest wiele innych grup? Dlaczego preferencje seksualne mają być tutaj wyznacznikiem? To są efektowne chwyty, ale z realną polityką i problemami zwykłych ludzi mają niewiele wspólnego.

Przechodząc zatem do poważnej polityki: aktywnie komentuje pan kryzys polsko-izraelski, który wybuchł po konferencji bliskowschodniej w Warszawie. Czy ten fatalizm w relacjach Polacy-Żydzi da się jakoś przerwać?

Mam taką nadzieję, aby do tego doprowadzić, a rzecz odnosi się do wszystkich trudnych relacji, z Ukrainą również – trzeba najpierw wspólnie wyspowiadać się ze swoich win. Tymczasem mamy do czynienia z tragicznymi uogólnieniami rzucanymi w przestrzeń publiczną. Co to znaczy, że „Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki"? Rozumiem przywoływanie znanych z imienia i nazwiska bandytów oraz udokumentowanych sytuacji bestialstwa, które udowadniają, że człowiek bywa zły bez względu na narodowość, ale nie takie coś.

Dlaczego akurat społeczność LGBT ma mieć specjalny hostel, gdy dyskryminowanych jest wiele innych grup?

Pana wpisy na Twitterze, w których wskazał pan na żydowskie pochodzenie komunistycznych zbrodniarzy – sędziów czy agentów bezpieki – wzbudziły ogromne kontrowersje, włącznie z oskarżeniami o antysemityzm.

Eh.

„Kukiz wierzy, że sięganie po antysemickie przyśpiewki w kraju, który na tym polu ma długą tradycję, gwarantuje głosy" – pisze „Gazeta Wyborcza".

Co za bzdury. Zacznę od tego, że nigdy nie byłem, nie jestem ani nie będę antysemitą. Chyba że za antysemitę należy uznać człowieka, który dokumentuje zapomniane cmentarze, w tym żydowskie, i pomaga w ich utrzymywaniu i sprzątaniu. Jeśli można tak nazwać człowieka, który przyniósł do Sejmu uchwałę upamiętniającą rocznicę urodzin Isaaca Bashevisa Singera, to tak, wtedy można mnie nazwać antysemitą. Wie pan, ręce mi czasami opadają, gdy odbijam się od ignorancji podobnych ataków. Nigdy nie napisałem, że Żydzi odpowiadają za zbrodnie przeciwko Polakom, napisałem jedynie, że byli tacy Żydzi – konkretni – którzy mordowali Polaków, i tacy Polacy – konkretni – którzy mordowali Żydów. To jest rzecz oczywista i należy te wszystkie przypadki jako przestrogę pokazywać. Ale na Boga, nigdy nie obwiniać narodów. Nadreprezentacja Żydów w komunistycznym aparacie bezpieczeństwa była udokumentowanym faktem. Ja nie będę odwracać wzroku od faktów, ale wniosków podobnych do Israela Katza nie mam zamiaru wyciągać. Moje sumienie jest czyste.

„W odpowiedzi Kukizowi: tak Kukiz, przez swoje wystąpienia jesteś antysemitą, krzewisz antysemityzm w Polsce, wprowadziłeś nacjonalistów i antysemitów do Sejmu. Jesteś zwykłą świnią. A teraz mnie pozywaj..." – napisał dziennikarz Wojciech Czuchnowski. Czy spełni pan jego prośbę?

Jak rozumiem, zdaniem Czuchnowskiego samo wypowiedzenie słowa „Żyd" jest już antysemityzmem. Tak, mam zamiar spotkać się z nim w sądzie z oskarżenia prywatnego, jeśli mnie nie przeprosi. W tej sprawie wysłałem już przedsądowe pismo, żądając sprostowania. Żeby on mnie chociaż nazwał jakąś niezwykłą świnią…

A tutaj nawet wśród świń okazał się pan przeciętny.

Masakra. Jeśli jednak dojdzie do tego procesu, to może być to ciekawa sprawa i w końcu dowiem się, jak wygląda wiarygodna definicja antysemityzmu.

Zakończmy polityką. Jeśli Kukiz'15 nie dostanie się do Sejmu, to rzuca pan wszystko i wraca na pełen etat do rock and rolla?

Ja nie spocznę dopóty, dopóki w Polsce nie zmieni się ustrój. Moje działania polityczne zmieniłyby formę, ale nie treść. Gdybyśmy znów znaleźli się w opozycji, to jeszcze więcej czasu poświęciłbym na jeżdżenie po kraju i tłumaczenie ludziom, jak mają walczyć o swoją podmiotowość. A do muzyki nie muszę wracać, bo nigdy jej nie zostawiłem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

POSUBOTNIK

Rozdawactwo

Rafał A. Ziemkiewicz

Czy demokracja może przetrwać wybory?

Wybory naiwnie nazywane są czasami – a przynajmniej tak było kiedyś, gdy wiązano z nimi więcej nadziei – „świętem demokracji". W istocie należałoby mówić raczej o swego rodzaju paroksyzmie. Szczególnie w państwie, w którym o władzę rywalizują dwa prowadzące ze sobą zimną wojnę domową polityczne plemiona – czyli np. w Polsce. Wybory są w tej sytuacji momentem groźnym. Dla jednych – kryzysem grożącym utratą władzy, czyli utratą wszystkiego. Dla drugich – szansą na odzyskanie władzy, czyli ocaleniem, odzyskaniem wszystkiego, co utracili.

Co najważniejsze, każde z plemion kieruje się logiką „przede wszystkim trzeba ten kraj uratować przed nimi, choćby za cenę jego kompletnego zniszczenia". Jeśli nawet kompletnie rozwalimy go w gruzy, to dla zwycięstwa i tak warto. A jeżeli mamy przegrać, to nawet lepiej, żeby tamci przejęli kupę gruzów niż państwo dobrze funkcjonujące i dostatnie, bo w takim byłoby nam jako opozycji trudniej się odkuć.

Każde wybory, jak łatwo sprawdzić w medialnych archiwach, są ostatnie, decydujące, są walką o wszystko, która rozstrzygnie sprawy fundamentalne: czy Polska pozostanie wolna, czy wolność utraci, czy będziemy w Europie, czy w Azji, czy w średniowieczu, czy słońce będzie nadal świecić, czy zapadnie ciemność. „Stawką tych wyborów jest sama demokracja" – krzyczała „Gazeta Wyborcza" przed wyborami poprzednimi, sugerując, że jeśli PO przegra, to następnych wyborów już w ogóle nie będzie. Ani chybi tak samo będzie mobilizować swe plemię i w maju, i na jesieni, i w przyszłym roku. Po prostu cykliczny armagedon.

W tej sytuacji pytanie, jakie zadawać sobie musi władza, to nie: „Jak użyć posiadanych zasobów, jak zarządzać, żeby kraj się jak najlepiej rozwijał?", tylko: „Jak zarządzać, żeby wygrać następne wybory?". Nie ma tu żadnego pola do wątpliwości: wygranie kolejnych wyborów jest warunkiem sine qua non jakiegokolwiek rozwoju, bo przecież jeśli nie, to kraj wpadnie w ręce szatańskie i wszystko przepadnie. Sprzeczność między długofalowym interesem kraju i obywateli a doraźnym nabiciem przez rządzących popularki zostaje w ten sposób skutecznie zlikwidowana, oczywiście tylko w sensie narracyjnym – długofalowym interesem kraju i obywateli jest przede wszystkim, żeby władza się nie zmieniła. Albo – w ujęciu opozycyjnym – żeby ją odsunąć. Świadomość, że i władza, i opozycja jadą na jednym wózku, consensus co do jakiegokolwiek dobra wspólnego jeśli w ogóle kiedykolwiek istniały, to po roku 2010 i po wyborczym laniu sprawionym przez PiS tzw. liberalnym elitom w 2015 r. istnieć przestały.

@

Wbrew powiedzeniu, które – parafrazując słowa wielkiego malarza o symetrii – nazywam „mądrością głupków", prawda nie leży pośrodku prawie nigdy. Za opisany stan rzeczy odpowiedzialność nie rozkłada się „po równo". To prawda, PO od roku 2015 kopiuje postępowanie PiS i Kaczyńskiego w latach 2007–2015. Delegitymizacja demokratycznie wybranej władzy, sugestia, że wygrała ona tylko „przez przypadek" i stanowi „kondominium", przeniesienie aktywności politycznej z parlamentu na ulice (skądinąd niejako wymuszone złamaniem przez ówczesną władzę zasad przyzwoitego procedowania w parlamencie – wedle butnej formuły marszałka Niesiołowskiego: „Wygrajcie wybory, to sobie przegłosujecie, co będziecie chcieli"), nawet nieśmiałe jeszcze odwołanie się do Unii Europejskiej (nie przeciwko własnemu krajowi, tylko przeciwko odmawiającej Polakom prawa do śledztwa Rosji – inna sprawa, że rząd PO-PSL stanął w tym

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

sporze po stronie Putina) – to wszystko precedensy dokonane przez PiS. Zgubne w skutkach przekształcenie sporu politycznego, w normalnej demokracji pojmowanego jako spór o konkretne rozwiązania i propozycje, w starcie moralne Dobra ze Złem, z natury niezostawiające miejsca na jakikolwiek kompromis, dokonało się u nas jeszcze wcześniej – w dobie „wojny na górze", tak właśnie z punktu ustawionej przez michnikowszczyznę, co zresztą było mechanicznym przejęciem dziedzictwa Piłsudskiego, które opisywałem w „Złowrogim cieniu Marszałka".

Kaczyński jednak, nawet jeśli to on wyznaczył Schetynie drogę „jak przetrwać w totalnej opozycji i nie pozwolić, żeby mnie wysiudali z mojej partii, żeby mi się ona nie rozpadła i żeby zjadła wszelką konkurencję do mojego elektoratu", sam nigdy nie posunął się w owym „rokoszu", który wtedy salony oburzał do utraty tchu, ani w części tak daleko, jak zrobił to obóz antypisowski. Jak wielokrotnie wspominałem, Jarosław Kaczyński to typowy polski inteligent (w moich ustach to wcale nie pochwała, ale dla większości Polaków – owszem), taki przedwojenny, z Żeromskiego i „Wiadomości Literackich", ze wszystkimi tej zamierzchłej już dziś formacji zaletami i wadami. Romantyczno-powstańcze dziedzictwo jego samego i jego formacji odbiera jej skuteczność oraz zdolność realistycznej oceny sytuacji, ale też wyznacza ograniczenia – świadomie Polsce szkodzić nie potrafią.

Akceptując formułę „opozycji totalnej" i orientując na patriotyzm „unijny", a nie krajowy, liberalne elity z tego rodzaju ograniczeń się zwolniły. Nie chcę zanudzać czytelników, którzy wszak śledzili te sprawy na bieżąco, przypominaniem kolejnych zdarzeń z ostatnich lat, układających się dla opozycji w maniakalno-depresyjny cykl wzmożeń i lamentów, „ciamajdanów" i wmawiania sobie, że „to już ich koniec", naprzemiennie ze szlochem, że „kupiona za pińćset hołota" osobę ze znaczkiem KOD otacza w tramwaju niechęcią „jak żydowskie dziecko w czasie okupacji", a fanatyczki, które napadły na Magdalenę Ogórek, doznają tegoż właśnie „nejmingu i szejmingu", do którego swego czasu liberalne salony wzywały przeciwko PiS.

Chyba nikt jednak nie zaprzeczy, że cała działalność opozycji przez ostatnie trzy lata była próbą „rozbujania łodzi", aby doprowadzić do głębokiego kryzysu, społecznego buntu („przyjdą miliony i PiS-owcy będą z okien skakać" – ileż razy powtarzali politycy i celebryci tę frazę?), interwencji zagranicznej i przyśpieszenia wyborów. Punktem przełomowym wydaje się odmowa podjęcia przez opozycję dialogu w sprawie Trybunału Konstytucyjnego po tym, jak PiS-owska odpowiedź chamówą na wcześniejszą peowską chamówę została skontrowana przez instytucje europejskie i okazało się, że jesteśmy poza obszarem jakkolwiek uregulowanym przez prawo. PiS był wtedy skłonny rozmawiać, zgodnie zresztą z zaleceniem Komisji Weneckiej, o poprawce do konstytucji i kompromisie. Nieprzejednane: „Żadnych rozmów z łamiącymi konstytucję" Schetyny podyktowane było partyjnym interesem PO – dzięki temu powstrzymano wzrost notowań Nowoczesnej i Petru – ale również bezpodstawną wiarą, że w ciągu kilku miesięcy sprawą Trybunału uda się tak „zgrillować" PiS, że spełnią się fantazje o skakaniu z okien i „znowu będzie, jak było".

@

„Piątka Kaczyńskiego", jak nazwał PiS swoje socjalne obietnice, z punktu okrzyczana została przez opozycyjne media „nieodpowiedzialnym rozdawnictwem", „rujnowaniem budżetu" i tak dalej – zresztą z całą tą śmiesznością, od której opozycja organicznie nie jest zdolna się uwolnić, bo przy jednoczesnym równie głośnym oskarżaniu PiS o to, że „ukradł" te obietnice Platformie i innym partiom Koalicji Europejskiej. Podobnie jak w przypadku sławnej już „jedynki", na której „Gazeta Wyborcza" potępiła podwyżki płac obiecane m.in. pielęgniarkom i nauczycielom, to kolejny dowód na to, że zasada „opozycji totalnej", czyli krytykowania w czambuł PiS za wszystko i ze wszystkich pozycji naraz, to paranoja, w którą brnięcie szkodzi nie tylko Polsce, lecz także samej opozycji.

Problem nie polega jednak na tym, że „nie ma na to pieniędzy". Wyskakując zresztą odruchowo z takim właśnie oskarżeniem, „totalni" doskonale wyszli naprzeciw oczekiwaniom władzy, która dokładnie ten efekt chciała uzyskać – jej oczywista odpowiedź brzmi teraz: tak samo mówili trzy lata temu, a proszę, PKB, ratingi, ściągalność podatków – wszystko rośnie!

W istocie rzecz nie w tym, że „piniędzy nie ma i nie będzie", tylko że te pieniądze, które może i są (nie podejmuję się liczyć), a na pewno są w obecnym stanie państwa do pożyczenia, powinny być przeznaczone na rozwój i bezpieczeństwo – szczególnie na armię, która może być niedługo, Chryste Panie, tak potrzebna, a jest w kompletnej ciemnej ruinie. „Piątka Kaczyńskiego" jest przejadaniem przyszłości. Tak jak przejadaliśmy ją i za Tuska. Państwo się od tego nie zawali, ale oczywiście osłabnie, zwolni, straci szanse – rachunek przyjdzie dopiero „kiedyś", ale przyjdzie na pewno.

Czy wobec nadchodzącego paroksyzmu wyborów, i to wyborów wedle formuły śp. Jana Olszewskiego „czyja Polska", a nie „jaka", może PiS postępować inaczej? Nie piszę tego, by przejadanie przyszłości usprawiedliwiać, tylko by ukazać i objaśnić dławiącą nas, mówiąc Norwidem, „historyczną i socjalną fatalność".

Jakkolwiek źle czy zgoła absurdalnie to zabrzmi – dla Polski byłoby dużo lepiej, gdyby rządy PiS były właśnie jakimś „autorytarnym reżimem" i „dyktaturą", o których tyle bredzi antypisowski aparat propagandowy. Wręcz szkoda, że nie są.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Z Tomaszem Porębą, europosłem, szefem sztabu wyborczego PiS
rozmawia Wojciech Wybranowski

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

eprasa.pl 5ea8026dbc

Miejsce Polski jest tylko w UE

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Niektórzy kandydaci PiS do PE już rozpoczęli swoją kampanię wyborczą, np. Ryszard Czarnecki, którego billboardy już zawisły w Poznaniu, po czym okazało się, że będą startować w innych okręgach. Z czego wynika ten chaos?

TOMASZ PORĘBA: Nie ma mowy o żadnym chaosie. Wręcz przeciwnie – mocno zaskoczyliśmy pozytywnie tak silnymi listami. Ich skład wynika z pewnej dynamiki w polityce. Chcieliśmy wystawić mocne listy tak, by na czołowych miejscach znaleźli się ludzie, którzy potrafią i będą skutecznie reprezentować Polskę w Parlamencie Europejskim. Wychodząc z tego założenia, uznaliśmy, że dotychczasowe przywiązanie kandydatów do regionów, z których pochodzą lub z których już startowali, nie będzie najistotniejsze przy ich układaniu.

Po niezłej kampanii samorządowej Patryka Jakiego w Warszawie mówiło się w PiS, że będzie jedynką PiS do PE właśnie z tego miasta. Teraz się okazuje, że może być zaledwie trójką w Małopolsce...

Nie ja decyduję o kolejności kandydatów na listach wyborczych. Myślę jednak, że Patryk Jaki jest politykiem, który bardzo by się nam w Brukseli przydał.

Do tego dochodzą też informacje, które przedostały się do mediów o domniemanym konflikcie między Jarosławem Kaczyńskim a premierem Morawieckim, dotyczące organizacji konferencji bliskowschodniej w Warszawie.

Panie redaktorze, choćby z racji przygotowań do kampanii wyborczej bardzo często spotykam się zarówno z prezesem Kaczyńskim, jak i premierem Morawieckim i nie słyszałem o żadnym konflikcie między nimi. Wręcz przeciwnie – w mojej ocenie są między nimi bardzo dobra chemia i przekonanie, że razem idziemy mocno do przodu.

Nie ma pan poczucia déjà vu? Prowadził pan kampanię samorządową w atmosferze „taśm Morawieckiego". Teraz, na progu kampanii do PE, głównym narzędziem opozycji stają się „taśmy Kaczyńskiego". Można bagatelizować wymiar aferalny całej sprawy, ale niewykluczone, że spowoduje ona zniechęcenie pewnej części dotychczasowego elektoratu PiS.

Nie ulega wątpliwości, że stawka wyborów – i tych wiosennych, i tych jesiennych – jest bardzo wysoka. Nie tylko dla partii politycznych, lecz także środowisk, w tym medialnych, bliskich opozycji, to gra o wszystko. Mamy świadomość, że walczymy sami przeciwko „reszcie świata", że w najbliższym czasie czeka nas wiele ataków, które będą wyprowadzane nie tylko przez polityków opozycji, lecz także wspierające ich media i środowiska pozostające na zapleczu Platformy. Podkreślam – jesteśmy na to przygotowani. Pracujemy też nad tym, żeby wykonać kilka ruchów do przodu, które pozwoliłyby w sposób dobrze przemyślany i zorganizowany odpowiadać na ataki. I proszę dziś nie pytać, jakie to ruchy, bo oczywiście nie zdradzę.

Jednak „taśmy Kaczyńskiego", zawiadomienia składane przez Romana Giertycha do prokuratury, przecieki z zeznań Birgfellnera publikowane na łamach „Gazety Wyborczej" mogą nieco narzucić narrację w kampanii wyborczej.

Po pierwsze, rzekoma afera, wykreowana i na siłę ciągnięta przez „GW", okazała się zupełnym niewypałem i już bardzo mocno się zdewaluowała. Takie zachowania w całej sprawie, jakie prezentują Roman Giertych i „GW", w moim przekonaniu nie trafiają do ludzi, bo trudno zarzucić Jarosławowi Kaczyńskiemu jakąkolwiek nieuczciwość. Ludzie to absolutnie odrzucają.

Niekoniecznie. Jeżdżąc po Polsce, słyszę niekiedy: „Platforma kradła, więc zagłosowaliśmy na PiS, teraz okazuje się, że też kradną, więc nie będziemy głosować".

To bardzo niesprawiedliwa ocena. W przeciwieństwie do naszych poprzedników szybko reagujemy na wszystkie przypadki nadużywania władzy czy przywilejów. Dlatego naszym celem jako PiS będzie jak najwięcej osób z tej grupy przekonać, że – tak jak powiedział prezes – może nie zawsze jesteśmy aniołami, ale budujemy silną, sprawiedliwą i zasobną Polskę, w której każdy ma prawo do realizacji marzeń i bezpiecznego życia.

Z kolei opozycyjna Koalicja Europejska będzie przekonywać, że wygrana PiS oznacza polexit, a taka argumentacja, jak pokazały już jesienne wybory samorządowe, działa mobilizująco na jej elektorat.

Rzeczywiście mamy do czynienia z przejściowym zjednoczeniem opozycji pod szyldem europejskim, ale nie oglądamy się na to. Mamy swój program, swój pomysł na kampanię, nie będziemy wchodzić w żadne emocjonalne zwarcia z drugą stroną. Zauważamy natomiast i jestem przekonany, że widzą to również wyborcy, iż ugrupowania opozycyjne wywodzące się z bardzo różnych kręgów ideologicznych zjednoczyły się tylko po to, by powalczyć o władzę, nie mając natomiast żadnych propozycji dla Polaków.

Wewnętrzne szacunki PiS w trakcie kampanii samorządowej wskazywały, że dzięki straszeniu

eprasa.pl 5ea8026dbc

polexitem opozycji udało się zmobilizować do głosowania na nią ok. 3 proc. wyborców, którzy wcześniej zamierzali pozostać w domu. Teraz kwestia pozostania bądź nie Polski w UE będzie odmieniana przez wszystkie przypadki.

Nie ma bardziej proeuropejskiej – w sensie racjonalnej oceny sytuacji i kierunków rozwoju UE – partii w Polsce niż Prawo i Sprawiedliwość. Natomiast patrząc na to z innej perspektywy – w obozie drugiej strony, która mówi, że grozi nam polexit, jest jednak wielu kandydatów wywodzących się z partii i ze środowisk politycznych, które przed 1989 r. były w zupełnie innym miejscu niż obóz prowolnościowy, demokratyczny, europejski. Absolutnie nie damy się im ubrać w szaty kogoś, kto wyprowadza Polskę z Unii. Miejsce Polski jest w Europie, przyszłość Polski jest w Europie, absolutnie odrzucamy jakąkolwiek logikę polexitu jako szkodliwą dla Polski. Jednak przy tym wszystkim chcemy być też taką partią polityczną i takim rządem, który nie boi się na forum europejskim walczyć o polskie sprawy, i o tym będziemy też w trakcie kampanii mówić. Naszą odpowiedzią na ataki opozycji i próby zarzucania nam dążeń do polexitu będzie konsekwentne zabieganie o silną pozycję i miejsce Polski w Europie.

Zastanawiam się, czy Koalicja Europejska, będąc rzeczywiście konglomeratem różnych, ideologicznie sprzecznych środowisk, nie dostanie z racji sojuszu od krytycznych wobec PiS wyborców bonusu, podobnego do tego, jaki dostał PiS w 2015 r., dzięki Zjednoczonej Prawicy.

Zobaczymy. Proszę jednak zwrócić uwagę, że Zjednoczona Prawica mimo drobnych różnic była i jest pod względem ideologicznym bardzo spójna. Nie ma u nas takich problemów jak w Koalicji Europejskiej, gdzie z jednej strony mamy skrajnie antyklerykalną panią Wielgus chcącą postawić Kościół przed Trybunałem w Hadze, a z drugiej odwołujących się do tradycji chrześcijańskiej ludowców z PSL. Nasza spójność programowa pokazuje bardzo dużą różnicę między nami a KE. Polacy, mam nadzieję, zauważą, że przeciwko nam wystawiono pospolite ruszenie stworzone na potrzeby chwili, że KE to pewien wyraz cynicznej gry, a zarazem bezradności partii opozycyjnych, niepotrafiących sobie w pojedynkę poradzić z PiS. Generalnie Koalicja Europejska to sztuczny twór, który ma wynieść polityków opozycji do władzy, a nie zmieniać Polskę i Europę na lepsze.

Pana zdaniem Koalicja Europejska przetrwa do jesiennych wyborów parlamentarnych?

Nie wierzę w to. Już dziś twórcy Koalicji Europejskiej mają olbrzymie problemy, by spiąć ją pod względem personalnym, ustalić, kto z których miejsc wystartuje na liście, już toczą się spory o to, kto ma mieć ile „jedynek", słychać, że listy przedstawią dopiero pod koniec marca, co oznacza dla nich miesiąc straty w kampanii wyborczej. Po wyborach nie uda się utrzymać koalicji tak różnych podmiotów politycznych, w której z jednej strony są byli prominentni działacze PZPR, z drugiej strony skrajni liberałowie, „zieloni", odwołujący się do chrześcijaństwa ludowcy i wreszcie działacze mający swoje korzenie w Solidarności.

Koalicja Europejska to sztuczny twór, który ma wynieść polityków opozycji do władzy, a nie zmieniać Polskę i Europę na lepsze

Z jednej strony lewicowo-liberalna Koalicja Europejska, z drugiej katolicko-narodowo-wolnościowa koalicja na czele z Braunem i Korwin-Mikkem podgryzająca PiS z pozycji eurosceptycznych. To może oznaczać dla PiS utratę kilku punktów procentowych.

Koncentrujemy się na naszym programie i nowych propozycjach dla Polaków, które chcemy sprawnie po raz kolejny zrealizować. Nie będziemy się oglądać i komentować tego, co robi konkurencja polityczna. My jesteśmy PiS, nie PO czy Partia Wolność. Wchodzenie w dywagacje, zastanawianie się, kto z której strony będzie nam odbierał głosy, jest oczywiście ważne i ciekawe, ale z punktu widzenia politologów czy dziennikarzy. Dla nas liczą się skuteczność kampanii i budowa skutecznego przekazu. Jeśli to się nam uda, to nikt nam w zwycięstwie nie zagrozi.

To już koniec współpracy PiS z o. Tadeuszem Rydzykiem? Na listach PiS do PE nie znalazł się prof. Mirosław Piotrowski, nieoficjalnie mówi się, że toruńskie radio może też wspierać koalicję Brauna i narodowców...

Jednak słyszy się też, że Radio Maryja i telewizja Trwam bardzo mocno odcinają się od nazywania partii pana Piotrowskiego partią o. Rydzyka. Jestem spokojny i przekonany, że najważniejszym podmiotem politycznym, który w tych wyborach będzie się cieszył poparciem różnych środowisk, również katolickich i medialnych, będzie Prawo i Sprawiedliwość. A co do pana Piotrowskiego, to przypomnę, że dwukrotnie już startował z list PiS i dwukrotnie zaraz po wyborach odchodził z delegacji PiS w Parlamencie Europejskim, osłabiając jej zasób kadrowy i możliwości działania. Musimy się szanować. Nie było innego wyjścia w jego przypadku – trudno, żebyśmy po raz trzeci wchodzili do tej samej rzeki.

Wybory samorządowe pokazały, że elektoraty PiS i opozycji zamykają się w bastionach: „wielkomiejskim" i „powiatowym" i że żadna ze stron nie ma pomysłu, jak teren przeciwnika zdobyć. Tymczasem to właśnie mieszkańcy dużych miast mogą być języczkiem u wagi w wyborach do PE.

Duże miasta mają swoją specyfikę i oczywiście nie jest tak, że tam tylko PiS ma słabsze wyniki, bo przecież i PO w wielu dużych miastach nie wygrała, a prezydentami zostawali w nich kandydaci niezależni. Myślę, że w kampanii europejskiej będziemy musieli podjąć wysiłek dotarcia z naszym przekazem do mieszkańców także dużych i średnich miast.

Były już Dudabusy, Szydłobusy, prezes Kaczyński jeździł pociągiem, ten środek komunikacji wybrała też Ewa Kopacz, a wcześniej Grzegorz Napieralski. Czym zaskoczycie wyborców w trakcie europejskiej kampanii?

Mam świadomość, że wiele tego typu formatów już mocno się zużyło, że tego rodzaju kampanijne triki stosowane normalnie na świecie były już wykorzystywane przez chyba wszystkie partie w Polsce. Nie ukrywam, że zaprząta nam głowy, jak – w podobny sposób, jak zaskoczyliśmy na niedawnej konwencji, bo przecież była inna niż dotychczasowe, miała powiew świeżości – jak to kontynuować już w trakcie kampanii. Jak znaleźć pewien polot i atrakcyjność przekazu dotąd w Polsce niestosowanego, po który nie sięgnie nasza konkurencja. Jeszcze pracujemy nad tym.

A kto będzie kandydatem PiS na Komisarza Europejskiego? Na giełdzie nazwisk faworytem jest minister Jerzy Kwieciński, mówi się też o panu, ale niektórzy spekulują też o Joachimie Brudzińskim, łącząc z tym także jego start w wyborach do PE.

Nie ma jeszcze ostatecznych decyzji, mogę tylko powiedzieć za siebie, że ja na pewno nie mam takich aspiracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

ZAPRA
SZAMY **MŁO
DYCH DZIENNI
KARZY**

TERMIN NADSYŁANIA
ZGŁOSZEŃ DO 15.03

CZŁO
WIEK Z
PAS
JA

NAGRODA DZIENNIKARSKA
IM. ZYGMUNTA MOSZKOWICZA
DRUGA EDYCJA

CELEM KONKURSU JEST WSPIERANIE MŁODYCH,
UTALENTOWANYCH DZIENNIKARZY

WWW.CZLOWIEKZPASJA.PL

ORGANIZATOR
interia

eprasa.pl 5ea8026dbc

Raport papieżowi Franciszkowi zawieźli m.in. Marek Lisiński, prezes Fundacji „Nie lękajcie się" (z lewej), i posłanka Joanna Scheuring-Wielgus. Na zdjęciu: z Matthiasem Katschem, działaczem organizacji zajmującej się pedofilią w niemieckim Kościele FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Z prasówką do papieża

Tomasz P. Terlikowski

To żaden raport. A jego forma raczej zaszkodzi, niż pomoże walce z przestępstwami seksualnymi w Kościele. Tak najkrócej można podsumować wrażenia z lektury dokumentu Fundacji „Nie lękajcie się", który wręczony został papieżowi Franciszkowi

Obiecany przez episkopat raport dotyczący molestowania seksualnego nieletnich w Kościele wciąż nie został opublikowany, a nic nie wskazuje na to, by był choćby na finiszu opracowania. Chociaż nie brakuje w Polsce diecezji ani zakonów, które do sprawy podeszły niezwykle poważnie (by wymienić tylko archidiecezję warszawską i gnieźnieńską czy diecezję płocką), to są i takie, które robią wszystko, by prace nad raportem spowolnić albo nawet storpedować.

W takiej sytuacji każdy inny raport poważnej instytucji (a za taką uchodzić chce Fundacja „Nie lękajcie się") może stać się poważnym źródłem do rozpoczęcia dyskusji nad problemem. I z takim nastawieniem siadałem do jego lektury. Wzmocnione ono było jeszcze poleceniem, które otrzymałem od redakcji. „Tomaszu – nalegano poważnym tonem – przygotuj analityczny tekst na temat zarzutów raportu". Usiadłem więc, z ołówkiem w ręku i wyostrzonym umysłem, i… odpadłem już po pierwszej stronie lektury, a później było tylko gorzej. Zbiór selektywnie dobranych tekstów prasowych, zmanipulowanych doniesień telewizyjnych podlany sosem przewidywalnego do bólu antyklerykalizmu i antykatolickich fobii trudno nazwać raportem. Jest to raczej babranie się w g…, zwane również rzeźbieniem w twarogu.

CO ZA BEŁKOT

Tak, wiem, że nie jest to opinia analityczna, ale nie da się podejść analitycznie do czegoś, co jest zwyczajnym bełkotem, i to zarówno na poziomie postulatów, jak i opisów realnych (bo takie też są) i domniemanych win Kościoła. Zacznijmy

eprasa.pl 5ea8026dbc

od strony pierwszej. Tam autorzy „raportu" domagają się powołania przez episkopat niezależnej od Kościoła katolickiego komisji badającej przestępstwa seksualne. I aż trudno nie zadać pytania, jak ma wyglądać owa niezależność, jeśli organem powołującym komisję będzie sam episkopat? Czy jego gwarancją ma być zasiadanie w komisji agresywnych antyklerykałów w typie Agaty Diduszko--Zyglewskiej? A może wprowadzenie do niej polityków jednej z odnóg (straciłem już wiedzę, jak obecnie nazywają się owe partyjki) dawnej „kropki Nowoczesnej"? Tego nam niestety w tekście nie wyjaśniono. Ważne jednak, by episkopat sam powołał niezależną od siebie komisję. Zabawnie brzmi też postulat skierowany do Konferencji Episkopatu, by ten zniósł przedawnienie przestępstw seksualnych. Ja rozumiem, że lewica od dawna oskarża Kościół o to, że to on stanowi w Polsce prawo, i że może Joanna Scheuring-Wielgus uwierzyła we własną propagandę, ale tak się składa, że w naszym kraju kodeksy układają politycy, a nie episkopat. Postulat tego typu trzeba więc skierować do Sejmu, w którym tak się składa, że jedna z autorek tekstu zasiada.

Jeśli komuś tego było jeszcze mało, to odsyłam do opisu „zbrodni" abp. Marka Jędraszewskiego. I tu znajdziemy pomieszanie z poplątaniem. Obok słusznych pytań o jego rolę w obronie abp. Juliusza Paetza pojawiają się tam zarzuty dotyczące jego wypowiedzi na temat in vitro czy ideologii gender. „Arcybiskup Jędraszewski znany jest też ze stosowania w wypowiedziach publicznych języka nienawiści. Ludzi starających się o respektowanie w Polsce zapisów konwencji o zapobieganiu przemocy wobec kobiet i przemocy w rodzinie nazwał publicznie lewacką zarazą i porównywał ich do stalinowców. Atakował też niepłodne pary starające się o dziecko metodą in vitro" – możemy przeczytać w raporcie. Pomijając już to, że zarzuty te nie są prawdziwe (żeby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać całe kazania, a nie ich starannie spreparowane przez TVN24 i „Gazetę Wyborczą" fragmenty), to nawet gdyby jednak były, nijak się mają do problemu pedofilii. Są jedynie dowodem na to, że autorzy dokumentu nie są w stanie powstrzymać swoich agresywnie antykościelnych poglądów i że od dobra ofiar ważniejsza jest dla nich promocja lewicowych poglądów. Jeśli komuś za mało tego wątku, to można dodać jeszcze, że jednym z zarzutów wobec abp. Stanisława Gądeckiego jest to, że nie spodobał mu się film „Kler".

NIENALEŻYTA STARANNOŚĆ

Gdyby chcieć oceniać ten raport z punktu widzenia dziennikarskiego (a zawiera on głównie mocno skomentowane odniesienia do tekstów medialnych), to trzeba by powiedzieć, że zbierający je autorzy raportu nie „dochowali należytej staranności" zarówno w ich doborze, jak i opisie. Oto bowiem w opisie „przestępstw" kard. Kazimierza Nycza zarzucają mu, że jako biskup koszalińsko-kołobrzeski, a później metropolita warszawski, nie ukarał należycie kapłanów oskarżonych (i skazanych) za pedofilię. Problem z tymi oskarżeniami jest tylko taki, że decyzję o nieprzeniesieniu obu duchownych do stanu świeckiego podjęła Stolica Apostolska, a kardynał (wcześniej biskup) Nycz jedynie wykonał jej polecenia. Jeśli więc ktoś jest za to odpowiedzialny, to Kuria Rzymska, a nie metropolita warszawski.

Jeśli komuś ten raport służy, to jedynie antyklerykalnej lewicy. Z troską o dobro ofiar nie ma to nic wspólnego

Nie inaczej jest z oskarżeniami pod adresem bp. Andrzeja Czai. Oświadczenie kurii opolskiej nie pozostawia wątpliwości, że w opisie sprawy posłużono się wieloma nieprawdziwymi informacjami, które następnie zostały sprostowane przez kurię. W sprawie ks. Pawła Kani, odnoszącej się do archidiecezji wrocławskiej, także „zapomniano" poinformować, że w pierwszej instancji sąd uznał go za niewinnego i dopiero rok później (czyli wtedy, gdy rozpoczęto procedury w Kongregacji Nauki Wiary) wyrok został zmieniony, a duchownego odsunięto od pracy z młodzieżą. W innym opisie sprawy księdza z archidiecezji gdańskiej pominięto milczeniem to, że… duchowny ten został uniewinniony, bo udowodnił, że zarzuty przeciwko niemu zostały w całości spreparowane. Wszystkie te błędy, niedopatrzenia sprawiają, że na rzekomy raport trudno patrzeć inaczej niż jako na prasówkę, i to przeprowadzoną przez nieporadnego studenta, który nie jest w stanie nawet ocenić, czy przytaczane źródła są wiarygodne, czy takie nie są. Gdyby takie coś przygotował jakikolwiek researcher w jakiejkolwiek redakcji (no, może poza „Faktami i Mitami"), zostałby wylany.

Nie wszystkie opisane w „raporcie" sprawy są fałszywe, nie we wszystkich posłużono się manipulacją, a część z nich rzeczywiście mrozi krew w żyłach. Problem polega tylko na tym, że te prawdziwe przemieszano z fałszywymi i podlano sosem agresywnego antyklerykalizmu, co oznacza, że trudno cokolwiek z tych danych traktować poważnie.

KOMU TO SŁUŻY?

Wystarczy już tego opisu. Teraz kilka wniosków. Nie sposób nie zadać pytania, komu to wszystko służy. Czy rzeczywiście ofiarom księży pedofilów, czy przestępców seksualnych? Czy wyjaśnieniu sprawy, czy jej oczyszczeniu? A może chociaż zwróceniu uwagi Ojca Świętego na realne czy wydumane problemy Kościoła w Polsce? Odpowiedź jest smutna, ale oczywista. Żadnej z tych rzeczy. Pierwszy lepszy kurialista rzymski, jeśli weźmie to „dzieło" do ręki, będzie mógł stwierdzić (i bez wątpienia to zrobi), że tekst jest pozbawiony wartości merytorycznej, a wynika z antykatolickiej (prawdopodobnie u części motywowanej prawdziwymi zranieniami) pasji autorów. Papież więc sprawą się nie zajmie. Ofiarom księży pedofilów także w niczym to nie pomoże, bo… tak się składa, że dokument ten nie wnosi nic do rzetelnego opisu ich prawdziwych cierpień, a wygląda co najwyżej jak pamflet przygotowany na zlecenie walczących bezbożników. Efekt jego opublikowania będzie więc taki, że część ludzi uzna, iż cała walka o oczyszczenie i sprawiedliwość dla ofiar przestępców seksualnych jest elementem walki z Kościołem. Nie widać także w tym dokumencie szans na oczyszczenie. Oczyszczenie wymaga bowiem prawdy, a nie rzucanych na prawo i lewo oskarżeń.

Jeśli więc komuś ten raport służy, to jedynie antyklerykalnej lewicy, która zamierza go, podobnie jak film „Kler" oraz przygotowywany przez Tomasza Sekielskiego dokument czy książkę (swoją drogą zawierającą fascynujące, ale równie niesprawdzone jak „raport" informacje o lawendowej mafii w Watykanie), użyć w walce przed najbliższymi wyborami. Z troską o dobro ofiar nie ma to nic wspólnego. A szkoda, bo to one powinny być w centrum zainteresowania zarówno Kościoła, jak i innych instytucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Łukasz Warzecha

Czy polska armia ma być szybko wyposażana w dobrą broń, czy ma zaspokajać żądania związkowców przemysłu zbrojeniowego?

Walka o broń

Pod koniec 2017 r. do służby w Marynarce Wojennej wszedł zbudowany w Polsce ORP „Kormoran" – nowoczesny niszczyciel min. Ktoś mógłby się zdziwić, wspominając dopiero teraz, po 17 latach, dobiegającą końca budowę okrętu ORP „Ślązak", z mozołem konstruowanego w całkowicie państwowej Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni. Tymczasem stępkę pod „Kormorana" położono we wrześniu 2014 r., a wodowanie odbyło się już rok później! Owszem, „Kormoran" to okręt znacznie mniejszy niż „Ślązak", ale i tak różnica w tempie prac jest porażająca. Tyle że „Kormorana" zbudowała stocznia Remontowa Shipbuilding – całkowicie prywatna. I zabiera się za budowę kolejnych podobnych jednostek.

Historia dwóch tych okrętów – jednego kleconego blisko dwie dekady przez upadającą państwową firmę, drugiego zbudowanego błyskawicznie w prywatnej stoczni – ilustruje znakomicie dylemat, z którym musi się zmagać MON: czy polska armia ma być wyposażona szybko w dobrą broń, czy też głównym zadaniem ministerstwa jest zaspokajanie żądań załóg państwowego przemysłu zbrojeniowego. Brzmi może zero-jedynkowo, ale tak faktycznie w wielu przypadkach jest.

SMUTNE POLSKIE STOISKO

Ogromne poruszenie w Internecie wywołały trzy zdjęcia, które umieściłem niedawno na swojej facebookowej stronie. Wykonano je podczas styczniowych cywilnych targów broni SHOT

eprasa.pl 5ea8026dbc

Polski niszczyciel min ORP „Kormoran" powstał w rok. Zbudowała go bowiem prywatna stocznia FOT. MICHAL FLUDRA/ZUMA PRESS/FORUM

Show w Las Vegas – to organizowane od 1979 r. jedne z najbardziej prestiżowych cywilnych targów broni na świecie i pole do walki o potężny amerykański rynek. Są na nich obecni wszyscy najwięksi producenci: Glock, Sig Sauer, Beretta, Winchester, Walther i wielu, wielu innych, w tym zdobywających dynamicznie amerykański rynek, tak jak chorwacki XDM (znany i lubiany również w Polsce), tam występujący jako Springfield.

Na pierwszym zdjęciu pokazano stoisko Českiej zbrojovki – cenionego również w Polsce producenta uzbrojenia. Kilkanaście modeli broni krótkiej, kilka pistoletów maszynowych, nowości, tłum ludzi. Na pozostałych dwóch widać było stoisko Fabryki Broni w Radomiu. Spośród trzech stoliczków tylko na jednym umieszczono pojedynczy pistolet. Był to vis – nie współczesna replika, lecz egzemplarz historyczny, wypożyczony przez delegację fabryki na miejscu. Podobnie jak dwa egzemplarze karabinków Beryl, które można było oglądać przez jeden dzień. Trzeciego dnia nawet visa już nie było. Na stoliczkach polskiego producenta pozostały ołówki, długopisy i smycze. FB nie przywiozła na targi żadnej broni z Polski, bo podobno nie udało się jej uzyskać na czas pozwolenia przewozowego w związku z miesięcznym zamknięciem rządu federalnego. Tyle że zamknięcie nastąpiło miesiąc przed targami, których data znana była rok wcześniej.

Komentujący ten minifotoreportaż w Internecie nie pozostawili suchej nitki na fabryce oraz na Polskiej Grupie Zbrojeniowej, w której skład wchodzi FB Radom. Odezwały się też oba państwowe podmioty. Przedstawiciele PGZ napisali: „Nieprawdą jest, że przedstawiciele PGZ starali się o zgody przewozowe w tym konkretnym przypadku. Część działań eksportowych na obecnym etapie procesu konsolidacyjnego Grupy nie jest realizowana pod auspicjami PGZ S.A. Zarząd PGZ jest zdeterminowany, aby zapewnić efektywny nadzór nad procesami biznesowymi zachodzącymi w spółkach, dlatego sukcesywnie wprowadzany jest Kodeks Grupy Kapitałowej PGZ. Jednym z jego elementów jest konsolidacja eksportu produktów na rynki trzecie z portfolio Grupy. Dzięki integracji rozproszonych dotychczas kompetencji, będziemy mogli skuteczniej działać na rynkach zagranicznych a tego typu sytuacje po prostu nie będą mieć miejsca". Tłumacząc z korpobełkotu na polski: to nie nasza wina, za ten bardak odpowiada kto inny. FB Radom zaś oznajmiła: „Ze względu na obowiązujące przepisy zaprezentowana broń została udostępniona przez lokalnych kontrahentów Fabryki Broni. Stoisko Fabryki Broni jak co roku cieszyło się dużym zainteresowaniem. Obecność na targach SHOT Show jest dla nas ważna z uwagi na fakt, że produkcja broni na rynek cywilny była i jest dla zarządu Fabryki Broni sprawą priorytetową".

Jednocześnie jednym z najbardziej obleganych stoisk na targach było to należące do istniejącej od 36 lat polskiej firmy Helikon-Tex z Miękini, producenta znakomitych ubrań strzeleckich i survivalowych, akcesoriów strzeleckich, specjalistycznych toreb i innych gadżetów. Helikon-Tex jest coraz popularniejszą marką w USA. Ich sprzęt chwalił m.in. Maciej Stebel, Polak, który wyemigrował do Stanów i został zastępcą szeryfa w okręgu Douglas w Nevadzie.

ZROBIĆ DOBRZE PAŃSTWOWYM SPÓŁKOM

Owszem, nie mówimy tu o produkcji dla wojska, ale ta anegdota pokazuje różnicę w sposobie działania między firmami prywatnymi (Česká zbrojovka jest także prywatna) a państwowymi. Zresztą są polskie prywatne firmy, specjalizujące się w produkcji stricte wojskowej, które odnoszą międzynarodowe sukcesy. Firma Lubawa, producent zaawansowanych technicznie systemów maskowania, zdobyła kilkanaście miesięcy temu kontrakt od US Army. Symbolem sukcesu w branży jest firma WB Electronics, produkująca m.in. bezzałogowce i wojskowe systemy szyfrowanej łączności. Pod koniec ubiegłego roku wygrała wart niemal 100 mln zł przetarg na dostarczenie takich właśnie systemów do jednego z krajów Afryki.

Niestety, firmy takie jak Lubawa czy WB Electronics, z punktu widzenia priorytetów obecnego rządu będą zawsze na dalszej pozycji. Założeniem, przyjętym na samym początku urzędowania Antoniego Macierewicza w MON, było, żeby wspierać rozwój państwowego przemysłu, nad którym rząd ma pełną kontrolę. Prywatne firmy były widziane najwyżej w roli podwykonawców, a i to z łaski. Uzasadniano to m.in. koniecznością zapewnienia ochrony kontrwywiadowczej i szczelności, lecz w gruncie rzeczy chodziło o to, żeby zrobić dobrze państwowym spółkom i ich pracownikom. Te ok. 17 tys. osób trzyma w pewnym sensie polską armię jako zakładnika.

– To absolutnie fatalne – irytuje się ważny urzędnik obecnego układu rządzącego, zajmujący się obronnością. – Zamiast myśleć przede wszystkim o tym, jak efektywnie i szybko zdobyć dobre uzbrojenie i sprzęt dla polskiej armii, musimy myśleć o tym, żeby utrzymać miejsca pracy i żeby się pracownicy zbrojeniówki nie zdenerwowali.

eprasa.pl 5ea8026dbc

Przykładem sytuacji, w której egoistycznie pojmowany interes polskiego przemysłu oraz kilku polityków wziął górę nad względami praktycznymi, była rezygnacja z zakupu fregat klasy Adelajda latem 2018 r. Sprawa miała posmak lekkiego skandalu dyplomatycznego, bo list intencyjny w sprawie zakupu okrętów miał zostać podpisany podczas wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Australii, będąc jej kulminacyjnym punktem. Gdy wizyta została go pozbawiona, sprawiała wrażenie wycieczki krajoznawczej, co postawiło w trudnym położeniu głowę państwa.

Zakup używanych okrętów od Australii, a potem uzbrojenia do nich od Amerykanów (co było już uzgodnione), nie był – wbrew twierdzeniom np. europosła Ryszarda Czarneckiego – jakąś „inicjatywą australijskiej Polonii", ale zrodził się w MON pod kierownictwem Mariusza Błaszczaka. Następcy Macierewicza chodziło o to, żeby móc pokazać jakiś konkret poza kontraktami, których wypełnienie jest kwestią lat, a także, aby Polska dysponowała jednostkami zdolnymi do operowania na innych akwenach niż Bałtyk. Z tego punktu widzenia zarzuty, że fregaty nie nadawały się na nasze morze, były nietrafione: nie ono miało być teatrem ich działań. Dzisiaj Polska nie posiada okrętów tej klasy.

Owszem, wokół transakcji było wiele wątpliwości. Ich ślady można znaleźć w bardzo eksperckich tekstach na portalach zajmujących się obronnością. Problem jednak w tym, że za zablokowaniem zakupu – oficjalnie przez premiera Morawieckiego – nie stały wcale względy merytoryczne, dotyczące przydatności fregat dla naszych celów albo kosztów ich utrzymania. Zakup mieli storpedować bezpośrednio u Jarosława Kaczyńskiego szef MSWiA Joachim Brudziński, szczecinianin, i minister gospodarki morskiej Marek Gróbarczyk, argumentując, że polskie stocznie nic z tego nie będą miały. Problem w tym, że polskie stocznie, zwłaszcza państwowe, nie są w stanie udźwignąć takiego zadania, przynajmniej na razie. Gdy niedawno rozmawiałem z ministrem Gróbarczykiem na ten temat, przyznał, że jego opinia mogła w tej sprawie odegrać jakąś rolę, utrzymywał jednak, że z polskich pochylni może zejść przynajmniej skorupa okrętu klasy fregata. Pytanie brzmi, czy nastąpiłoby to szybciej niż w ciągu 17 lat, których potrzebowano na zbudowanie „Ślązaka".

WCIĄŻ BEZ AGENCJI

Szef MON jest w takich sprawach między młotem a kowadłem. Jako polityk partii rządzącej musi uwzględniać jej czysto polityczne interesy, a więc także konieczność zaspokajania apetytów państwowych firm zbrojeniowych. Które tymczasem, mając zapewnione kontrakty, czują się w dużej mierze zwolnione z nacisku na efektywność, innowacyjność, poszukiwanie rynków zbytu poza Polską (patrz: FB Radom, zasilona państwowym kontraktem na karabinki Grot dla Wojsk Obrony Terytorialnej), ale za to ich załogi z wdzięczności zagłosują na rządzących.

Z kolei jako szef MON powinien brać pod uwagę przede wszystkim interes armii, a więc jakość kupowanego sprzętu, terminy, nowoczesność zastosowanych rozwiązań. Połączenie tych dwóch podejść bywa niemożliwe częściej niż możliwe.

Jeśli polska armia ma być sprawna, to trzeba szybko rozstrzygać o kolejnych zakupach. Na liście są m.in. okręty podwodne

Problem mogłaby choćby częściowo rozwiązać Agencja Uzbrojenia, która miałaby przejąć całość zadań związanych z zakupami sprzętu dla wojska. Jeszcze w marcu 2018 r. minister Błaszczak powołał pełnomocnika, który miał się zająć tworzeniem agencji. Został nim Paweł Olejnik, który za czasów urzędowania Błaszczaka w MSWiA kierował tamtejszym Zakładem Emerytalno-Rentowym. Olejnik na uzbrojeniu się nie zna, ale jego rolą miało być tylko przygotowanie instytucji. Niestety, od czasu powołania pełnomocnika nie wydarzyło się nic, a przynajmniej o niczym nie wie opinia publiczna. Jeszcze pod koniec ubiegłego roku szef MON zapowiadał, że projekt ustawy o Agencji Uzbrojenia będzie wkrótce gotowy. Tymczasem w połowie lutego na posiedzeniu senackiej Komisji Obrony Narodowej wiceminister obrony Wojciech Skurkiewicz opowiadał o siedmiu projektach ustaw, przygotowywanych w resorcie, ale nie było wśród nich tej o agencji. Na pytania zdziwionych senatorów odpowiadał wymijająco, że „jeszcze dzisiaj jest za wcześnie, aby na ten temat mówić".

W związku z tym pojawiły się spekulacje, że być może ministerstwo w ogóle nie chce powoływać AU w drodze ustawy, ale posłuży się aktem niższego rzędu. To jednak miałoby nikły sens. Agencja powołana w drodze rozporządzenia miałaby niską rangę, a jej likwidacja byłaby banalnie prosta. W ten sposób niczego by nie usprawniła, będąc przedmiotem nieustannych gierek partyjnych, politycznych i związkowych.

Agencja Uzbrojenia zmieniłaby cokolwiek tylko wtedy, jeśli zyskałaby choćby częściową niezależność od tych czynników, a więc musiałaby powstać na mocy ustawy. To mogłoby być wygodne również dla kolejnych szefów Ministerstwa Obrony, którzy wobec jej decyzji zakupowych mogliby rozkładać ręce i tłumaczyć rozeźlonym związkowcom z państwowych zakładów, że niewiele mogą zrobić, bo decyzję podjęli eksperci wyjęci spod ich bezpośredniego zwierzchnictwa.

Tymczasem, jeśli polska armia ma być sprawna, trzeba szybko rozstrzygać o kolejnych zakupach. Na liście są m.in. okręty podwodne (ogromny wydatek, który być może powinien być finansowany bezpośrednio z budżetu centralnego, a nie budżetu MON), samoloty myśliwskie (polskie skrajnie przestarzałe Su-22, których mamy niespełna 20, były remontowane w 2015 r. i mogą być używane jeszcze tylko sześć lat), śmigłowce szturmowe, które będą mogły zastąpić Mi-24. Opóźnia się modernizacja czołgów Leopard. Jeżdżącym zabytkiem, z rosyjskimi wskaźnikami i napisami przy przełącznikach, są sędziwe bojowe wozy piechoty, projektowane w latach 60. W Hucie Stalowa Wola mozolnie budowany jest pływający BWP „Borsuk" – jeśli wszystko pójdzie dobrze, to być może będzie gotowy do seryjnej produkcji w 2022 r. „Borsuk" to owoc polskiego przemysłu zbrojeniowego, ale właśnie w takiej sytuacji, gdy nasza piechota jeździ pojazdami, których miejsce od dawna jest w muzeum, można sobie zadać pytanie, czy faktycznie priorytetem powinna być satysfakcja finansowa polskiego przemysłu, a nie jak najszybsze wyposażenie armii w sprzęt obojętnie czyjej produkcji – byle dobry.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, Poczta Polska

eprasa.pl 5ea8026dbc

Agnieszka Niewińska

W tym roku polscy twórcy z Hollywood wyjechali bez statuetki. Za to Bollywood kolejny raz obsypał Polaków swoimi filmowymi nagrodami

Fakt, że żadna z trzech nominacji dla „Zimnej wojny" Pawła Pawlikowskiego nie zamieniła się w Oscara, wielu polskich widzów przyjęło z rozczarowaniem. Tomasz Kot, odtwórca jednej z głównych ról, opowiadał z rozbawieniem, że dziennikarze zagranicznych stacji telewizyjnych mieli nawet kłopot z rozpoznaniem polskich twórców. Meksykańska TV Azteca, sądząc, że Kot to Pawlikowski, prosiła o opinie na temat reżysera konkurującej z „Zimną wojną" „Romy". – Francuzi, którzy stali obok, też myśleli, że jestem Pawłem. Nie wiem, skąd się to wzięło – dziwił się Kot.

Są jednak miejsca, w których polscy twórcy z nikim nie są myleni, a z festiwalowych gal wychodzą nawet z kilkoma statuetkami. To Bollywood – tak umownie nazywa się indyjski przemysł filmowy.

Z KONKURSU MISS NA WIELKI EKRAN

W czasie, kiedy twórcy „Zimnej wojny" przygotowali się do oscarowej gali, tournée po telewizjach śniadaniowych odbyła Natalia Janoszek, pochodząca z Bielska-Białej aktorka, która na koncie ma już role w czterech filmach Bollywood, bierze udział w kolejnych zdjęciach i ma następne propozycje. Na początku lutego odebrała nagrodę JIFFA dla najlepszej międzynarodowej aktorki oraz nagrodę za debiut wokalny. Dla Janoszek była to już kolejna nagroda JIFFA. W 2018 r. doceniono jej rolę w filmie „Chicken Curry Law" i również uhonorowano ją nagrodą dla najlepszej międzynarodowej aktorki – statuetką, która swoją formą przypomina amerykańskiego Oscara. – JIFFA to nagroda jednego z największych festiwali filmowych w Indiach. Porównałabym go raczej do festiwalu w Cannes niż do oscarowej gali – mówi „Do Rzeczy" Natalia Janoszek.

W bollywoodzkiej produkcji zadebiutowała w 2012 r. Producentom z Indii wpadła w oko podczas jednego z konkursów miss, w którym brała udział. Tak rozpoczęła się jej przygoda z hinduskim kinem. – Indyjska kinematografia jest niezwykle ciekawa, egzotyczna. Hindusi kochają kino, na seanse chodzą całymi rodzinami. Najnowsze kinowe produkcje ogląda się nawet w slumsach. Mieszkańcy Indii do kina mają też szczególny szacunek. Przed seansem widzowie odśpiewują w kinie hymn narodowy – opowiada aktorka.

Uwielbienie dla kina przejawia się też w sposobie, w jaki fani traktują bollywoodzkie gwiazdy. Powiedzieć „uwielbienie" to nic nie powiedzieć. Aktorzy są otaczani niemalże kultem. Kiedy do szpitala trafił jeden z najsłynniejszych gwiazdorów – Shah Rukh Khan – fani przygotowali specjalną gazetę z informacjami o jego zdrowiu.

Janoszek, która zdobyła już popularność wśród hinduskich fanów, przyznaje, że wyrazy sympatii z ich strony są o wiele bardziej intensywne. – W Polsce fani co najwyżej grzecznie zapytają o autograf czy możliwość zrobienia zdjęcia. W Indiach od razu rzucają się na szyję, a podczas takiego spotkania z fanami można stracić ubranie. Dlatego też kiedy kręcę film w Indiach, producenci dbają o to, żebyśmy nie wychodzili ze studia czy planu bez ochrony. Kiedy gdzieś się pokazuję, zawsze towarzyszy mi kilka osób – opowiada Janoszek.

Natalia Janoszek związała się z Bollywood na dłużej, nie jest jednak jedyną Polką, która zagrała w indyjskich produkcjach filmowych. W 2008 r. na planie filmu „Karma" pojawiła się pochodząca z Wodzisławia Śląskiego Claudia Ciesla, modelka, piosenkarka, aktorka mieszkająca na stałe w Niemczech. Swoje pięć minut w Bollywood miała także była minister pracy i polityki społecznej w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza – Anna Kalata. Po odejściu z polityki zmieniła image

Natalia Janoszek wpadła w oko producentom z Indii podczas jednego z konkursów miss, w których brała udział FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

eprasa.pl 5ea8026dbc

Oscar po indyjsku

i zafascynowała się Indiami.

W 2010 r. w bollywoodzkim filmie „Cztery spotkania" zagrała matkę amerykańskiego nastolatka, który zakochuje się w dziewczynie z Indii.

W 2016 r. jedną z głównych ról w filmie gwiazdora indyjskiego kina Ajaya Devgana zagrała Erika Karkuszewska, znana polskim widzom z serialu „Aż po sufit" czy filmu „Bodo". Film „Shivaay" za indyjskimi mediami określiła mianem „thrillera akcji z silnie rozbudowanym wątkiem romantycznym". Do Bollywood trafiła z castingu. – Na planie byłam pierwsza, bo żeby mnie wystarczająco do roli wysztafirować, potrzebne były godziny – opowiadała o wrażeniach z indyjskiego planu w TVP.

Natalia Janoszek podkreśla, że indyjska kinematografia ceni polskich twórców. – Wysoko oceniane są tu umiejętności polskich fotografów, operatorów. Na planie spotkałam chociażby operatora Artura Żurawskiego, który jest bardzo ceniony w Indiach, ma wiele propozycji. Niedawno nagrodzone zostały zdjęcia Marcina Łaskawca – wylicza Janoszek.

Łaskawiec w czerwcu ubiegłego roku otrzymał nagrodę Indyjskiej Akademii Filmowej JIFFA. To ta nagroda jest odpowiednikiem Oscara. Uhonorowano go za zdjęcia do kasowego przeboju „Tiger Zinda Hai". Film, który na ekrany wszedł w grudniu 2017 r., do dziś zarobił ponad 87 mln dol. Dla Łaskawca zdjęcia do tej produkcji były fabularnym debiutem operatorskim. Przyznał, że praca w Indiach znacznie różni się od tej na Zachodzie. – Tu powiela się miejsca pracy dla ogromnej liczby ludzi, żeby dać im szansę cokolwiek zrobić – opowiadał.

Janoszek, która pracę na planie filmowym w Indiach opisała w książce „Za kulisami Bollywood", na zdjęciu pokazała tzw. spot-boya – osobistego asystenta, którego dostaje aktor. Spot-boy poda wodę, przytrzyma parasol czy wiatraczek dla ochłody aktora w czasie krótkiej przerwy na poprawę makijażu.

Aktor w Bollywood musi się też przyzwyczaić do tego, że w trakcie pracy wszystko może ulec zmianie. – Początkowo np. wchodziłam mojej agentce w kompetencje, chciałam wysyłać grafiki, ustalać wszystkie terminy, kiedy dokładnie wylatuję, co i w jakich godzinach robimy, co mam ze sobą zabrać. Z Hindusami tak się nie da, oni cały czas coś zmieniają – opowiadała Erika Karkuszewska. – Miałam lecieć do Indii na pięć dni, m.in. na wywiady i spotkania z fanami. Zrobiło się z tego ponad dwa tygodnie. W tym chaosie Hindusi zachowują jednak bardzo wysoki poziom profesjonalizmu i w tym tkwi – moim zdaniem – urok tego środowiska.

KOLLYWOOD I TOLLYWOOD

Indyjski rynek filmowy to poważny sektor gospodarki. W Indiach niemal każdy stan ma własne wytwórnie, a filmy kręci się w 20 językach. Na Zachodzie utarło się, że mianem Bollywood określamy całą indyjską kinematografię, ale faktycznie Bollywood to filmy z Mumbaju (dawniej Bombaj) w języku hindi i angielskim. Jeśli już filmy z Indii docierają na Zachód, to zazwyczaj właśnie z Bollywood. Jednak Indie mają też choćby tamilskie Kollywood czy Tollywood – ośrodek produkcji filmów w języku telugu.

W Polsce boom na kino z Indii dawno minął. – Kilkanaście lat temu indyjskie filmy pojawiały się w kinach, pokazy były bardzo barwne, brały w nich udział osoby przebrane w kolorowe indyjskie stroje. Filmy w słabej jakości wydawano na płytach, dodawano do gazet. Kino to interesowało zwłaszcza młodych ludzi – mówi Marek S. Bochniarz, filmoznawca z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. – Ten trend jednak minął. Część widzów zainteresowała się koreańskim, japońskim czy chińskim kinem gatunkowym. Inni weszli w dorosłe życie, założyli rodziny i zwyczajnie nie mają czasu na indyjskie kino. A takie filmy zazwyczaj trwają po trzy godziny. W 2015 r. na festiwal Pięć Smaków trafiła pierwsza część superprodukcji „Bahubali" i mimo że film był dobrze zrobiony, zabawny, to już dwa lata później maraton obu części nie cieszył się dużą popularnością – podkreśla medioznawca.

Zwraca uwagę, że choć w ostatnich latach poprawiła się jakość produkowanych w Indiach filmów, to wciąż nie mają one wysokiego poziomu artystycznego. – Mimo coraz większych budżetów te filmy nie stały się lepsze. Wiele z nich to projekty komercyjne przeznaczone raczej dla Hindusów niż na rynki zagraniczne – mówi Marek S. Bochniarz.

Natalia Janoszek podkreśla, że choć utarło się przekonanie, że indyjskie filmy to coś gorszego niż produkcje Hollywood, to jej zdaniem to opinia krzywdząca. – Filmy Bollywood ogląda porównywalna widownia co produkcje hollywoodzkie. Są znane nie tylko w Indiach, lecz także w sąsiednich państwach, takich jak Pakistan czy Afganistan. W kinie Bollywood dobrze orientują się także Rosjanie. Wiele produkcji to filmy wysokobudżetowe, ze stuosobową ekipą na planie – opowiada aktorka.

Dane pokazują, że pod względem liczby produkowanych filmów indyjski przemysł filmowy nie tyle dorównał Ameryce, ile ją przegonił. Powstaje tam blisko 2 tys. filmów rocznie. W USA – ok. 700. W sprzedaży biletów także jest przepaść. Z danych amerykańskiego „Forbesa" wynika, że Hollywood w 2016 r. sprzedało 1,31 mld biletów na swoje produkcje. Bollywood – 2,2 mld. – Indie są wschodzącym rynkiem, rosnącą gospodarką, więc te dane nie zaskakują – mówi Marek S. Bochniarz, zwracając uwagę, że rozwój gospodarczy jest tam sprzężony z rozwojem kina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Szukając Falenty

Łukasz Zboralski

Skazany za zlecanie podsłuchiwania polityków i biznesmenów nie stawił się w więzieniu. Policja złożyła wniosek o list gończy, a u prezydenta jest prośba o ułaskawienie Marka Falenty

Marek Falenta, biznesmen skazany po aferze taśmowej, która pogrążyła rząd PO-PSL, od miesiąca powinien przebywać w więzieniu. Falenta jednak nie stawił się 1 lutego, by rozpocząć 2,5-letnią karę pozbawienia wolności. Sąd wydał nakaz jego doprowadzenia do zakładu karnego. Jego adwokat przyznaje publicznie, że nawet on nie wie, gdzie podział się jego klient. W ubiegłym tygodniu stołeczna policja wystąpiła do sądu z wnioskiem o list gończy. To pozwoliłoby służbom na podjęcie szerszych działań.

OD KGHM DO WĘGLA

Do wybuchu afery taśmowej Marek Falenta nie był szerzej znany w Polsce, choć od dawna był na liście najbogatszych Polaków. Pochodzący z Lubina 44-latek, absolwent zarządzania i marketingu, zawodową karierę zaczynał w 1997 r. w KGHM. Szybko jednak zaczął własny biznes. Już po trzech latach pracy u giganta założył z kolegami spółkę Electus. Zajęli się w niej wykupywaniem długów samorządów i szpitali. Interes szedł świetnie – na tyle, że po sześciu latach firma warta była 450 mln zł. Za tyle kupił ją Dom Maklerski IDMSA. Biznesmen został akcjonariuszem IDMSA i prezesem Electusa.

W tym czasie miał pierwszy kontakt ze służbami specjalnymi. Tak ma wynikać z zeznań złożonych przez niego w tajnej kancelarii, do których dotarła „Gazeta Polska". Według tej relacji w 2004 r. agenci ABW z Wrocławia zatrzymali biznesmena za udzielenie pomocy w wyłudzeniu 20 tys. zł kredytu. W tej sprawie Falenta usłyszał wyrok – karę więzienia w zawieszeniu – który uprawomocnił się w 2009 r. Od tego czasu funkcjonariusze ABW mieli częściej się kontaktować z biznesmenem. Pytali go o nieprawidłowości i korupcję w służbie zdrowia, branży telekomunikacyjnej oraz – już później – w górnictwie. Marek Falenta miał podkreślać, że nigdy nie zgodził się na zostanie tajnym współpracownikiem służb.

Po prawomocnym skazaniu w 2009 r. akcje Falenty w IDMSA zajął komornik. A on sam zaczął rozwijać inne przedsięwzięcia i inwestować w firmy. W pewnym okresie kontrolował ok. 30 spółek. Miał akcje m.in. telekomunikacyjnej firmy Hawe. Gdy był jej głównym akcjonariuszem – w 2013 r. – ze spółką porozumiały się Polskie Inwestycje Rozwojowe. Chodziło o projekt dostarczenia sieci światłowodowych do blisko miliona lokali w Polsce. Inwestycję szacowano na ponad 0,5 mld zł.

Falenta inwestował również w LeadBullet czy firmę Umbrella Institute. Był też udziałowcem firmy ZWG dostarczającej wyroby do KGHM, Jastrzębskiej Spółki Węglowej Bogdanki, Kompanii Węglowej czy Katowickiego Holdingu Węglowego. Prowadząc inwestycje w tym sektorze, biznesmen postawił w końcu na obrót węglem. W 2014 r. już jako znany inwestor giełdowy kupił 40 proc. udziałów w firmie Składywęgla.pl. Szacowano, że mógł zainwestować nawet 100 mln zł. Firma była już potentatem na polskim rynku, miała ponad 350 punktów sprzedaży. Falenta planował dalszą ekspansję, ale wtedy rozpoczęły się jego biznesowe kłopoty.

W czerwcu 2014 r. do firmy sprzedającej węgiel wkroczyło Centralne Biuro Śledcze. Agenci zatrzymali dziesięć osób zajmujących tam kierownicze stanowiska. Składywęgla.pl zostały sparaliżowane, zajęto konta spółki. Sprawa miała

eprasa.pl 5ea8026dbc

Marek Falenta został w 2016 r. skazany na 2,5 roku bezwzględnego pozbawienia wolności FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

mieć związek ze sprowadzaniem do Polski taniego węgla z Rosji.

Falenta w rozmowie z „Pulsem Biznesu" wskazywał wtedy, że dzień aresztowania był pierwszym dniem promocyjnej sprzedaży węgla w tej firmie. Sprzedawała tonę za 599 zł, gdy konkurencja oferowała to samo od 800 zł w górę. – Po aresztowaniu kredyty kupieckie, których udzieliła firmie MM Group rosyjska firma KTK, zostały postawione w stan natychmiastowej wymagalności i istniała obawa, że udziały Składówwęgla.pl zostaną przejęte przez Rosjan. Staramy się temu zapobiec. Wydaje mi się, że mogła to być zaplanowana akcja przejęcia przez Rosjan Składówwęgla.pl. Wtedy sprzedawaliby węgiel bezpośrednio po ok. 300 zł, co przyczyniłoby się do bankructwa polskich kopalni – mówił Falenta „PB". Najtrudniejszy czas dla biznesmena miał jednak dopiero nadejść.

AFERA TAŚMOWA

W czasie, gdy Składywęgla.pl zostały sparaliżowane, wybuchła afera taśmowa. 14 czerwca 2014 r. tygodnik „Wprost" opublikował pierwsze nagrania. Były to zapisy członków rządu PO-PSL i prominentnych polityków tych ugrupowań oraz biznesmenów. Miesiącami ich prywatne rozmowy na spotkaniach w restauracjach Sowa & Przyjaciele oraz Amber Room nagrywali kelnerzy.

Polacy w mediach zobaczyli, jak arogancki stosunek do nich i do kraju mieli politycy rządzącej wówczas opcji. „Państwo polskie istnieje teoretycznie. Praktycznie nie istnieje – dlatego że działa poszczególnymi swoimi fragmentami, nie rozumiejąc, że państwo jest całością" – dowodził ówczesny szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz. On także skwitował jeden ze sztandarowych projektów rozwojowych poprzedniego rządu stwierdzeniem „ch... dupa i kamieni kupa". Z kolei na nagraniach ujawnionych przez „Do Rzeczy" ówczesna minister infrastruktury i rozwoju Elżbieta Bieńkowska, komentując pensję swojej znajomej, wypaliła: „6 tysięcy... Rozumiesz to? Albo złodziej, albo idiota... To jest niemożliwe, żeby ktoś za tyle pracował". Jasno dała też do zrozumienia, że rządowy plan ratowania górnictwa był fikcją. „Prawda jest taka, że właściciel, czyli Ministerstwo Gospodarki, generalnie w dupie miało całe górnictwo przez całe siedem lat. Były pieniądze, a oni, wiesz, pili, lulki palili, swoich ludzi poobstawiali, sam wiesz, ile zarabiali, i nagle pierdyknęło" – przyznawała.

Służby specjalne, które nie potrafiły zabezpieczyć polityków przed nagrywaniem ich prywatnych spotkań, próbowały zatamować wypływ kolejnych nagrań. Rankiem 18 czerwca 2014 r. funkcjonariusze ABW weszli do redakcji „Wprost" i zażądali wydania nośników z nagraniami podsłuchów, które trafiały do dziennikarzy. Napotkali opór i wyszli. Po kilku godzinach wrócili jednak większą grupą i z prokuratorem. Doszło do szarpaniny – agenci próbowali wyrwać laptopa redaktorowi naczelnemu gazety. Za dziennikarzami „Wprost" wstawili się koledzy z innych redakcji, którzy przyjeżdżali na miejsce bronić zasad wykonywania zawodu. Ostatecznie wieczorem prokurator odpuścił. ABW nic nie wskórała.

Te wydarzenia wstrząsnęły nie tylko branżą dziennikarską. „Swoimi dzisiejszymi działaniami władza Donalda Tuska przyznała się do winy. PO nie cofa się dziś przed naruszaniem wolności słowa, tajemnicy dziennikarskiej i wszystkich tych wartości, które w wolnym świecie są podstawowymi zasadami. Dlatego wszyscy, którym zależy na wolnej i demokratycznej Polsce, powinni dziś stanowczo zaprotestować" – napisał wówczas w specjalnym oświadczeniu prezes PiS Jarosław Kaczyński.

WYROK I ODWOŁANIA

Afera taśmowa przyczyniła się do wyniku wyborów w 2015 r., w których Platforma Obywatelska i PSL utraciły władzę.

Śledztwo doprowadziło do zatrzymania kelnerów, którzy podkładali podsłuchy i gromadzili materiał. Ostatecznie sąd nie zdecydował się ich skazać na więzienie. Jeden musiał zapłacić 50 tys. zł na cel społeczny, drugi musiał zapłacić grzywnę i został skazany na pozbawienie wolności na 10 miesięcy, ale w zawieszeniu.

Jedynym skazanym na karę bezwzględnego więzienia okazał się Marek Falenta, którego zatrzymano w 2015 r. Rok później sąd uznał, że to biznesmen zlecał nagrywanie przedsiębiorców i polityków.

Wyrok w jego sprawie uprawomocnił się w 2017 r., ale biznesmen nie poszedł do więzienia. Jego obrońcy wskazywali, że nie może odbyć kary ze względu na stan zdrowia. Onet ujawnił, że prawnicy Falenty zgromadzili dokumentację wskazującą na jego chorobę psychiczną – opinie lekarskie miały wskazywać na chorobę afektywną dwubiegunową. Sąd nie zgodził się jednak na odroczenie kary. Nie pomogły zażalenia na tę decyzję.

Po tym, gdy Marek Falenta nie stawił się w zakładzie karnym, jego obrońca sugerował w mediach, iż biznesmen mógł znajdować się w szpitalu psychiatrycznym. – Jego stan zdrowia stale się pogarszał, nie wykluczam, że może nie być świadomym tego, że został wezwany do odbycia kary – powiedział dziennikarzom Radia ZET mec. Marek Małecki.

Do Kancelarii Prezydenta miała wpłynąć prośba o ułaskawienie Falenty. Według nieoficjalnych informacji TVN24 złożyć miała ją siostra biznesmena. Opinie sądu i prokuratury w sprawie ułaskawienia mają być negatywne.

Jeszcze w połowie ubiegłego roku w sieci pojawiła się petycja w sprawie ułaskawienia biznesmena. Wsparł ją i podpisał Cezary Gmyz, korespondent TVP i współpracownik „Do Rzeczy". „Nie wiem, czy Falenta jest winny czy nie. Ale jest coś głęboko niesprawiedliwego w tym, że »bohaterowie« taśm z Sowy i pałacyku Sobańskich chodzą po wolności, a on ma iść siedzieć" – napisał w Internecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. MATEUSZ ZELNIK/TVP

Z Jerzym Zelnikiem, aktorem i reżyserem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Trzynastu grzesznych ludzi

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Premiera adaptacji powieści „Cena" w pańskiej reżyserii na deskach Teatru Telewizji 4 marca br. o godz. 21 w TVP1 zbiega się niemal z 75. urodzinami Waldemara Łysiaka (8 marca). Przypadkowo?

JERZY ZELNIK: Lubię rocznice i życzę jubilatowi wszystkiego najlepszego, ale ta zbieżność to jedynie szczęśliwy traf. Od dawna pracowałem nad przełożeniem na scenę tego doskonałego thrillera psychologicznego, przeczytanego łapczywie kilkanaście lat temu. Wywarł na mnie wrażenie wręcz piorunujące. Ujął wielowątkowością na różnych poziomach rozważań etyczno-moralnych. Przy tym mistrzowski dialog – którym autor operuje – stanowi dla wykonawców pierwszorzędny materiał. Zresztą aktorzy już po otrzymaniu tekstu byli pełni entuzjazmu.

To powieść dialogowa – skądinąd odnoszę wrażenie, że pierwotnie miał to być dramat – więc chyba nie wymagała wielu przeróbek scenicznych.

Rzeczywiście tak było, lecz potem dialog wzbogaciła narracja, z której ja musiałem zrezygnować, niemniej oczywiście pozostała pogłębiającą temat inspiracją.

Jedność miejsca, czasu i akcji przywołują echa tragedii helleńskiej...

Tak, bo wszystko dzieje się w ciągu 18 godzin, w jadalni pałacyku hr. Tarłowskiego (Marek Barbasiewicz). Podczas okupacji niemieckiej schorowany arystokrata podejmuje kolacją przedstawicieli miejscowej inteligencji. Jubilera (Sławomir Orzechowski), adwokata (Jarosław

eprasa.pl 5ea8026dbc

Gajewski), nauczyciela (Marcin Kwaśny), właściciela kina (Wojciech Kortoń), radcę (Zbigniew Lesień), profesora (Krzysztof Wakuliński), lekarza (Łukasz Lewandowski), dziennikarza (Radosław Pazura), naczelnika poczty (Zbigniew Suszyński), księdza (Piotr Bajor), aptekarza (Aleksander Mikołajczak) oraz policjanta (Bogdan Kalus). Rozważają, w jaki sposób uwolnić 10 zakładników oczekujących na egzekucję. Oficer gestapo (Sławomir Pacek) określił bowiem swoje warunki. 80 tys. dol. za czterech zwolnionych (pośród nich syn hrabiego). Na tym jednak nie koniec. Gestapowiec otrzymał rozkaz rozstrzelania 10 ludzi, toteż żąda listy zawierającej personalia przeznaczonych do zwolnienia oraz tych, którzy ich zastąpią!

Mnie przedstawienie skojarzyło się z niezapomnianym dramatem sądowym „Dwunastu gniewnych ludzi" w reżyserii Sidneya Lumeta z Henrym Fondą w roli głównej.

„Cena" ma bardziej klasyczny wymiar, ponieważ jej akcja rozgrywa się w jedynym planie. A wspomniany film – o ile pamiętam – w czterech, gdyż oprócz sali posiedzeń przysięgłych zawiera sceny realizowane na ulicy, w pokoju sędziowskim oraz sali sądowej.

Chociaż scenerię „Ceny" stanowi małe miasteczko sprzed kilku dekad, to treść ma wymiar ponadczasowy.

Ponieważ przesłanie spektaklu jest i uniwersalne, i aktualne. Nocne rodaków rozmowy. Dyskutują ze sobą, sprzeczają się, mierzą z własnymi słabościami i obawami, że wyjdą na jaw skrzętnie przez nich skrywane, mroczne sekrety. Jadalnia, gdzie toczy się dysputa, staje się dla jej uczestników swoistą celą więzienną. „Z tego salonu nie można wyjść dziewicą" – powiada jeden z bohaterów zastanawiających się nad wyborem mniejszego zła, zjawiska starego jak świat.

Mniejsze zło zawsze pozostaje jednak złem...

Dlatego każdy z debatujących zostaje skażony grzechem, chociaż nie wszyscy to dostrzegają. „Najgorsze nie jest to, że ludzie oszukują, najgorsze jest to, że każde oszustwo ma jakieś usprawiedliwienie" – podsumowuje profesor.

Lokalna społeczność podzielona doświadczeniami i światopoglądem uosabia Polskę współczesną?

Fabułę można dopasować do dowolnego miejsca i czasu. Mechanizmy funkcjonowania świata – poza technologią – nie zmieniły się od stuleci. Spory i zatargi społeczno-polityczne miewają rozmaite genezy i reperkusje. Występują pod każdą szerokością geograficzną. Wydaje mi się, że głębsze podziały niż u nas nękają dziś Amerykanów i Francuzów. Ale wiadomo – bliższa koszula ciału. My jesteśmy niestety przyzwyczajeni do dysponowania nami z góry, wpajano nam to przez 45 lat komuny. Generacje wychowane w PRL przywykły do świętego spokoju, ponieważ nie miały wpływu na kształt państwa, którym z mocy Moskwy zarządzali kolejni namiestnicy. Odzyskawszy suwerenność, wprowadziliśmy demokrację. A ona – jak mawiał Winston Churchill – nie jest najlepszym ustrojem, lecz lepszego nie wymyślono. Powoduje ogromną polaryzację poglądów i konflikty, więc – można rzec za Molierem – masz, co chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

> **Mimowolnie nasuwają się konotacje biblijne. Trzynastu mężczyzn musi podjąć decyzję dotyczącą selekcji oznaczającej życie bądź śmierć**

Tytuł spektaklu ma znaczenie dubeltowe?

Po włosku cena to wieczerza, mimowolnie nasuwają się zatem konotacje biblijne. Trzynastu mężczyzn musi podjąć decyzję dotyczącą selekcji oznaczającej życie bądź śmierć. Klaustrofobiczna scenografia – autorstwa Marka Chowańca – i niepokojąca muzyka Wojciecha Konikiewicza potęgują napięcie towarzyszące tej wyrafinowanej werbalnie naradzie ogniskującej się wokół kwestii ceny płaconej za podjęcie decyzji, za wzięcie na siebie odpowiedzialności.

Zdaniem ministra Józefa Becka jest tylko jedna rzecz, która jest bezcenna...

Natomiast któraś z dramatis personae peroruje: „Są ceny zbyt wysokie i monety zbyt kosztowne w pewnych sytuacjach". A co do honoru, to – mówię to z przykrością – w dzisiejszych czasach bywa dyskredytowany i mało poważany.

Zapadająca w pamięć szermierka słowna – ornamentowana ripostami i błyskotliwymi bon motami – zapada w pamięć...

Przekonuje o wielkiej erudycji – ale także umiejętności tworzenia misternych intryg i poczuciu humoru – Waldemara Łysiaka. Co w połączeniu z nieoczekiwanymi zwrotami akcji, a także – używając terminologii filmowej – przewrotnym, finałowym suspensem gwarantuje telewidzom 80 minut – bo tyle trwa emisja – inteligentnych emocji. Po których – ufam – przyjdzie czas na refleksję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Waldemar Łysiak – pisarz, jego książki od przeszło 40 lat królują na listach bestsellerów, i to bez kampanii marketingowej! (np. „Kolebka", „Wyspy zaczarowane", „Asfaltowy saloon", „Flet z mandragory", „Konkwista", „Kielich", „Najlepszy", „Najgorszy", „Stulecie kłamców" i „Mitologia świata bez klamek").
Po ukończeniu architektury na Politechnice Warszawskiej zatrudniony w Pracowni Konserwacji Zabytków. Potem studiował historię sztuki we Włoszech, a na macierzystej uczelni – gdzie przez lata wykładał dzieje kultury i cywilizacji – obronił pracę doktorską pt. „Doktryna fortyfikacyjna Napoleona".
Wielki znawca Bonapartego i jego epoki. Vide: „Szuańska ballada", „Empirowy pasjans", „Cesarski poker", „Szachista".
Autor ośmiotomowego albumu „Malarstwo białego człowieka" oraz trzyczęściowego dramatu „Selekcja".
Ceniony bibliofil – w kolekcji m.in. manuskrypty wierszy Cypriana Kamila Norwida oraz jedyny zachowany pierwodruk „Trenów" Jana Kochanowskiego.
Publicysta tygodnika „Do Rzeczy".

Jerzy Zelnik – absolwent warszawskiej PWST; wybitny aktor teatralny (m.in.: Wierszynin w „Trzech siostrach", Lizander w „Śnie nocy letniej", hrabia Henryk w „Nie-Boskiej komedii", Guślarz w „Dziadach") i filmowy: Ramzes XIII i Lykon („Faraon"), Stein („Ziemia obiecana"), Łukasz Niepołomski („Dzieje grzechu"), król Zygmunt August („Królowa Bona" i „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny"), rola tytułowa w serialu „Doktor Murek".

eprasa.pl 5ea8026dbc

Krzysztof Masłoń

Nowe wydanie „Utworów wybranych" autora „Mistrza i Małgorzaty" skłania do refleksji nad tym, dlaczego przeżył trudne lata stalinizmu. A także jaki był jego stosunek do Polaków czy Ukraińców

Mistrz, Małgorzata, morfina

Szczególne relacje ludzi sztuki z komunistycznymi władzami w Sowietach, a z Józefem Stalinem zwłaszcza, dobrze oddaje anegdota o rozmowie na Kremlu Chorążego Pokoju ze sławną aktorką Lubow Orłową:

– Mąż was nie krzywdzi, towarzyszko? – pyta Stalin.

– Krzywdzi, ale tylko czasami – odpowiada kokieteryjnie Orłowa.

– Powiedzcie mężowi, że jeżeli będzie was krzywdził, powiesimy go.

Mąż, czyli reżyser Aleksandrow, który to usłyszał, pyta:

– Ale za co chcecie mnie powiesić, towarzyszu Stalin?

– Za szyję, towarzyszu Aleksandrow.

No więc z tego punktu widzenia Michaił Afanasjewicz Bułhakow, autor „Mistrza i Małgorzaty", powieści uważanej za jedną z najwybitniejszych minionego stulecia, nie powinien się uskarżać na swoją pisarską dolę. Nie powieszono go, nie rozstrzelano, nikt nie zatłukł go w nieznanym miejscu nieludzkiej ziemi. Nie podzielił losu Mandelsztama, Pilniaka, Babla i tylu, tylu innych. A jednak przylgnęło do niego miano ofiary stalinowskiego sterowania kulturą. Nie do końca słusznie, nie należy też zapominać, że nie tak wiele znów brakowało, by zmarł nie w wieku 49 lat, ale wcześniej – i to z własnej ręki.

Znawczyni tematu, Alicja Wołodźko-Butkiewicz, tak rzecz ujmuje: „O grzechach pisarza, a ściślej – o jego ludzkich słabościach lub nie zawsze wzorowym postępowaniu można dowiedzieć się dzisiaj z wielu biografii. Głównym jego grzechem, chyba najcięższym, była narkomania. Bohater »Morfiny« [opowiadania ukończonego w 1927 r. – przyp. K.M.], lekarz nazwiskiem Polakow, narkotyzuje się i w końcu umiera, zostawiając pamiętnik opisujący koszmar uzależnienia i unieszczęśliwia-

eprasa.pl 5ea8026dbc

„Dni Turbinów" w inscenizacji Konstantego Stanisławskiego, MChAT, 1926 r. FOT. WIKIPEDIA

nia siebie oraz najbliższych sobie osób. Wiadomo ze wspomnień Tatiany Łappy [pierwszej żony pisarza – przyp. K.M.], że Bułhakow uzależnił się od morfiny, kiedy zachorował na dyfteryt, którym zaraził się od swojego nieletniego pacjenta [autor był z wykształcenia lekarzem i przez pewien czas pracował w szpitalach – przyp. K.M.]. Dzięki ofiarności i wsparciu pierwszej żony przetrwał ten najgorszy, haniebny okres życia i ponoć udało mu się wyjść z narkomanii. Ale motyw ten jest obecny także w jego późniejszych utworach. Kiedy Maksudow z »Powieści teatralnej« chce podkreślić rolę teatru w swoim życiu, powiada, że przywykł do niego jak morfinista do morfiny. Niedawno, w czasie badania kartek rękopisu i maszynopisu »Mistrza i Małgorzaty«, znaleziono na nich ślady opiatów – stąd podejrzenie, że do końca życia pisarz nie zerwał z nałogiem. Niektórzy sądzą, że oniryczne, napawające grozą wizje – np. bal u szatana, na którym pojawiają się truchła morderców, lub infernalny sabat czarownic – nie powstałyby, gdyby nie nałóg. A generał Chłudow z »Ucieczki« – dramatu opatrzonego podtytułem »Osiem snów« – nie wpadłby w szaleństwo prześladowany przez widmo żołnierza, którego kazał powiesić.

Ze wspomnień ludzi bliskich wyłania się też Bułhakow egocentryk, człowiek małostkowy, łasy na pieniądze. Porzucił Tatianę Łappę, która pielęgnowała go i ocaliła mu życie (przed śmiercią kajał się i pragnął ją zobaczyć), nie pozwolił siostrze wyjść za mąż za ubogiego w latach dwudziestych, później sławnego i wpływowego, literata Walentina Katajewa. Lubił dzieci, ale cudze – programowo nie miał własnych. Zresztą Tatiana Łappa bała się mieć dziecko z narkomanem. Nieustannie wykłócał się o honoraria, ale nie bez powodu – nieraz padał ofiarą pazernych wydawców (co demonstruje w kilku utworach, m.in. w »Powieści teatralnej«). Wciąż narzekał na wrogów – czy naprawdę było ich wielu?".

GDZIE BYĆ NIEMYM

Nieźle zmitologizowany został stosunek Stalina do Bułhakowa i jego twórczości. Wyliczono, że sowiecki przywódca obejrzał „Dni Turbinów" na deskach MChAT aż 17 razy. Tyle że miał się też wyrazić, jakoby „na bezrybiu nawet »Dni Turbinów« są rybą". A w 1929 r. utrupił ulubioną sztukę Bułhakowa „Ucieczkę", którą wycofano ze sceny na 30 lat i zagrano dopiero 17 lat po śmierci autora, w 1957 r. Inną jego sztukę – „Szkarłatną wyspę" – Stalin nazwał makulaturą.

Pisarz przeżył trudne lata, przyznajmy jednak, że nie groziło mu najgorsze, że jego los w porównaniu z tym, co spotkało wielu nie gorszych „inżynierów dusz", okazał się łaskawy, a choć Majakowski już w „Pluskwie" umieścił jego nazwisko w „słowniku słów wymarłych": „Biurokracja, bogobojność, bajgiełki, bohema, Bułhakow…", to jednak gdy tenże Majakowski 14 kwietnia 1930 r. się zastrzelił, następnego dnia w mieszkaniu Bułhakowa zadzwonił telefon od samego Stalina. Przywódca Miłującej Pokój Ludzkości, odpowiadając na błagalne listy autora „Białej gwardii" do władz, zaproponował mu… wyjazd za granicę. Bułhakow czujnie z wielkodusznej oferty nie skorzystał, deklarując, że „pisarz rosyjski nie może żyć poza swoim krajem". Stalin pochwalił go za te słowa i narzekający na swą dolę i ubóstwo (co nigdy nie było prawdą) dramatopisarz błyskawicznie otrzymał pracę w Teatrze Artystycznym jako reżyser-asystent.

Kiedyś zapytał go znajomy tajniak – pisał w „Tajemnicach Łubianki" Witalij Szentalinski:

eprasa.pl 5ea8026dbc

„– Nie żałujecie, Michale Afanasjewiczu, że w rozmowie ze Stalinem nie wyraziliście ochoty na wyjazd za granicę?

– To ja mogę się was spytać, czy mam tego żałować, czy nie. Skoro, jak powiadacie, pisarze na obczyźnie niemieją, to czy nie wszystko jedno, gdzie być niemym – w kraju czy na obczyźnie?".

Inny komunista, daleki krewny pisarza, na ten sam temat wypowiedział się inaczej:

„– Gdyby go posłać na Dnieprobudowę i nie dawać mu jeść, wtedy by się wewnętrznie przeobraził.

– Jest jeszcze inny sposób: nie dawać pić i kazać jeść same śledzie – to wewnętrznie bardzo przeobraża – skomentował Bułhakow".

W 1936 r. po wystawieniu – z sukcesem – „Moliera" „Prawda" orzekła jednak, że to jedynie „zewnętrzny blichtr i fałszywa treść", po czym spektakl, oczywiście, zdjęto z afisza. Bułhakow, jak zwykle, hamletyzował, zarzekał się, że to już koniec, choć prawdziwy koniec nastąpił dopiero za cztery lata, gdy autor zmarł na nieuleczalną, dziedziczoną chorobę nerek. A nad dziełem, które miało zapewnić mu nieśmiertelność – „Mistrzem i Małgorzatą" – pracował do ostatka, niszczył je i odtwarzał, w efekcie go nie ukończył. Gorzej, że wcześniej popełnił „Batumi", o czym niechętnie wspominają piewcy Bułhakowa. A sporo pisze o tym Krzysztof Tur w bardzo ciekawej, wydanej w zeszłym roku „Kronice życia Michała Bułgakowa".

BOJAŹŃ I DRŻENIE

Tę sztukę o młodości Stalina w 1939 r. skazał na niebyt sam jej bohater. To był dopiero cios dla Bułhakowa! A wszystko zapowiadało się tak pięknie! 15 czerwca 1939 r. autor podpisał umowę z MChAT, którego nowy dyrektor Grigorij Kaliszjan przystał na wszystkie warunki wymagającego dramaturga (obiecał mu nawet do końca roku nowe, czteropokojowe mieszkanie), dla teatru była to bowiem „okazja do zabłyśnięcia w dniach wielkiego stalinowskiego jubileuszu. Dyrekcji i aktorom marzył się sukces »Dni Turbinów«, owacje wodza zasiadającego ze łzami w oczach w loży honorowej, kiedy ujrzy Chmielowa w roli samego siebie (nie wiadomo, czy już z wąsikiem, czy bez), nagrody, ordery i wspaniałe recenzje w prasie". Niestety (z dzisiejszego punktu widzenia raczej – na szczęście) już w sierpniu sztuka została zakazana.

Stalinowi sztuka mogła się nawet podobać, nie ma to jednak nic do rzeczy. Obrzędy na jego cześć odbywały się wtedy – pisze Krzysztof Tur – „nieustannie, na co dzień, a okazje specjalne: rocznice, święta itd. miały już charakter paroksyzmów uwielbienia. Skoro potrzebą chwili było kreowanie coraz bardziej odrealnionej i coraz bardziej nadprzyrodzonej postaci przywódcy państwa i światowego proletariatu, przypominanie ze sceny, że był on kiedyś zwykłym człowiekiem, któremu żandarm mógł dać w ucho, nie wydawało się pożądane. Może takiego zwykłego człowieka bardziej by podziwiano, a nawet kochano, ale Stalin nie potrzebował takiej miłości. Wodza należało kochać, ale przez sakralną »bojaźń i drżenie«, jak Pana Boga".

Alicja Wołodźko-Butkiewicz w posłowiu do wydanych właśnie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego we wznowionej „Bibliotece Klasyków", czterotomowych „Utworów wybranych" powiada, iż Krzysztof Tur „utrzymuje, że »Bułhakow, który dziś w oczach bułhakoznawców urósł do nadludzkich wymiarów«, wtedy był postacią marginalną, jednym z »3494 moskiewskich literatów«, i gdyby nie napisał »Mistrza i Małgorzaty«, taką by pozostał. Czy przyznamy mu rację? Sądzę, iż nawet gdyby Bułhakow nie napisał »Mistrza i Małgorzaty«, utwory takie jak »Biała gwardia«, »Ucieczka«, »Psie serce« gwarantują mu poczesne miejsce w literaturze rosyjskiej XX wieku".

PIW wydał utwory Bułhakowa w klasycznych, by nie powiedzieć – kanonicznych przekładach Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego. To dobrze, bo np. tłumaczenie „Mistrza i Małgorzaty" Andrzeja Drawicza przyjęte zostało niechętnie, gdyż niezależnie od jego wartości trudno liczyć na poparcie, gdy np. z Annuszki robi się Anielcię. Analogiczną historię mieliśmy niedawno z nowym przekładem „Don Kichota", w którym Wojciech Charchalis z Sancho Pansy zrobił Brzuchacza. „Utwory wybrane" Bułhakowa przypomniane więc zostały w wersji wzorcowej, z wyjątkiem wszakże na nowo przełożonych przez Henryka Chłystowskiego „Perspektyw na przyszłość", „W nocy z drugiego na trzeci" i, przede wszystkim, „Białej gwardii". Ta debiutancka, ale bardzo dojrzała – jak twierdzi Alicja Wołodźko-Butkiewicz – powieść Bułhakowa, wydawana w Polsce jeszcze przed wojną (reklamowano ją w stylu epoki: „Znakomity romans sowieckiego pisarza z Białą Gwardią, Petlurą i luesem") przynosi opis roku 1918 we wstrząsanym wojną domową Kijowie. Nawiasem mówiąc, na Ukrainie wpisana została do rejestru utworów zakazanych, podobnie jak oparty na niej rosyjski serial telewizyjny z 2012 r. Cofnijmy się jednak o sto lat…

Bułhakow dobrze znał „Trylogię" polskiego noblisty. Gdyby było inaczej, nie rozpocząłby „Białej gwardii" wyraźnym z niej zapożyczeniem

SIENKIEWICZ W OBŁOKU

Tak naprawdę, w tym 1918 r., w Kijowie pewne było jedno – śmierć. Jak pisał Bułhakow w „Białej gwardii": „Taak, śmierć nie zwlekała. Ruszyła po jesiennych, a potem zimowych ukraińskich drogach wraz z suchym, nawiewanym śniegiem. Zaczęła postukiwać w zagajnikach kulomiotami. Jej samej nie było widać, ale wyraźnie widoczny był poprzedzający ją chropawy gniew chłopów. Biegł poprzez zamieć i chłód w dziurawych łapciach, z sianem w odkrytej zmierzwionej głowie i wył. W rękach miał wielką pałę, bez której nie obejdzie się na Rusi żadne przedsięwzięcie. Tu i ówdzie przeleciał czerwony kur. Potem w purpurowym zachodzącym słońcu ukazał się powieszony za narządy płciowe karczmarz Żyd. A w pięknej stolicy Polski, Warszawie, ujrzano widziadło: Henryk Sienkiewicz stał w obłoku i uśmiechał się zjadliwie".

Bułhakow dobrze znał „Trylogię" polskiego noblisty. Gdyby było inaczej, nie rozpocząłby „Białej gwardii" wyraźnym z niej zapożyczeniem. Pierwszy akapit powieści jest bowiem następujący: „Rok to był brzemienny i rok to był straszny – od narodzenia Chrystusa tysiąc dziewięćset osiemnasty, od rewolucji zaś drugi. Latem pełen słońca, zimą śniegu, ze stojącymi wysoko na niebie dwiema gwiazdami: wieczorną Wenerą – gwiazdą pastuszą i czerwonym, rozedrganym Marsem".

Gdy o to zastanawiające podobieństwo z początkiem „Ogniem i mieczem" zapytałem swego czasu Borisa Sokołowa, badacza twórczości Bułhakowa, autora jego „Leksykonu życia i twórczości", usłyszałem: „Bułhakow do rewolucji 1917 roku odnosił

eprasa.pl 5ea8026dbc

się podobnie jak Sienkiewicz do kozackiego powstania w roku 1648 – postrzegali je jako czas zamętu, dojścia do głosu sił destrukcyjnych, rozpasania niekontrolowanego żywiołu, nad którym nikt nie był w stanie zapanować, a który burzył stary porządek. Być może porządek nie najbardziej sprawiedliwy, ale porządek".

Rola, w jakiej w swej literackiej wizji obsadził Bułhakow Sienkiewicza w „Białej gwardii", jest jednak, powiedzmy, dwuznaczna. Czy dlatego Jarosław Iwaszkiewicz, skądinąd zachwycając się powieścią, zwrócił uwagę na obecny w niej „ton pogardy w stosunku do Polaków i Ukraińców"?

„Nie dostrzegam tego – oponował Sokołow. – Wasilij Lisowicz, zwany Wasylisą, bardzo nieciekawa postać, to Ukrainiec, nie Polak. Polką jest Wanda, jego żona, ale nie odgrywa ona w powieści większej roli. Mamy jeszcze kapitana Studzińskiego, który nie jest przedstawiony w złym świetle. A więcej Polaków w »Białej gwardii« nie ma".

Boris Sokołow ma rację w odniesieniu do konkretnych postaci powieściowych, ważny jest jednak również ton, jakim mówi autor „Białej gwardii" o wojskach przewalających się przez płonącą ogniem i spływającą krwią Ukrainę. A mówi o tym Bułhakow z pozycji Rosjanina, a może i Wielkorusa, który samodzielnej, niezawisłej Ukrainy nie przyjmował do wiadomości. Do tego dochodził, jak twierdził Sokołow, jego „bardzo emocjonalny stosunek do Petlury, którego oskarżał o brak kontroli nad watahami dokonującymi masowych mordów oraz pogromów". A skoro Petlura był dla niego synonimem kogoś najgorszego, to nie dziwi fakt, że po późniejszych sojuszach atamana spod pióra Bułhakowa wyszedł, niepublikowany w tym klasycznym wyborze, bo też pewnie niezasługujący na to, „Pan Piłsudski". W tym miejscu warto wspomnieć, że autor „Białej gwardii" w sumie napisał cztery powieści, 10 sztuk teatralnych (włącznie z powodzeniem wystawianymi w teatrze „Dniami Turbinów", czyli przerobioną na scenę „Białą gwardią" właśnie) i całe mnóstwo opowiadań, a wszystko to wydane zostało w Rosji w 10 tomach, co znaczy, że nie znamy w Polsce całości jego twórczości.

OJCZYZNA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Stosunek pisarza do wyrywającej się do niepodległości Ukrainy był jednoznacznie negatywny. Dla przykładu zacytuję tylko ten fragment „Białej gwardii", w którym Aleksiej Wasilijewicz Turbin, wykazujący niemałe podobieństwo do osoby autora, z furią peroruje: „Ja bym waszego hetmana [chodzi o Skoropadskiego – przyp. K.M.] za utworzenie tej milutkiej Ukrainy powiesił jako pierwszego! »Chaj żywe Wilna Ukraina wid Kijewa do Bierlina!«. Przez pół roku pastwił się nad rosyjskimi oficerami, pastwił się nad nami wszystkimi. Kto zabronił formowania rosyjskiej armii? Hetman. Kto terroryzował rosyjską ludność tym wstrętnym językiem, który w ogóle nie istnieje? Hetman. Kto rozplenił te szumowiny z ogonami na głowach? Hetman. A teraz, kiedy przyszła na nich kryska, zaczynają formować rosyjską armię? Wróg o dwa

Michaił Afanasjewicz Bułhakow, 1928 r.
FOT. WIKIPEDIA

kroki, a oni drużyny, sztaby? Uważajcie, oj, uważajcie! [...] To łajdak [...] przecież on sam nie mówi w tym przeklętym języku! Przedwczoraj pytam tę kanalię, doktora Kurićkiego – patrzcie no tylko, od listopada zeszłego roku oduczył się mówić po rosyjsku. Był Kurickim, jest Kurićkim... Tak więc pytam: jak będzie po ukraińsku »kot«? Odpowiada: »kit«. Pytam: »A jak kit [po rosyjsku wieloryb – przyp. K.M.]?«. Stanął, wytrzeszczył oczy i milczy. Teraz mi się nie kłania".

A powracając jeszcze do tematu „Bułhakow a Polska", należy pamiętać, że pisarz nie tylko interesował się naszą kulturą i historią, lecz także znał język polski. W końcu wychował się w Kijowie, gdzie w latach jego dzieciństwa Polaków nie brakowało. Gdy po latach pisał libretto do jawnie antypolskiej opery Borisa Asafjewa „Minin i Pożarski", nie zawarł w pieśniach żadnych szyderstw pod polskim adresem. A Boris Sokołow streścił mi w rozmowie historię pomieszczoną przez niego w „Leksykonie życia i twórczości Michaiła Bułhakowa", która jednak nie znalazła się w wydanej w Polsce przez Muzę w 2003 r. skróconej wersji tej obszernej książki.

– Pozwoliłem sobie na pewne hipotezy – mówił Sokołow. – Otóż istnieje świadectwo o pewnej rozmowie Stefana Żeromskiego z Józefem Piłsudskim w Zakopanem w 1902 r. Spotkanie odbyło się w jakimś skromnym pomieszczeniu. Piłsudski siedział w kalesonach – jedyne spodnie oddał do naprawy do krawca – przy stole, stawiał pasjansa i bardzo się przy tym denerwował. Kiedy Żeromski spytał go o powód rozemocjonowania, przyszły przywódca Polski odpowiedział, że jeśli karty ułożą się dla niego pomyślnie, zdobędzie w Polsce władzę. I teraz proszę z tą sceną porównać epizod ze sztuki Bułhakowa „Ucieczka" [w innym tłumaczeniu znanej jako „Bieg" – przyp. K.M.], w którym generał Czarnota, też w kalesonach, ogrywa w karty Paramona Iljicza Korzuchina, łajdaka, który stał się uosobieniem pazerności. Patronimikum tego ostatniego nie jest przypadkowe, nieprzypadkowe jest też nazwisko Czarnoty, przywołujące na myśl „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza. Dla Korzuchina złotym cielcem jest dolar, a Włodzimierz Iljicz Lenin w artykule „O znaczeniu złota teraz i po ostatecznym zwycięstwie socjalizmu" proponował, by w społeczeństwie komunistycznym wykładać złotem... klozety. W pierwszej redakcji „Ucieczki" jest też ciekawy dialog Korzuchina i gen. Wrangla, gdy ten drugi mówi: „Czytaliście, co pisały polskie gazety, gdy w 1920 r. Budionny szedł na Warszawę: »Ojczyzna ginie – ojczyzna w niebezpieczeństwie«". Tak mogła wyglądać rozmowa z Leninem. Bułhakow nie mógł czytać tego, co o Żeromskim i Piłsudskim pisał Adam Grzymała-Siedlecki w 1946 r.; wprawdzie „Różę" ze sportretowanym tam Piłsudskim mógł znać, ale czy upoważnione jest wyciąganie stąd tak daleko idących wniosków? Na pewno nie, pozostanę więc przy zdaniu, że pewne analogie są zastanawiające. I na ich podstawie można snuć różne hipotezy. W każdym razie Bułhakow, który – oczywiście – o „Panu Piłsudskim" nie miał dobrego mniemania, o Leninie miał jeszcze gorsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Piotr Gociek

Kto tak naprawdę szuka odkupienia na ekranie: fikcyjny Earl Stone czy całkiem prawdziwy, grający go Clint Eastwood? Warto obejrzeć jego nowy film – „Przemytnik”

Człowiek dobrej

Dlaczego ogrodnik przechodzi przez hotelowe lobby?” – pyta Earl Stone, zdobywca złotego medalu na konwencji hodowców kwiatów, odbierając nagrodę. „Żeby dojść do baru. I ja właśnie tam się wybieram” – dopowiada, budząc sympatię zebranych. I my lubimy Earla: jest stary, ale jary, flirtuje z damami, nie dyskryminując ich ze względu na wiek, jest bystry, szarmancki, zabawny, nie cierpi Internetu i bez wątpienia zna się na swojej robocie. Rzecz najważniejsza: gra go Clint Eastwood. Jakże więc go nie lubić?

„Przemytnik” („The Mule”) to 37. film fabularny wyreżyserowany przez Eastwooda (nie liczę roboty dla telewizji i krótkiego metrażu) i życzę mu serdecznie, by dobił do 40, bo to gość, któremu warto kibicować. Powiedzmy z ręką na sercu: ilu znacie facetów, którzy po swoich 70. urodzinach (Eastwood obchodził je w roku 2000) nakręciliby serię tak znaczących filmów jak „Rzeka tajemnic”, „Listy z Iwo Jimy”, „Sztandar chwały”, „Gran Torino”, „Snajper” czy „Sully”? A przecież wymieniłem tylko te najlepsze. Eastwood nakrywa swych konkurentów czapką, zna się na kinie jak mało kto i ciągle mu mało. W roku 2018 posłał do kin aż dwa filmy: „15:17 do Paryża” i „Przemytnika”.

Ten ostatni jest wydarzeniem o tyle niezwykłym, że twórca „Bez przebaczenia” znów pojawia się w roli podwójnej, nie tylko reżysera, lecz także aktora. Ostatnią ważną kreację stworzył dekadę temu w „Gran Torino”. Dzisiaj 88-letni Clint gra 90-letniego ogrodnika. Życzę mu z całego serca, by w roku 2030 jako stulatek zagrał rówieśnika z równie dużym animuszem. Życzenia są szczere i trochę samolubne, składane jednak nie tylko w moim, jak mniemam, imieniu. Eastwood jest po prostu mistrzem w dobrym, dawnym stylu i obserwowanie go na ekranie jest dla widza czystą przyjemnością. „Przemytnik” nie jest ani arcydziełem, ani opus magnum Eastwooda, jak czytałem w recenzji z magazynu „Variety”, ale to, co w nim najlepsze, to właśnie stary dobry Clint aktor i Clint reżyser.

Historia inspirowana jest prawdziwymi wydarzeniami. Earl Stone to dziarski staruszek, który wiodąc życie ogrodnika, zapisze się jednocześnie w annałach jako najstarszy kurier narkotykowego kartelu z Sinaloa. Sprawę opisywały kilka lat temu amerykańskie gazety, scenarzysta Nick Schenk (napisał też „Gran Torino”) zmienił kilka szczegółów. Z weterana II wojny światowej zrobił weterana wojny w Korei, zmienił nazwisko (oryginalnie chodziło o Leo Sharpa), dołożył trochę rodzinnych komplikacji.

CZŁOWIEK Z WĄTPLIWOŚCIAMI

Filmowy Earl Stone zjeździł 41 stanów, nie dostając przez ponad pół wieku nawet jednego mandatu. Był w drodze 60 godzin tygodniowo, ciężko harował, żeby utrzymać rodzinę – o czym przypomni swej eksżonie, gdy tej po latach zbierze się na wyrzuty, że fatalny z niego ojciec i mąż. Służył swemu krajowi z bronią w ręku. Był porządnym obywatelem, przestrzegał zasad. Może nie jest wzorem głowy rodziny, ale robił, co mógł. Jak to pokpiwał w jednej z powieści Kurt Vonnegut jr, „urodził się pewnego dnia, umarł pewnego dnia. Starał się”.

Co dostał za swoje normalne, uczciwe życie, kiedy już przepracował tak ponad pół stulecia? Bank zabiera mu ziemię, na której hodował kwiaty, firma ubezpieczeniowa puszcza z torbami knajpę, w której zwykł jadać od 1958 r. Coś niedobrego dzieje się z Ameryką, skoro tylko to ma w sakiewce dla tych, którzy oddali jej krew, pot i podatki. Matka ojczyzna okazuje się macochą, która nie ceni już ludzi dobrej roboty. Jest jednak ktoś, kto ceni ludzi słownych, rzetelnych i uczciwych. To przemytnicy narkotyków. Zatrudnienie Earla jest genialne w swej prostocie. Który gliniarz będzie podejrzewał, że siwy emeryt przemierzający Stany w swoim pick-upie wiezie narkotyki pod workami z orzechami pekan? W ten sposób Earl przerzuci tonę towaru. Jego meksykańscy mocodawcy nazwą go zaś pieszczotliwie El Tata. Oczywiście odkryje, że zawarł pakt z diabłem. Miłe złego początki, bo hasło „honor między złodziejami” to jednak

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

roboty

fikcja, liczą się tylko kasa i to, kto komu pierwszy strzeli w plecy. Albo, chłopie, podróżujesz na naszych warunkach, z bagażnikiem pełnym kontrabandy, albo sam skończysz w bagażniku.

„Przemytnik" nie jest jednak filmem o narcos, lecz o Earlu, dając Eastwoodowi okazję do stworzenia intrygującej kreacji. Nie jest to też typowy kryminał czy thriller, to nie intryga jest najważniejsza, choć mamy bandytów i policjantów (właściwie narkogangsterów i agentów DEA). W „Przemytniku" starzejący się człowiek, który nie ma pewności, czy właściwie przeżył swoje życie, najpierw robi rachunek sumienia, a potem próbuje (zbyt późno przecież) odkupić dawne winy. Fakt, że czyni to w niewłaściwy sposób, czyni go postacią jeszcze bardziej tragiczną. Jest tu kilka scen, które choć prościutkie, głęboko zapadają w pamięć. Jak wtedy, gdy Earl poucza innych, by nigdy nie przedkładać pracy nad rodzinę, i kończy słowami, że boleśnie się tego nauczył, ale nie wie jeszcze, iż najtrudniejsze dopiero przed nim.

Jednocześnie jest to film pełen ironicznego humoru. Eastwood pokpiwa inteligentnie z poprawności politycznej i z tego, co wolno mówić, a co nie. „Kogo trzeba zabić, by mieć taki dom?" – pyta z uśmiechem, wchodząc do posiadłości narkotykowego barona. „Wielu, wielu ludzi!" – odpowiada radośnie Andy Garcia grający łotra. Earl Stone nazwie spotkanych na drodze Murzynów „negroes", ale nie dlatego, że jest rasistą, tylko dlatego, że w jego czasach tak się mówiło. Za to pomoże im w potrzebie. Ważniejsze jest to, co mówimy, czy to, co czynimy? Zabawna i przerażająca jednocześnie jest chwila, kiedy agenci DEA zatrzymują na drodze przypadkowego ciemnoskórego kierowcę. Ten, wysiadając z samochodu, jest śmiertelnie przerażony i powtarza, że „statystycznie rzecz biorąc, to najniebezpieczniejsze pięć minut w jego życiu", a gdy gliniarze puszczają go wolno i bez szwanku, wciąż jest tak roztrzęsiony, że nie potrafi nawet zapiąć pasa bezpieczeństwa. Szpila wbita jest tu za jednym zamachem w dwa cele: przedstawicieli władzy nadużywających prawa i wszystkich tych, którym zawodowi pracze mózgów zdołali wmówić, że każdy napotkany na drodze policjant to rasista i morderca.

★★★★☆

REŻ. CLINT EASTWOOD
„PRZEMYTNIK" („THE MULE")
USA 2018

wyst. Clint Eastwood, Bradley Cooper, Dianne Wiest

POWRÓT DO DOBREJ FORMY

Jest i ważny kontekst pozaekranowy, rzecz, która nie powinna dziwić w przypadku figury tak ważnej i potężnej jak Clint Eastwood, którego ikoniczna postać wychodzi przecież poza ramy każdego filmu. Ten sam Eastwood, któremu ponad sześć dekad zajęło pogodzenie się z nieślubną córką (i w ogóle publiczne przyznanie do posiadania takowej), Eastwood, który pochował niedawno byłą żonę, z którą łączył go burzliwy związek i jeszcze bardziej burzliwy rozwód.

Tajemniczy Człowiek Znikąd miał swoje zasady i zdecydowane poglądy, ale nie był aniołem i swoje ma za skórą. Podczas oglądania „Przemytnika" wszystkie te sprawy stawały mi przed oczami i zastanawiałem się, kto tak naprawdę szuka na ekranie odkupienia – Earl Stone czy Clint Eastwood. Człowiek, o którym jego córka Alison (gra zresztą w „Przemytniku" córkę Earla Stone'a), powiedziała dziennikarzom, że „ma ośmioro dzieci z sześcioma kobietami", a i tak pomijamy tu owoce rozmaitych romansów, których nie zliczyli nawet najbardziej plotkarscy reporterzy. Człowiek, który zwykle był gdzie indziej. Na powtarzający się w jego filmach motyw „nieobecnego ojca i dorosłej już córki, dobrze znany Eastwoodowi z prywatnego życia" zwracał uwagę polski biograf aktora, Michał Talarek („Clint Eastwood. Życie po obu stronach kamery", 2012).

Wszystko to czyni „Przemytnika" filmem, którego nie można zlekceważyć. Brak mu formalnej czystości „Gran Torino" czy intensywności „Snajpera" albo „Za wszelką cenę", ale to wciąż dobre kino. Zapomnijcie o niezbyt udanym „15:17 do Paryża", w którym faktów nie udało się odpowiednio przedestylować i celne obserwacje oraz pochwała tradycyjnych cnót zostały przesłonięte przez słabą dramaturgię. „Przemytnikiem" Eastwood wraca do formy. To wciąż jeden z najinteligentniejszych i najlepszych żyjących mistrzów kina, widzący rzeczy, których inni nie widzą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Dajesz, Marian, dajesz!

Historia stara jak sport wyczynowy. Rodzic lokuje własne niespełnione ambicje w potomku. Mianuje się jego trenerem (czytaj: treserem). Pilnuje diety, zrywa z łóżka o świcie, zmusza do katorżniczego wysiłku. Wszystko w imię przyszłych światowych triumfów, wielkiej sławy i jeszcze większych pieniędzy, które najczęściej pozostaną w sferze marzeń. Na końcu tej drogi jest samotność, bo wcześniej czy później nadejdzie dzień, w którym latorośl postanowi odciąć pępowinę i zacząć żyć po swojemu.

Reżyser Łukasz Grzegorzek zna ten ból z autopsji, tatuś z uporem godnym lepszej sprawy chciał z niego zrobić drugiego Fibaka. Celu nie osiągnął, ale mimowolnie stał się ojcem chrzestnym filmu o szkoleniowcu, który zdezelowanym vanem razem z 17-letnią córką objeżdża prowincjonalne turnieje tenisowe. Na podstawie zdawkowych informacji można domniemywać, że Maciej wychował Wiktorię sam, choć jej matka żyje i ma się dobrze. Z uporem zwraca się do dziewczyny per „Marian". Czyżby w głębi duszy żałował, że nie urodziła się chłopakiem?

Już od pierwszych scen widać, że stosunki rodzinne wchodzą w nową fazę. Wiktoria dojrzewa, zaczyna brykać, budzi się w niej kokietka i kusicielka. Chciałaby – jak to się mówi w kręgach postępowych – trochę poeksperymentować. Maciej, który jest cholerykiem, nie potrafi przyznać się do błędu ani cieszyć życiem, przestaje być dla córki autorytetem. Gdy szkoleniowiec i zawodnik tracą do siebie zaufanie, trudno o dobre wyniki. Do ekipy doszlusowuje Igor, tenisista na dorobku. Trener widzi w nim siebie samego z młodości. Niestety, obecność młodzieńca staje się dodatkowym źródłem napięć.

Sportowców często podejrzewa się o deficyt inteligencji. Nasz trener głupi nie jest, widzi, co się dzieje, lecz są w życiu takie mecze, których wygrać po prostu nie można. Nawet Napoleon ugrzązł w końcu w śniegu. Maciej mógłby szkolić niedzielnych graczy i dzieci z dobrych domów, bałamucić panie, którym na hasło „instruktor tenisa" miękną kolana. Woli się jednak umartwiać. Jeśli się nie ma litości dla podopiecznych, to tym bardziej nie ma się jej dla siebie.

Małe fabuły potrafią być wielkie i „Córka trenera" momentami się o tę wielkość ociera. Grzegorzek już w debiutanckim „Kamperze" udowodnił, że jest bystrym obserwatorem i człowiekiem z poczuciem humoru. Ma też ciekawy gust muzyczny (choć fani Stinga będą pewnie innego zdania). Zbłądził jednak, powierzając główną rolę aktorowi o potwornych skłonnościach. Braciak kradnie prawie każdy film, w którym występuje. Zrobił to znowu i nie powiedział nawet „przepraszam". Wstyd, panie Jacku! ©℗

★★★★☆☆

REŻ. ŁUKASZ GRZEGORZEK „CÓRKA TRENERA" POLSKA 2018

wyst. Karolina Bruchnicka, Jacek Braciak, Bartłomiej Kowalski

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KAPITAN MARVEL"

Jak wieść niesie, superbohaterka Kapitan Marvel (Ziemianka wychowana przez obcych) ma być kluczową postacią dla pokonania zwycięskiego (jak dotąd) łotra Thanosa, głównego czarnego charakteru uniwersum Marvela. Film, którego akcja rozgrywa się parę dekad wcześniej, wprowadza na scenę pannę Marvel, ukazuje jej moc, dzięki czemu zapowiada także „Avengers: Endgame", w którym superbohaterka odegra ważną rolę. ©℗ *Piotr Gociek*

• ***„Kapitan Marvel" reż. Anna Boden, wyst. Brie Larson, Gemma Chan, Samuel L. Jackson, USA 2019***

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Szczęśliwy Lazzaro" („Lazzaro Felice"), reż. Alice Rohrwacher, Włochy/Niemcy 2018***
- ***„To właśnie życie" („Life Itself"), reż. Dan Fogelman, USA 2018***
- ***„Całe szczęście", reż. Tomasz Konecki, Polska 2019***

eprasa.pl 5ea8026dbc

Igraszki z czasem

Sequel czarnej komedii, w której czupurna pannica zaczyna dzień z bólem głowy, a kończy z nożem w sercu. I tak w kółko dopóty, dopóki nie nauczy się altruizmu i zacznie zauważać uczucia oraz potrzeby innych ludzi. Pomysł średnio odkrywczy (pętlę czasową jako sposób na samodoskonalenie proponował już Stanisław Lem w „Dziennikach gwiazdowych"), lecz zrealizowany bez napinki, mógł śmieszyć, tumanić, a w porywach nawet przestraszać.

Światem rządzi pieniądz. Skoro dochód z rozpowszechniania filmu wielokrotnie przewyższył koszt produkcji, ciąg dalszy stał się nieuchronny jak upadek dziennikarstwa w Polsce. „Śmierć nadejdzie dziś", typowy produkt jednorazowego użytku, tym bardziej nadawał się do recyklingu, że warianty ostatniego dnia życia Tree Gelbman teoretycznie można mnożyć w nieskończoność. Praktycznie aż do znudzenia widzów. Maszyna, zwana Sissi, przenosi bohaterkę do równoległej rzeczywistości, w której całą zabawę można zacząć od początku.

Wiele scen jest przeszarżowanych, a niektóre żarty są mało zabawne. Prawdziwy horror zaczyna się jednak wtedy, gdy Landon próbuje moralizować. Z ekranu sypią się złote myśli: życie składa się z trudnych wyborów, nie można żyć przeszłością, miłość zmienia wszystko na lepsze. Jeśli ludzie to kupią, to wówczas śmierć nadejdzie po raz trzeci. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. CHRISTOPHER LANDON
„ŚMIERĆ NADEJDZIE DZIŚ 2" („HAPPY DEATH DAY 2U")
USA 2018

wyst. Jessica Rothe, Israel Broussard, Rachel Matthews

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

RANDKA Z IDOLEM

★★★★☆☆

JESSE PERETZ
„TEŻ GO KOCHAM" („JULIET, NAKED")
WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Rose Byrne, Chris O'Dowd, Ethan Hawke, dystr. Kino Świat

Są dwa powody, by obejrzeć film „Też go kocham": Rose Byrne i Ethan Hawke. Byrne gra Annie, kobietę z brytyjskiej prowincji, której życie przecieka przez palce. Jej chłopak (Chris O'Dowd) ma obsesję na punkcie zapomnianego muzyka Tuckera Crowe'a, który po wydaniu jednej płyty zniknął bez wieści. W roli Crowe'a pojawia się Ethan Hawke i jak zwykle wypada bezbłędnie. Opowieść o jego nietypowej znajomości z Annie jest zabawna i ciepła, ale za fasadą romantycznej komedii kryje się jeszcze inna historia. Film oparto na powieści Nicka Hornby'ego, którego specjalnością są fabuły o spóźnionym dorastaniu („Był sobie chłopiec", „Wierność w stereo"). Tak jest i tym razem: nie warto marnować życia z ludźmi, którzy nas nie dostrzegają, dzieci to nie koniec świata, ale nowy początek. Tylko trzeba umieć to wszystko dostrzec. Plus pytanie o egoizm artystów i ich chroniczną niedojrzałość: Czy największy nawet talent może być wymówką dla marnowania życia własnego i bliskich? ©℗

ALE TO JUŻ BYŁO

★★★☆☆☆

SEZON 1
„THE UMBRELLA ACADEMY"
USA 2019

wyst. Ellen Page, Tom Hopper, David Castañeda, dystr. Netflix

Ekscentryczny bogacz bierze pod opiekę grupkę obdarzonych niezwykłymi mocami dzieciaków. Ostro je tresuje, by w przyszłości stawiły czoło złu. Tak powstaje zarówno Umbrella Academy, jak i wyjątkowo dysfunkcyjna rodzina (do zimnego ojczyma dołóżcie jeszcze macochę-robota oraz gadającego szympansa). Po latach niezwykłe dzieciaki zbierają się ponownie, by rozwiązać zagadkę śmierci przybranego ojca oraz powstrzymać nadchodzący koniec świata. Tymczasem ich tropem podążają zabójcy wysłani przez specjalną organizację, której zależy na tym, by nikt przyszłości nie zmieniał. Choć od strony wizualnej serial robi wrażenie, to reszta zawodzi. Dostajemy dużo zimnej komiksowej przemocy, a pokaleczeni traumą z dzieciństwa i zmagający się z własnymi mocami bohaterowie są niezbyt sympatyczni. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „ANTHEM"

★★★☆☆☆

Pamiętam moment, kiedy BioWare pokazało pierwsze filmy z rozgrywki w Anthem. Tętniąca życiem planeta-dżungla, przypominająca scenerią Avatara. Potężni wrogowie, szybowanie w uzbrojonych po zęby skafandrach. Nurkowanie w odmętach podziemnych rzek i jezior. Potem przyszło pełne błędów i rozczarowujące demo, a następnie pozbawiona tamtej magii i ekscytacji pełna wersja. Niby wszystko tutaj jest – tajemnicza technologia, imponujący zestaw umiejętności bohaterów, rozgrywka multiplayer, przypominająca intensywnością „Destiny", a stylem „The Division". Tylko co z tego, gdy brakuje świeżości? ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *TPP/RPG/Akcja*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *BioWare/Electronic Arts*
- ***PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 5ea8026dbc

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W antyreligijnym kokonie

Najnowsza praca prof. Wojciecha Roszkowskiego „Roztrzaskane lustro", nosząca znamienny podtytuł: „Upadek cywilizacji zachodniej", mogłaby nosić inny tytuł –„Wołanie na puszczy", bo jest dramatycznym w swojej wymowie raportem ze stanu, w jakim znalazła się nasza cywilizacja (czy jak chce część rodaków – cywilizacja, do której dopiero aspirujemy) po 20 latach trzeciego tysiąclecia, jakie minęły od narodzenia Jezusa Chrystusa.

Wojciech Roszkowski, autor – przypomnę – ważnego dzieła „Świat Chrystusa" (2016), wyraźnie akcentuje, że chodzi mu o upadek, a nie o kryzys ani koniec zachodniej cywilizacji. Taki kryzys bowiem, pisze, „trwa od długiego czasu, a obecnie mamy do czynienia z dość wyraźnym przesileniem, które grozi końcem tej cywilizacji. »Upadek« oznacza bardzo poważne załamanie, ale takie, z którego jeszcze można się podnieść". W tym profesorskim wołaniu na puszczy unosi się więc jednak jakaś nuta optymizmu.

Fakty i liczby są jednak nad wyraz niepokojące. Dechrystianizacja postępuje w trybie przyspieszonym. „W latach 2005–2011 odsetek deklarujących wiarę w Boga spadł w Portugalii z 81 do 70 proc., we Francji – z 67 do 60 proc., w Austrii – z 54 do 44 proc., w Norwegii – z 32 do 22 proc. Najwyższy odsetek wierzących zanotowano na Malcie (94 proc.), w Rumunii (90 proc.) i na Cyprze (80 proc.), najniższy zaś – w Czechach (16 proc.), w Szwecji i Estonii (po 18 proc.) i Norwegii (22 proc.). Średnia Unii Europejskiej wyniosła 51 proc. Zdecydowaną niewiarę deklarowało 40 proc. Francuzów, 30 proc. Czechów, Szwedów, Holendrów oraz około 25 proc. Estończyków, Norwegów, Niemców, Belgów, Słoweńców i Brytyjczyków. Najniższy odsetek deklarujących niewiarę występował w Rumunii (1 proc.), na Malcie (2 proc.), Cyprze (3 proc.), w Grecji (4 proc.), Polsce (5 proc.), we Włoszech (6 proc.) oraz w Chorwacji i Irlandii (po 7 proc.)".

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

Ciekawe, że równolegle rośnie liczba wierzących w coś nieokreślonego, jakąś „siłę" duchową lub życiową. O tym, że religia nie odgrywa w ich życiu większej roli, jest przekonanych aż 84 proc. Estończyków, 83 proc. Szwedów, 80 proc. Duńczyków, ale i 23 proc. Polaków. Dodam tutaj tylko, że czytającemu te wskaźniki religijności towarzyszy reprodukcja sowieckiego plakatu, nie – nie z jakiegoś numeru bolszewickiego „Bezbożnika", ale z 1975 r., ery Breżniewa w całym rozkwicie: widzimy uśmiechniętego kosmonautę z hełmem z napisem: „CCCP", meldującego: „Boga niet!".

Wydawać się mogło, że upadek komunizmu wzmocni cywilizację zachodnią. Nic takiego nie nastąpiło. Tak jak komunizm głosił, że człowiek stwarza się sam, islamizm dowodzi, że człowiek jest jedynie pionkiem w rękach okrutnego Boga. A nie jest ani tak, ani tak.

„Jeśli świat istnieje – czytamy – to dlatego, że jest dziełem dobrego Boga, a zło jest tylko głosem sprzeciwu przeciw Niemu". Tyle że „ludzie Zachodu nie wierzą już politykom ani naukowcom, ale wierzą celebrytom – twierdzi autor »Rozstrzaskanego lustra«. – Nie wierzą lekarzom, ale ufają uzdrowicielom i zielarzom oferującym leczenie »holistyczne« i »naturalne«. Wszelkie alternatywne metody zasługują na zaufanie, ponieważ są alternatywne. Lepiej więc zaufać celebrytom, którzy jak Madonna, Britney Spears czy Demi Moore noszą kabalistyczne czerwone nitki wokół przegubów dla ochrony przed złymi mocami.

Zabobon osiągnął niewiarygodne rozmiary. Ocenia się, że na początku XXI wieku pracowało we Włoszech około 350 tysięcy wróżbiarzy, a więc wielokrotnie więcej niż księży katolickich. W Wielkiej Brytanii specjalistów od »medycyny alternatywnej« jest więcej niż lekarzy rodzinnych. Hillary i Bill Clintonowie korzystali z usług »psychologów alternatywnych« w rodzaju Jean Houston, która pomagała Hillary Clinton kontaktować się z duchami. Tony i Cherie Blairowie urządzili gabinet premiera Wielkiej Brytanii według zasady feng shui i korzystali z usług Carole Caplin z sekty Esegesis jako »guru od stylu życia«. Cherie Blair nosiła też »tarczę bioelektryczną« z kwarcu, która miała ją otaczać »kokonem energii«, a wraz z mężem poddała się meksykańskiemu rytuałowi pogańskiemu »ponownego narodzenia«. Okultyzm rozkwitł szczególnie po sukcesie wydawniczym serii powieści o Harrym Potterze. Współcześni neopoganie są gotowi uwierzyć we wszystko, ale nie w to, że stworzył ich dobry Bóg".

Czy kiedyś przejrzą na oczy? ©℗

★★★★★★

WOJCIECH ROSZKOWSKI „ROZTRZASKANE LUSTRO. UPADEK CYWILIZACJI ZACHODNIEJ"
BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2018

eprasa.pl 5ea8026dbc

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W obronie nauki

Nie, nie wszyscy jesteśmy ekspertami, argumentuje z pasją brytyjski socjolog Harry Collins. Chociaż posiadamy wiedzę wynikającą z doświadczenia, to zwykle jest ułomna i cząstkowa. Na manowce zaś wiedzie nas pseudowiedza, wynikająca z pobieżnej lektury kilku artykułów albo paru wyglądających wiarygodnie stron w Internecie.

Zdroworozsądkowy głos Collinsa jest oczywiście straszliwą herezją w dzisiejszym świecie przepełnionym mediami i krzykliwymi akcjami „mądrzejszych amatorów". To bowiem świat, w którym prawdą nie jest to, co prawdziwe, ale to, co odbiorcy mediów za prawdę uważają. A celebrytka szlochająca, że szczepienie na odrę wywołało u jej dziecka autyzm, zawsze będzie popularniejsza (czyli bardziej wiarygodna) od zastępów ekspertów, którzy udowadniają, że nic nie potwierdza jej efektownej tezy.

Naukowcy zasłużyli na podejrzliwość, to fakt – zgadza się Collins – bo trudno pogodzić się z tym, że niektórzy z nich za pieniądze koncernów tytoniowych (są i inne przykłady) produkowali prace o tym, jak to palenie nie szkodzi. Jednak podobnie jak z tego, że pojedynczy księża okazują się pedofilami, nie wynika powód do deprecjonowania wiary i Kościoła, tak pojedynczy naukowcy oszuści nie mogą być pretekstem do potępiania w czambuł całego świata nauki. I gdy szukamy osoby współczującej, uczciwej, gotowej pomóc bliźniemu, zwrócimy się jednak do kapłana, a nie np. bankiera – przypomina socjolog.

Inna ważna lekcja: polityka potrafi niszczyć zaufanie do nauki równie mocno jak mediatyzacja świata. Nie da się przez demokratyczne głosowanie ustalić, czy istnieją fale grawitacyjne, a mimo to zdarza się, że rozmaite naukowe dokonania są kwestionowane w ten właśnie sposób: czymże jest wycofanie się polityka z merytorycznej decyzji pod wpływem lęku przed gniewem elektoratu, jeśli nie triumfem demokracji nad nauką.

Tutaj jednak brytyjski naukowiec sam podważa nasze zaufanie do środowiska, które reprezentuje. W pierwszych partiach książki pokazuje, jak rozluźnienie rygorów, które rozpoczęło się od rewolucji kulturowej lat 60. XX w., sprawiło, że nawet nauki ścisłe stały się naukami płynnymi, naukami interpretacji, a nie faktów. Nie naukowe ustalenia, ale dywagacje „kto i z jakich pozycji" coś ogłasza albo krytykuje, stały się bowiem najważniejsze. Rzecz jest więc bardziej skomplikowana, niż się wydaje, ale książka Collinsa to dobry początek dyskusji. ©℗

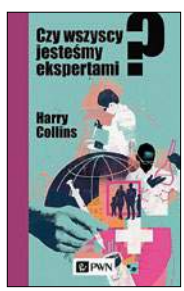

★★★★★☆
HARRY COLLINS
„CZY WSZYSCY JESTEŚMY EKSPERTAMI?"
PWN 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Legendarny fiński kierowca wyścigowy, jakiego dotąd nie znaliście. Przez całą karierę niechętnie udzielał wywiadów, a władzom miasta, w którym mieszkał, odmówił, gdy chciano jego imieniem nazwać jedną z ulic.

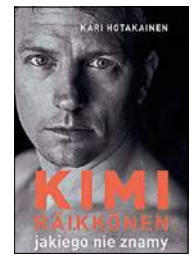

KARI HOTAKAINEN
„KIMI RÄIKKÖNEN, JAKIEGO NIE ZNAMY"
ZYSK I S-KA

Autor przygląda się encyklice Pawła VI „Humanae vitae" (ale i „Amoris laetitia" papieża Franciszka) i przypomina, skąd bierze się stanowisko Kościoła w sprawie życia poczętego i rodziny. Niezmienne, dodajmy, wbrew sądom niektórych.

TOMASZ TERLIKOWSKI
„CZEGO KSIĘŻA NIE POWIEDZĄ CI O ANTYKONCEPCJI"
W DRODZE

Wielkoformatowy przewodnik po Wszechświecie, od planet i księżyców w Układzie Słonecznym do odległych galaktyk. Pięknie ilustrowane kompendium wiadomości przydatnych dla młodocianych miłośników Kosmosu.

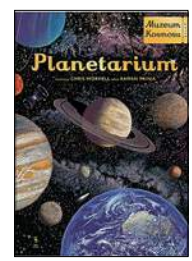

CHRIS WORMELL, RAMAN PRINJA
„PLANETARIUM"
DWIE SIOSTRY

Lektura pyszna i pouczająca: analiza „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego, od intrygujących pytań czysto literackich (dlaczego te, a nie inne wybory – na podstawie skreśleń z rękopisu) do warstwy duchowej i tropów chrześcijańskich. ©℗

poleca Piotr Gociek

STANISŁAW FALKOWSKI
„SIŁY WIĘKSZE NIŻ CHAOS"
OW VOLUMEN

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Michelle Obama „Becoming. Moja historia" (Agora) – autobiografia byłej pierwszej damy, żony Baracka Obamy.***
2. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
3. ***Remigiusz Mróz „Nieodgadniona" (Filia) – drugi tom cyklu rozpoczętego powieścią „Nieodnaleziona", którego bohaterem jest Damian Werner.***
4. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – powrót bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej.***
5. ***Jakub Żulczyk „Ślepnąc od świateł" (Świat Książki) – powieść o dilerze narkotyków z Warszawy wraca na listę dzięki serialowi HBO.***

(Najchętniej kupowane tytuły w salonach Empik od 4 do 17 lutego 2019 r.)

eprasa.pl 5ea8026dbc

W czerwcu do polskich kin wejdzie „Rocketman", opowieść o życiu i karierze Eltona Johna
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Koncert w multipleksie

Scenariusz jest prawie gotowy. I to niebanalny. Muzyka – jest. Świetna. Grupa ludzi, którzy z pewnością pójdą do kin, też dość spora, bo każdy z muzyków, których życiorysy trafiają na ekrany, ma miliony wiernych fanów. A w dodatku takim filmom wiele się wybacza. Z sentymentu do historii ludzi, które opowiadają.

Tak jak w przypadku „Bohemian Rhapsody". Na pięć nominacji do Oscarów – cztery przyznane statuetki. Mimo tego, że nie jest to w żadnym razie film wybitny. Historię Freddiego i zespołu Queen można było opowiedzieć dużo lepiej. Powyżej średniej całokształtu „Bohemian..." utrzymywała się gra Ramiego Maleka (Oscar dla najlepszego aktora). Ale ten film to zwłaszcza muzyka genialnego Queen z – jakkolwiek by Freddiego oceniać – jednym z najwspanialszych męskich wokali w historii.

Na tego rodzaju filmy idzie się trochę jak na koncert i kiedy muzyka ulubionego zespołu uderza w nas tyloma decybelami, przymykamy oczy na niedociągnięcia. Takie koncerty dadzą w najbliższym czasie dwie ikony. W czerwcu do polskich kin wejdzie „Rocketman", opowieść o życiu i karierze Eltona Johna, a właściwie Reginalda Dwighta – jak w rzeczywistości nazywał się brytyjski gwiazdor. „Reginald? – słyszy filmowy Elton od pewnej kobiety. – Jak mój dziadek". Dostaje też radę, która „tłustawemu chłopakowi znikąd" ma pomóc zostać gwiazdą: „Zabij tego, kim się urodziłeś, by stać się tym, kim chcesz być". To trudna droga, w trakcie której kolorowe kostiumy i sceniczny blichtr przeplatają się z ponurą rzeczywistość podsypaną problemami i uzależnieniami.

Kiedy w kinach będzie pokazywana biografia Eltona Johna, ruszą zdjęcia do filmu o nieżyjącym od 2016 r. Davidzie Bowiem. A właściwie o Ziggym Starduście – przedziwnym alter ego muzyka: kosmicie, który przybył na Ziemię, by zostać gwiazdą rocka. Jako ta wymyślona postać David nagrał całą płytę i dał trasę koncertową, podczas której nie wychodził z roli nawet w trakcie konferencji prasowych, występując na nich jako własne alter ego.

Będzie prawo serii? Nic tak nie nakręca Hollywood jak pieniądze. „Bohemian Rhapsody", wciąż grany w kinach, jest już na 65. miejscu najlepiej zarabiających filmów w historii, wyprzedzając już niektóre części takich marek jak „Gwiezdne wojny", „Spider-Man" i „Matrix", z pewnością rozpala wyobraźnie i chęć bratania się przemysłu filmowego z muzycznym. Nawet jeśli to pula do podziału. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Gorzko

Na 39. (!) albumie Voo Voo Wojciech Waglewski porzuca świat wewnętrznych rozważań i zderza się z otaczającą go rzeczywistością. Jest wkurzony, ale nie krzyczy i może dlatego te utwory tak bolą i zachwycają.

Zaczyna się „Niespiesznie". „Piją kawę i uśmiechają się, poklepując kłamstwami" – śpiewa lider Voo Voo, a za chwilę dodaje: „Piję kawę i uśmiecham się, poklepując myślami". A potem rozlicza się ze swoim pokoleniem („Mieliśmy przecież być bez skazy, czyści jak łzy"; „Lecz co się dziś z hipisami stało?") czy komentuje świat („Ja tańczę na tę nienawiść kompletnie chorą"). Nie wierząc w rówieśników („Parę razy mnie zdziwili moi byli już koledzy"), liczy, że „może młodzi się obudzą i utoniemy wszyscy w zupie". Na przetrwanie stosuje rozwiązanie – „Ruszam się nienachlanie, choć dość swobodnie, by się odnaleźć jakoś w tym godnie".

Muzycznie jest to płyta z dawnych czasów, ale paradoksalnie brzmi nowocześnie. Dominują ponadpięciominutowe utwory przepełnione improwizacjami i gitarowo-saksofonowymi solo. Cztery z nich mają instrumentalne dopełnienia, w których Waglewski ucieka w stronę odmiennych stanów muzycznych (latynosko-afrykańskich, jazzowo-awangardowych) albo dźwiękowych snów. ©℗

★★★★★★
VOO VOO
„ZA NIEBAWEM"
AGORA

★★★★★★
KONIKIEWICZ FREE FUNK TRIO
„LIVE AT RURA 1982"
GAD

Na początku lat 80. młoda generacja muzyków zapragnęła przewietrzyć polski jazz. Wojciech Konikiewicz wprowadził harmolodic, ale też punk, reggae czy disco. Dwugodzinny koncert świetnie dokumentuje to zjawisko.

★★★★★★
ANDRZEJ KORZYŃSKI
„ORWO YEARS"
GAD

Obok muzyki do filmów Wajdy czy Żuławskiego Korzyński komponował w latach 70. tematy do obrazów Celina Bleiweissa. Nagrania z NRD po raz pierwszy ukazują się na płycie. A, orwo to były tamtejsze taśmy magnetofonowe. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Tajemnice Srebrnej

Bomby zapowiadane przez prawdziwego Jarosława Kurskiego oraz fejkowego Jarosława Kurskiego jakoś nie wybuchły, więc to chyba już ostatni moment, żeby wyznać prawdę. Zanim zainteresowanie publiki wygaśnie. Otóż ja też pracowałem w spółce Srebrna.

To był koniec lat 90. ubiegłego stulecia (jak to brzmi!) i wespół z Piotrem Zarembą oraz Robertem Mazurkiem zatrudniłem się w tygodniku „Nowe Państwo". Szczerze mówiąc, to była chyba najfajniejsza dziennikarska przygoda, w której uczestniczyłem. Mieliśmy pełną wolność twórczą, całkiem nieźle zarabialiśmy i robiliśmy pismo, które było dobre. Tak przynajmniej twierdził wówczas Tomasz Lis, a właściwie wszyscy tak twierdzili. To w „Nowym Państwie" powstała rubryka „Z życia koalicji, z życia opozycji", którą przez 20 lat prowadziliśmy z Robertem. Od całkiem pokaźnej grupy ludzi usłyszałem, że „wychowali się na »Nowym Państwie«". Nic dziwnego, że miło te czasy wspominam.

Otóż i one: insajderskie wspomnienia z jaskini lwa. Sam lew rezydował zaraz obok redakcji. Czasem robiliśmy z nim wywiady, a czasem wpadaliśmy, żeby pogadać, a raczej posłuchać. O Kaczyńskim pisał nie będę, bo nie chcę odbierać pracy niezliczonym kaczorologom. Zresztą prawdę o nim zgłębi w przyszłości Narodowy Trybunał Sprawiedliwości, w składzie: Holland, Hołdys, Janda, przed którym ten straszliwy zbrodniarz w końcu stanie. Napisze tylko jedną sensacyjną rzecz: Kaczyński ma świetne poczucie humoru.

Prezesem Srebrnej był Wojciech Jasiński, który niesamowicie nam imponował, bo miał w biurowcu własną toaletę. Już wtedy władze spółki ostro pracowały nad postawieniem wieżowca w wiadomym miejscu. Złośliwie twierdziliśmy, że wieżowiec stanie za 20 lat, ale byliśmy mało złośliwi. Naczelnym „Nowego Państwa" był Adam Lipiński – przemiły człowiek, który jak się do niego szło z jakąś sprawą, to zaraz obiecywał, że ją załatwi, i nigdy nie załatwiał. Pod tym względem podobno się nie zmienił. Niekiedy, przed spotkaniem z prezesem, do redakcji wpadał Krzysztof Suski. Miał on irytującą cechę – stawał za plecami osoby piszącej tekst i wpatrywał się w ekran. Czasem nawet coś komentował. Nazwaliśmy go Bardzo Ważnym PC-owcem. W skrócie BWPC.

Było jeszcze parę osób, choćby zapomniany już nieco Ludwik Dorn, który wybierał ofiarę i osaczał ją intelektualnie monologami. I była jeszcze pani Barbara Skrzypek, która obecnie jest kreowana na jakąś demoniczną postać. To była bardzo ciepła i sympatyczna osoba, której nie dało się nie lubić. Dbała o szefa, ale o interesantów prawie tak samo. Niedawno trafiłem na Nowogrodzką, już w czasach wszechwładzy PiS. I Pani Basia, choć wpływowa i ważna, wciąż była tą sama Panią Basią, miłą, pomocną kobietą, zupełnie niezepsutą przez władzę. Naprawdę, wielu mogłoby się od niej uczyć. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kupą, mości panowie!

Ponieważ w zeszłym tygodniu mądrzyłem się na temat „jak wygrać?", nie pozostaje mi nic innego, aby dziś podeliberować „jak przegrać?". Oto na naszych oczach dokonuje się samolikwidacja takich sprawdzonych, wydawałoby się, marek jak PSL i SLD.

Przywódcy zapewniają wprawdzie, że Koalicja Obywatelska to tylko taki związek na próbę i po wyborach europejskich się zobaczy. Otóż z dużą pewnością można stwierdzić, że się nie zobaczy. W wypadku sukcesu Schetyna skonsumuje swoje przystawki, zostawiając im na otarcie łez parę marnych euromandatów. A w razie porażki wiara, że rozejdziemy się w zgodzie i będzie po staremu, jest mylna. Nie bardzo będzie gdzie się rozchodzić – PiS, Biedroń i Kukiz zagospodarują zajęty teren.

Pozostaje zatem jedynie strach przed PiS, bardziej irracjonalny niż pragmatyczny

Rachuby na premie za jedność, jaką mieliby przyznać wyborcy, też oparte są na błędnej analogii. Zjednoczona prawica czy ongiś AWS były wspólnotą wartości i celów. Co jednak łączy postkomucha z kościółkowym niedobitkiem w PO, roszczeniowego ekologistę z liberałem ze szkoły Balcerowicza, tradycyjnego katolika z PSL z lewakami spod znaku tęczowej flagi? Także miłość do Brukseli i wartości europejskich, euro i pomysłów superpaństwa nie rozkłada się równomiernie.

Pozostaje zatem jedynie strach przed PiS bardziej irracjonalny niż pragmatyczny, ponieważ najbardziej nawet zaciekli orędownicy dobrej zmiany nie zamierzają wsadzić wszystkich, a jedynie złodziei, i lustrować ewentualnie takich, którzy mają naprawdę coś za uszami. Kłopotliwe jest też pytanie, co tak konkretnie można zarzucić PiS – rujnuje gospodarkę, zubaża społeczeństwo, utrwala patologie. Trudno wymienić jakąkolwiek szkodę wynikłą z rzekomego łamania konstytucji poza kompromitacją tych, którzy skarżą się w Brukseli. Skądinąd nawet tu przekaz jest niezborny. Jednym półgębkiem opozycja krzyczy, że PiS dewastuje państwo, a drugim – że kradnie jej autorskie pomysły. Albo, albo, panowie bracia.

Skądinąd heroiczna obrona Europy przed polexitem (którego nikt nie planuje) ma ten mankament, że w chwili obecnej nie bardzo wiadomo, jakiej Europy chcemy bronić. A jeśli po majowych wyborach okaże się populistyczną, ksenofobiczną i przechyloną na prawo? Może koniecznością dla wszystkich postępowych sił będzie ją zwalczać. Jednak to wymaga już większej wyobraźni i zdolności przewidywania, niż mogą ją mieć wszyscy koalicjanci razem wzięci? Hasło „kupą, mości panowie" ma wiele zalet, ale jedną kłopotliwą wadę. Brzydko pachnie. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

Z prof. Romualdem Szeremietiewem, byłym wiceministrem i byłym p.o. ministrem obrony narodowej
rozmawia Maciej Pieczyński

Rosja – cierpliwy agresor

FOT. ANNA ABAKD/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy Rosja nam zagraża?

PROF. ROMUALD SZEREMIETIEW: Napaść zbrojna Rosji na Polskę nie wydaje się w tej chwili możliwa. Gwarancją naszego bezpieczeństwa jest obecność wojsk NATO na flance wschodniej. Z wojskowego punktu widzenia nie są to potężne siły. Ważne jednak, że w ich skład wchodzą oddziały amerykańskie. Dlatego Kreml, atakując Polskę, musiałby się liczyć z odwetem ze strony Stanów Zjednoczonych. A to już byłoby dla Rosji zbyt duże ryzyko.

Te 4 tys. amerykańskich żołnierzy to liczba symboliczna. Gdyby – hipotetycznie – Rosja zaryzykowała i zaatakowała, nie mielibyśmy szans?

Uważa się, że w przypadku starcia armii regularnych (wojska operacyjne), aby odnieść zwycięstwo, trzeba dysponować co najmniej trzykrotną przewagą. Rosja byłaby w stanie skierować tak przeważające siły na wojnę z Polską. Do tego w ostatnich latach w Rosji dokonano głębokiej reformy armii. Funkcjonujące przedtem okręgi wojskowe, pełniące funkcje administracyjne, zastąpione zostały dowództwami operacyjnymi, których zadaniem jest prowadzenie działań ofensywnych. Całość sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej ma też charakter ofensywny. Nastąpiła rozbudowa systemów rakietowych, w tym rakiet Iskander, które rozlokowano m.in. w obwodzie kaliningradzkim. Na terenie Rosji zachodniej (rejon Smoleńska) odtworzono pierwszą armię pancerną gwardii, która po II wojnie światowej okupowała wschodnie Niemcy.

Po co Rosja pręży muskuły, skoro i tak nie odważy się napaść na flankę wschodnią NATO? Chce nas przestraszyć czy może czeka na lepszy moment?

Antoni Czechow pisał, że jeśli w pierwszym akcie spektaklu na ścianie wisi strzelba, to w ostatnim ona wystrzeli. Prezydent Putin zawiesił taką „strzelbę" w grze uprawianej przez Kreml i cały czas pokazuje, że może z niej wystrzelić. Przechwala się, że ma jakieś nadzwyczajne uzbrojenie, nieustannie odbywają się ćwiczenia wojskowe, Rosjanie dbają o utrzymanie wysokiej gotowości bojowej. Rosja w ostatnim czasie podwoiła swoje wojska powietrznodesantowe, a więc tę formację, której żołnierze po zdjęciu oznak, jako „zielone ludziki", zajmowali Krym. Nieukrywanym celem Kremla jest uzyskanie możliwości prowadzenia operacji militarnych na kierunku zachodnim.

Co musiałoby się stać, żeby doszło do otwartej agresji na Polskę?

Rosja mogłaby zaatakować, gdyby Amerykanie wyszli z Europy. Rosjan ośmieliłaby również sytuacja, w której Stany Zjednoczone byłyby zaangażowane w jakiś duży konflikt w innym regionie świata. Są trzy zapalne punkty, w których Waszyngton może się uwikłać militarnie: Daleki Wschód, gdzie pojawiły się ambicje wielkomocarstwowe Chin; Bliski Wschód, gdzie mamy wojowniczy Iran; oraz – niestety – właśnie Europa Środkowo-Wschodnia. USA w latach zimnej wojny miały zdolność prowadzenia dwóch dużych wojen i jednej mniejszej. Obecnie nie mają takich możliwości. Według danych Pentagonu USA planują przygotować swoje siły zbrojne tak, aby były w stanie zaangażować się w jeden duży konflikt. Co to oznacza? Po pierwsze, że nawet takich zdolności jeszcze nie mają. A po drugie – nawet jeżeli już będą gotowe do wojny, to nie więcej niż na jednym froncie. Niewykluczone, że Rosja gra o to, by Amerykanie wplątali się w konflikt na Dalekim lub Bliskim Wschodzie i wtedy USA będą musiały wycofać swoje siły z Europy.

Zarówno w 2014 r., jak i teraz Ukraina jest dla Rosji niewątpliwie łatwiejszym, mniej ryzykownym łupem niż Polska. A jednak wciąż Kreml nie decyduje się na pełnowymiarową agresję. Może więc to rosyjskie zagrożenie jest papierowe?

Putin nie jest szaleńcem, nie rozpęta wojny, którą Rosja może przegrać. On działa racjonalnie, posuwając się krok po kroku. Wprawdzie jeszcze nie rozstrzygnął konfliktu na Ukrainie na swoją korzyść, ale ta pełzająca wojna w każdym sprzyjającym momencie może się przekształcić w otwartą wojnę, która zlikwiduje niepodległość Ukrainy. Ponadto Moskwa próbuje całkowicie podporządkować sobie Białoruś. Widać zatem wyraźnie, że konsekwentnie posuwa się na zachód. To jest rozłożone w czasie. Rosjanie zawsze byli takimi cierpliwymi agresorami. Hitler chciał na raz połknąć zbyt wiele, dlatego się udławił. Moskwa natomiast – niegdyś Stalin, dzisiaj Putin – potrafi postępować z umiarem, przez co jest bardziej skuteczna i niebezpieczna. Nie tylko wojskowo, lecz także politycznie i propagandowo. Proszę zwrócić uwagę, że prorosyjskie sympatie są bardzo silne w takich krajach jak Niemcy i Francja. Największym geopolitycznym marzeniem strategów Kremla jest utworzenie wielkiej wspólnoty euroazjatyckiej, rozciągającej się – w myśl Aleksandra Dugina – od Lizbony do Władywostoku. Karty w tej wspólnocie rozdawaliby przede wszystkim Rosjanie wspierani przez Niemców. Można sobie zatem wyobrazić sytuację, w której – po ewentualnym wycofaniu się Amerykanów z Europy – Moskwa sprzymierza się z Berlinem i Paryżem, robiąc porządek z tymi, którzy jej przeszkadzają w tworzeniu bloku euroazjatyckiego. Do tego jeśli Amerykanie zaangażują się w konflikt w innym niż nasz regionie świata, to niewykluczone, że będą potrzebowali Rosji jako sojusznika, a nie wroga. Wówczas pozycja Polski będzie bardzo trudna.

W jaki sposób – poza militarnym – już obecnie Rosja nam zagraża?

Niewykluczone, że Rosja już dziś podsyca izraelski antypolonizm – ma tam możliwości, aby nam zaszkodzić. Spór Polski z Izraelem, głównym sojusznikiem USA, jest dla Kremla korzystny.

Szczególnie że akurat Izrael i Rosja prowadzą podobną politykę historyczną w kwestii II wojny światowej. Według tej interpretacji Armia Czerwona to bohaterowie, którzy uratowali Żydów przed całkowitą zagładą, a Polacy to „faszyści i antysemici"...

Zgadza się. Zauważmy, że w Izraelu dziś dominują Żydzi rosyjscy, którym bliżej do kremlowskiej wizji przeszłości. Ponadto poważnym zagrożeniem ze strony Rosji jest również cyberprzestrzeń. Bardzo dobrze, że Polska podejmuje działania w tym obszarze. Mam nadzieję, że MON zrealizuje zapowiedzi sformowania wojsk funkcjonujących w cyberprzestrzeni. Rosja bowiem aktywnie tam działa, stosując dezinformację. Nie mam też wątpliwości, że spory w naszym kraju podgrzewa rosyjska agentura wsjakogo sorta („wszelakiego sortu"). A najtrudniejsza do zwalczenia, a przez to najgroźniejsza, jest agentura wpływu. Łatwiej wytropić i złapać kogoś, kto wykrada tajne informacje, niż wyeliminować kogoś działającego na szkodę Polski, a udającego eksperta, zasłaniającego się wolnością słowa. Nie wiem, czy nasz kontrwywiad jest w stanie sobie z tym efektywnie poradzić.

Jednak rosyjska agentura wpływu nie ma w Polsce łatwego zadania. Jesteśmy wyjątkowo odporni na kremlowską propagandę. Czy zatem w polskich warunkach jest w ogóle możliwy do realizacji scenariusz ukraiński – czyli sabotaż w wykonaniu „zielonych ludzików", mniej lub bardziej wspieranych przez miejscową ludność, popierającą agresora?

Proszę jednak zwrócić uwagę na obecną sytuację w Polsce. Nakręcane są procesy, które de facto prowadzą do destrukcji państwa. Uważam, że tocząca się tzw. wojna polsko-polska nie jest zjawiskiem determinowanym wyłącznie wewnętrznymi antagonizmami.

Nie sposób twierdzić, że którakolwiek ze stron sporu świadomie działa na rzecz Rosji. Łatwo jednak sobie wyobrazić, że totalna opozycja np. blokuje przekop Mierzei Wiślanej na złość PiS, równocześnie nieświadomie pomagając Putinowi.

Otóż to, szkodzić można też nieświadomie. A można dostrzec, że ktoś z zewnątrz podpuszcza różne ugrupowania, ambitnych liderów, aby nieustannie dolewać oliwy do ognia sporu. Przekraczane są kolejne granice tego, co wypada robić w ramach cywilizowanej walki politycznej. Zamiast wspólnoty narodowej mamy dwie Polski, które coraz mniej do siebie pasują. Sięgnijmy do historii. Zanim doszło do rozbiorów, nasi sąsiedzi też robili wszystko, aby poprzez agenturę wpływu doprowadzić do wewnętrznego rozkładu Rzeczypospolitej. Korumpowali urzędników, podgrzewali konflikty społeczne, wspierając strony sporu. W efekcie zostaliśmy podbici bez jednego wystrzału. Rozbiory zostały zaakceptowane przez sejm Rzeczypospolitej. Rosja w podobny sposób próbuje dziś zdestabilizować Ukrainę i doprowadzić ją do stanu, w którym sama pokornie uzna zwierzchność Kremla. Podobny los może czekać w przyszłości również Polaków, jeśli nie uda się opanować tej wojny polsko-polskiej. Łatwo sobie wyobrazić sytuację, w której konflikt wewnętrzny prowadzi do rozlewu krwi nawet bez udziału sił zewnętrznych, struktury państwa przestają działać, a wówczas Rosjanie pod pretekstem „uspokojenia" sytuacji w sąsiednim kraju wysyłają nad Wisłę swoje wojska desantowe...

Władysław Surkow twierdzi, że wiek XXI będzie „wiekiem putinizmu", a przeznaczeniem Moskwy jest „zbieranie ziem". Czy przepowiednia kremlowskiego ideologa się spełni?

Moskwa zawsze, od czasów Iwana Groźnego, pragnęła „zbierać" ruskie ziemie, uznając, że wszędzie, gdzie stanie noga rosyjskiego sołdata, jest to ruska ziemia, np. w Królewcu. Wydaje się jednak, że wiek XXI będzie raczej „wiekiem upadku Rosji", która mimo prężenia muskułów jest w trudnym położeniu – nie potrafi poradzić sobie z katastrofą demograficzną. Rosjan jest coraz mniej na ogromnym terytorium, na które od południowego wschodu napierają Chińczycy, spoglądający łakomie na bogactwa naturalne Syberii, i cóż tu mówić o podbojach...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Czy Moskwa jest

Karol Kaźmierczak

Obawa przed Rosją jest główną przesłanką polityki zagranicznej Polski. Tymczasem Rosja nie jest ani tak silna i zaborcza, ani tak słaba i nieracjonalna, jak się wydaje polskim politykom

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że kurs polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Polski po 1989 r. jest w znacznej mierze pochodną stosunku polskich elit do Moskwy. Obawa przed Rosją doprowadziła obóz PiS aż do uczynienia z Polski faktycznego protektoratu Stanów Zjednoczonych, w którym całość polityki zewnętrznej podporządkowywana jest polityce zagranicznej Waszyngtonu. Oceniając z perspektywy kończącej się kadencji rządy PiS, nie sposób nie stawiać pytania o to, jak mogło dojść do tego, że obóz polityczny określający się mianem niepodległościowego, oficjalnie stawiający jako centralną wartość suwerenność i podmiotowość państwa, doprowadził Polskę do sytuacji tak wielkiego podporządkowania wobec jednego mocarstwa – jak mogliśmy to widzieć na niedawnej konferencji w Warszawie organizowanej przez Departament Stanu USA.

Odpowiedzią na to pytanie jest właśnie stosunek obozu PiS do Rosji. Wśród rządzących polityków oraz wspierających ich ekspertów, publicystów i dziennikarzy dominują dwie wizje naszego największego sąsiada. W jednej Rosja to moloch rządzony przez KGB-owski syndykat zbrodni, szykujący się do połknięcia Polski wraz z całym regionem. To właściwie odrodzony przez Putina Związek Sowiecki, prowadzący „neoimperialną" politykę. Notabene stworzenie tego pokracznego neologizmu zdradza jednak niedostateczną pewność używających go komentatorów i świadomość nierelewantności porównania polityki współczesnej Rosji z działaniami carów czy sekretarzy generalnych KPZR. Druga popularna narracja przedstawia Rosję jako zacofane, zabiedzone i stojące na skraju upadku państwo, które w desperacji próbuje wymusić na innych uczestnikach stosunków międzynarodowych ustępstwa i koncesje na rzecz swoich interesów ostatnim atutem, jaki posiada – atutem militarnym, w ten sposób destabilizując ład międzynarodowy. W tej perspektywie Polska powinna szybko powiększyć swój potencjał, choćby na cudzy, amerykański rachunek, i wypychać Rosję z Europy Wschodniej. Tymczasem ani jedna, ani druga wizja nie jest prawdziwa. Rosja nie jest ani tak silna i zaborcza, ani tak słaba i nieracjonalna, jak twierdzą ci, którzy z polityki odpychania Rosji uczynili podstawowe założenie polskiej polityki.

LIUDIEJ JUŻ NIE TAK MNOGO

Władimir Putin nazwał w 2005 r. rozpad ZSRR największą katastrofą geopolityczną XX w., co wielu uznało za dowód żywej nostalgii prezydenta Rosji za systemem sowieckim. Znacznie rzadziej pamięta się w Polsce o innym sformułowaniu Putina, że „każdy, kto nie tęskni za Związkiem Radzieckim, nie ma serca. Każdy, kto chce jego powrotu, nie ma mózgu". Pierwszy cytat w sensie geopolitycznym oddawał proces wielkiej redukcji potencjału, jakim rozporządzała Moskwa. Przecież w 1991 r. rządzący na Kremlu utracili nie tylko tereny podporządkowane ich władzy przez Armię Czerwoną, lecz także zdobycze dynastii Romanowów, budujących imperialny gmach przez 300 lat. Rosja obecna wycofała się w Europie na granice w przybliżeniu z pierwszej połowy XVII w. W 1991 r. Związek Radziecki zamieszkiwało 293 mln ludzi, obecnie Ro-

eprasa.pl 5ea8026dbc

dziś groźna?

Prezydent Władimir Putin na Zgromadzeniu Narodowym (20 lutego 2019 r.)
FOT. SPUTNIK/REUTERS/FORUM

sja ma ok. 143 mln mieszkańców. Gęstość zaludnienia spadła z 13 do 8,5 osoby na km kw. W 1986 r. produkt krajowy brutto stanowił 66 proc. PKB USA, a gospodarka radziecka była drugą gospodarką świata. W 2018 r., nawet według parytetu siły nabywczej, rosyjskie PKB odpowiadało jedynie 20 proc. wartości amerykańskiego, a rosyjska gospodarka była szóstą pod względem parytetu siły nabywczej i 12. pod względem wartości nominalnej. Jedno nie zmieniło się od lat 80. XX w. – finanse Moskwy są uzależnione od eksportu surowców. I władze rosyjskie nie robią wiele, aby to zmienić.

W latach 1960–1991 Armia Radziecka liczyła ok. 3,5 mln żołnierzy. Rozwijała się do 180 ogólnowojskowych dywizji mających częściowo charakter szkieletowy, gotowych do rozwinięcia w czasie mobilizacji, która miała pozwolić zalać NATO masami wojska w dwóch rzutach. Współczesna armia rosyjska liczy ok. 1 mln żołnierzy i jest piątą pod względem liczebności na świecie, przy czym Rosja zajmuje dopiero czwarte miejsce pod względem wydatków wojskowych. W związku z redukcją poboru Rosjanie dysponują obecnie rezerwami o liczebności ok. 2 mln. Negatywna tendencja demograficzna sprawia, że rezerwy będą się tylko kurczyć. Obecna armia rosyjska nie jest zdolna do przeprowadzenia konwencjonalnej ofensywy na skalę kontynentalną. Operacja w Syrii pokazuje nam model projekcji siły Moskwy na odległym i niewielkim teatrze wojennym. Nie zapominajmy jednak o tym, że Moskwa mogła działaniami lotnictwa, wojsk rakietowych i niewielkimi oddziałami sił specjalnych przechylić szalę konfliktu, bo miała podstawę w postaci zaplecza i sił zapewnianych przez władze Syrii i licznych sił lądowych ich sprzymierzeńców w postaci Irańczyków i szyitów z całego Bliskiego Wschodu.

BEZ UNIWERSALISTYCZNEJ IDEI

Oczywiście podstawy dla polityki danego państwa stanowią nie tylko zasoby materialne, lecz także wpływające na elity polityczne i obywateli kultura i ideologia, współtworzące przecież ramy dla pojęcia własnych interesów. Także na tej płaszczyźnie Rosja współczesna nie jest podobna do ZSRS. Z perspektywy ulgowego socjalizmu PRL zapominamy, że Związek Sowiecki właściwie aż do pełnego rozpędu polityki głasnosti w 1987 r. pozostawał państwem totalitarnym. Każdy element administracyjnej struktury państwa, upaństwowionej gospodarki, mediów znajdował się pod kontrolą partii komunistycznej. Partia przenikała w rodziny i wychowywała obywateli od żłobka. Do partii należało w 1989 r. prawie 20 mln obywateli. Dawało to radzieckim władzom możliwość mobilizowania zasobów ludzkich i materialnych na skalę nieporównywalną do współczesnej autokracji Putina. Tym bardziej że władzę tę stanowiła partia legitymizująca się uniwersalistyczną ideologią obiecującą globalną zmianę socjoekonomiczną i kulturową – komunistyczny koniec historii. Bez względu na demoralizację partyjnych i państwowych urzędników język komunistycznej ideologii nigdy nie przestał być w ZSRS językiem wyrażania celów politycznych i sposobów ich osiągania. O presji tej ideologii na myślenie przywództwa świadczą ujawnione przez Władimira Bukowskiego stenogramy posiedzenia Biura Politycznego z 1979 r., w trakcie którego jego członkowie, szacując możliwości interwencji w Afganistanie, za ważny czynnik jej powodzenia uznali liczebność proletariatu przemysłowego w Kabulu.

Współczesne rosyjskie elity nie wyznają ani nawet nie propagują jako środka wpływu żadnej koherentnej, uniwersalistycznej ideologii. Nawet takiej, jaką dla carów był panslawizm i jeszcze szersze roszczenia wynikające z idei „trzeciego Rzymu". Charakterystyczne, że interweniując militarnie na Ukrainie, Moskwa odwołała się do pojęcia „russkoj wiesny", czyli w gruncie

eprasa.pl 5ea8026dbc

rzeczy partykularnego nacjonalizmu obliczonego na mobilizację etnicznych Rosjan i najbardziej zrusyfikowanej grupy Ukraińców. Ta nacjonalistyczna podstawa metapolityczna jest zresztą również miną z opóźnionym zapłonem podłożoną pod konstrukcję państwa, w którym nawet w metropoliach jej rdzeniowej, europejskiej części coraz istotniejszą rolę odgrywają narodowości azjatyckie (szczególnie w armii – sam minister obrony Szojgu jest Tuwińcem). Przy wskaźniku dzietności na poziomie 1,7 liczba ludności Rosji maleje drugi rok z rzędu, mimo dość wysokiego dodatniego salda migracyjnego – w 2017 r. na poziomie 211 tys.

Interwencje militarne Rosji na Ukrainie i Gruzji często przedstawia się w Polsce jako dowód niepohamowanego imperializmu Moskwy. Jednak Putin od początku podkreślał, że samozwańcze republiki ludowe to część Ukrainy domagająca się po prostu autonomii, zaś rosyjscy kuratorzy separatystów skutecznie ostudzili ich zapał, nie dopuszczając do proklamowania Noworosji czy wycofując ich oddziały ze Słowiańska i Kramatorska do terenów bezpośrednio przy granicy rosyjskiej. Jeśli pamięta się o tym, że na początku 2014 r. Kijów dysponował w linii tylko ok. 10 tys. zdolnych do podjęcia walki żołnierzy, i o tym, że tysiące milicjantów i żołnierzy na Krymie czy w Donbasie przechodziło na stronę jego wrogów, można dostrzec samoograniczający się charakter rosyjskiej interwencji i ograniczony jej cel. W Gruzji w 2008 r. Rosjanie ograniczyli się do przywrócenia status quo ante, doprowadzając po prostu do utrzymania niezależności separatystycznej Osetii Południowej względem Gruzji. W praktyce, zarówno w przypadku Gruzji, jak i Ukrainy, przeżywający rzekomo „neoimperialne" wzmożenie Putin nie zrobił wiele więcej, niż Borys Jelcyn w czasie największego rozkładu rosyjskiej państwowości zrobił w Mołdawii, popierając istniejące do dziś Naddniestrze. Putin poparł zbrojnie miejscowych separatystów, tworząc w postaci ich nieuznawanych parapaństw kotwice trzymające sąsiadujące państwa w strefie buforowej i uniemożliwiające im integrację ze strukturami zachodnimi. Można to rozpatrywać jako próbę ocalenia przez Moskwę ostatnich szańców swojej mocarstwowej pozycji, która odeszłaby do przeszłości w sytuacji, gdyby Ukraina wrzynająca się głęboko w miękkie podbrzusze Rosji została zintegrowana ze strukturami NATO.

PERYFERIE GLOBALNEJ GOSPODARKI

Związek Sowiecki budował poprzez swoje imperium zewnętrzne wielką strefę gospodarczą o ograniczonych związkach i przepływach z globalnym systemem kapitalistycznym. Niczego takiego nie można napisać o współczesnej Rosji. Ambicją Władimira Putina zawsze było przyciąganie zagranicznych inwestorów i wzrost obrotów w handlu zagranicznym. Elementem realizacji tych ambicji było wprowadzenie Rosji do Światowej Organizacji Handlu. Rosja współczesna stanowi peryferia globalnej gospodarki. Jej elita może próbować wymuszać poprzez presję polityczną popartą atutem siły koncesje ekonomiczne na dużo słabszych państwach w swoim bezpośrednim sąsiedztwie, jednak – jak pokazuje przykład Białorusi czy Kazachstanu – możliwości tej presji mają swoje poważne ograniczenia. W praktyce elita ta świadomie współpracuje z zachodnimi elitami kapitalistycznymi i tworzy w Rosji mechanizm rozwoju zależnego w zamian za to, że może zawłaszczać nieproporcjonalnie wielką część owoców aktywności ekonomicznej obywateli. Rządzący w Moskwie chcą dziś korzystać na globalnym systemie gospodarczym, a nie go zniszczyć. Peryferyzacja Rosji cechuje się jej niewielką innowacyjnością. Poziom wynalazczości w Rosji jest niższy niż w ZSRS wczesnego Breżniewa.

Rządzący Rosją to kleptokratyczna oligarchia, która chce po prostu odcinać kupony od zmonopolizowanego w jej rękach handlu węglowodorami

Rządzący Rosją to kleptokratyczna oligarchia, która chce po prostu odcinać kupony od zmonopolizowanego w jej rękach handlu węglowodorami z Europą i Chinami i pomnażać zgromadzony kapitał, lokując go na Zachodzie. Podobnie zresztą przeciętny Rosjan nie jest już gotowy do wyrzeczeń w imię cara czy komunizmu, chce raczej konsumować dobra materialne, których dziadkowie i ojcowie współczesnych Rosjan byli pozbawieni. Wizja Putina sprowadza się dziś raczej do próby ponownej integracji gospodarczej terytorium dawnego ZSRS. W tym sensie, jeśli już szukać inspiracji w wizjach ideologicznych, rosyjska elita raczej nie kieruje się maksymalistycznym programem eurazjatystów. Warto przypomnieć, że latem 2014 r. Dugin utracił katedrę na moskiewskim Uniwersytecie im. Łomonosowa, najpewniej za krytykę zbyt ograniczonego, jego zdaniem, charakteru interwencji na Ukrainie. Jeśli szukać teoretyka tworzącego podstawy dla współczesnej rosyjskiej polityki znajdziemy je u geopolityka Wadima Cymburskiego. Rozpatrywał on Rosję jako oddzielną, polityczną, ale i cywilizacyjną „wyspę", a jego nastawienie było dość izolacjonistyczne. Rosja ma przede wszystkim zabezpieczyć swoje terytorium i kulturę, nie dopuszczając do rozciągnięcia wpływów mocarstwa zachodniego w Wielkim Limitrofie, czyli w sąsiedztwie Rosji w Azji Środkowej i Europie Wschodniej. Cymburski pozostawał krytykiem agresywnego eurazjatyzmu, dowodząc, że Rosja nie ma sił, by podejmować walkę o zdominowanie Europy.

Nie lekceważąc nadal potężnej rosyjskiej armii i jej broni jądrowej, trzeba stwierdzić, że Rosja nie jest zdolna prowadzić i nie prowadzi polityki takiej, jaką prowadził ZSRS. Wbrew frazeologii rosyjskich dyplomatów Putin i jego współpracownicy zdają się dość dobrze rozumieć, że ich państwo jest po prostu silnym mocarstwem regionalnym, a nie supermocarstwem-imperium. Co ważne, także USA nie rozpatrują Rosji jako głównego rywala w walce o utrzymanie globalnej hegemonii. Europy nie dzieli dziś żaden liniowy front nowej amerykańsko-rosyjskiej zimnej wojny. Tak samo jak i Bliskiego Wschodu, co podkreśla decyzja o wycofaniu sił USA ze wschodniej Syrii, choć przecież w oczywisty sposób oznacza ona, że próżnię tę zajmie tam Moskwa, niezwykle sprawnie manewrująca między interesami Kurdów, władz Syrii, Iranu, Izraela i Turcji, nie jako militarny hegemon, ale właśnie jako dyplomatyczny broker mający do zaproponowania każdej stronie interesujący kompromis. Polscy politycy powinni więc wyciągnąć z tego wnioski i przestać kształtować politykę wschodnią na podstawie strachu połączonego z marzeniem o historycznym odwecie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu Kresy.pl.

eprasa.pl 5ea8026dbc

Wszystko albo nic? Dziękuję, nie skorzystam

Piotr Semka

Nie ma co czekać na wzmocnienie pozycji Polski w relacjach z Izraelem. Już teraz powinniśmy wykorzystywać wszelkie okazje, by próbować zmienić nasze relacje

Trudno mi nie podjąć polemiki z tekstem mojego redakcyjnego kolegi Rafała A. Ziemkiewicza na temat relacji polsko-żydowskich [„Do Rzeczy" nr 9/2019 z 25 lutego br.]. Już sam tytuł tekstu „Dlaczego Żydzi nas nienawidzą" wzbudza mój sprzeciw. Wyraziłem to na Twitterze, pisząc: „Rafał, jeśli oburzasz się na określenie (wszyscy) Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki – to nie dziw się potem krytyce twojej opinii, że (wszyscy) Żydzi nas nienawidzą".

Twitterowa odpowiedź Rafała brzmiała: „Może najpierw byś przeczytał mój tekst? Bardzo konkretnie piszę w »Do Rzeczy«, którzy Żydzi nas nienawidzą i że z niczym tego nie wyssali, tylko nasycili ich tą nienawiścią ich liderzy, media i autorytety – piszę też, dlaczego i po co to zrobili".

Podejrzenie o brak znajomości tekstu było nietrafne. Przeczytałem go, zanim wyraziłem moje wątpliwości. I nie zmieniam zdania, że tytuł zawsze nadaje kontekst każdemu tekstowi. Słowa zawsze żyją swoim życiem i każda generalizacja, szczególnie dotycząca Żydów, choćby miała być potem uściślona – zawsze wyzwala ostre emocje. Całkiem niedawno – przy kontrowersjach wokół użycia słowa „parchy" – sam tego doświadczyłeś. Tym bardziej dziwi brnięcie wciąż tą samą drogą.

Jednak zostawmy tytuł. Duża część twego tekstu budzi moją chęć polemiki.

Zacznę jednak od tego, co nie budzi sporu. Owszem, masz sporo racji – w Izraelu i wśród poważnej części amerykańskich Żydów są środowiska, które zatraciły wszelkie proporcje w rozkładaniu winy za Holokaust między Niemców i tych pojedynczych Polaków, którzy przyłożyli rękę do mordów na Żydach. Wygumkowuje się logikę działań i uwarunkowania machiny Zagłady stworzonej przez hitlerowców. Pomija się wpływ sowieckiej okupacji lat 1939–1941.

Kainowe piętno rozciąga się na cały naród, pisząc o realiach Generalnego Gubernatorstwa tak, jakby był to relatywny spokój niemieckiej okupacji w Danii czy Belgii. I racją jest, że ta czarna legenda o Polsce jako wspólniku Hitlera jest rodzajem ideologii. A jej żywotność wynika ze słabej pozycji Polski jako kraju, który nie umie lub nie chce się bronić.

Masz też rację, że proces ten został wzmocniony przez okres kiczu pojednania polsko-izraelskiego z lat 90. oraz pierwszej dekady nowego wieku. Władysław Bartoszewski przepraszający za wojenne krzywdy Żydów w Knesecie czy prezydent Aleksander Kwaśniewski patronujący uroczystościom w Jedwabnem zakładali, że jeszcze parę gestów, jeszcze parę wyrazów ubolewania i uprzedzenia znikną. Nie znikły, tylko się wzmocniły.

Jednak tu się zgoda z twoim tekstem kończy. Mój sprzeciw budzą wnioski, które z tego stanu rzeczy wyciągasz, i zalecenia, które proponujesz w końcowej części tekstu.

EMOCJE? NIE – REALIZM

Krytykujesz ostatnie posunięcia rządu Mateusza Morawieckiego, ubierając je w kostium działań wywołanych emocjami. Sugerujesz, że to polityka nacechowana brakiem głębszej analizy. Takie gesty jak odwołanie przez szefa polskiego rządu wyjazdu na szczyt V4 w Jerozolimie uznajesz za „niekoniecznie dobry znak". Według ciebie to dowód na „pozostawanie wciąż w emocjach, tyle że odwrotnych".

W ramach tak często przywoływanego przez ciebie postulatu polityki realnej piszesz: „Te emocje mogą popchnąć władzę [Polski – przyp. P.S.] do konfrontacji z Izraelem. Teoretycznie możemy sobie na to pozwolić, przy wymianie handlowej rzędu kilkuset milionów dolarów wzajemne stosunki to dla nas głównie sprawa prestiżu i funkcja stosunków z USA. Jednak nawet zakładając, że Waszyngton stanąłby całkowicie po naszej stronie – co obecnie nie jest wyobrażalne – także Amerykanie nie byliby w stanie zmusić Izraela do żadnych przeprosin. Izrael nie przeprasza, bez względu na to, jak bardzo przeholował [...]."

Tej diagnozie towarzyszy twoje ostrzeżenie wobec tych Polaków, których oburza arogancja niektórych polityków Izraela: „Tym, którzy w zrozumiałym skądinąd pożądaniu sprawiedliwości nawołują do stanowczości wobec Żydów, warto też

eprasa.pl 5ea8026dbc

przypomnieć, w jaki sposób złamali oni swego czasu Szwajcarię i zmusili ją do wypłacenia ogromnego haraczu.

Siła i obfitość środków znajdujących się w dyspozycji żydowskich organizacji bynajmniej od tego czasu nie zmalała – warto pamiętać, że wobec tego, czego wówczas użyto, dotychczasowe ataki na Polskę to tylko łagodna perswazja".

I wreszcie czas na twoje lodowato realistyczne wskazanie: „Dopóki Izraelowi bardziej opłaca się Polskę kopać, niż mieć z nią dobre stosunki, dopóty Polska będzie kopana. Należy więc nie kierować się emocjami, ani »pokażemy kłamcom«, ani naiwnymi marzeniami o pojednaniu, być asertywnym, ale spokojnym, i szukać takiej sytuacji, w której własne interesy – bo żadne inne się dla niego nie liczą – będą skłaniać Izrael, by o rzekomym współsprawstwie Polaków milczał. Na nic lepszego niż takie taktyczne milczenie liczyć nie możemy. Chyba że – bo w polityce nie ma »zawsze« i »nigdy« – sami będziemy mogli wojnę o pamięć wznowić, jeśli sytuacja zmieni się na tyle, że będziemy mieli pewność, iż na tym zyskamy".

Czyli podsumowując – twoja teza brzmi tak: wpływowe i dominujące kręgi Żydów w Izraelu i USA dorabiają nam, wbrew faktom, gębę współsprawców Holokaustu. To oczywiście oburzające i budzące sprzeciw, ale trzeba milczeć, bo jesteśmy wciąż za słabi. Jak będziemy mocni – ruszymy z kopyta do kontrakcji polityczno-historycznej, aż zadudni. Jednak teraz milcz, serce, i władaj, zimny polityczny rozumie.

Otóż ja odrzucam taką optykę – wszystko albo nic. Uważam, że należy świata izraelskiej i amerykańsko-żydowskiej polityki się uczyć, a nie traktować go jako jednego wielkiego giganta, z którym lepiej nie zadzierać. Zauważać różnice, szukać sojuszników choćby w drobnych sprawach, nauczyć się niekiedy robić dobrą minę do złej gry i szukać dobrych oraz korzystnych dla nas okazji. I nie czekając, aż dojdziemy w przyszłości do jakiegoś mitycznego wzmocnienia – już teraz wykonywać wiele drobnych, ale bynajmniej nie tromtadrackich działań.

UCIECZKA DO PRZODU

Dlaczego uważam twój wywód za nierealistyczny? Spróbuję przedstawić uzasadnienie w czterech punktach:

Po pierwsze – trafnie wskazujesz, że polityka uśmiechów Unii Wolności, a potem SLD była naiwna. Jednak sam mówisz, że nie ma co prowadzić „polityki stanowczości wobec Żydów", to Kwaśniewski czy Radek Sikorski mogą ci zarzucić niekonsekwencję. Mogą rzec: nasze rytuały pojednania były jedynym możliwym działaniem, aby nie wejść na kurs kolizyjny z Izraelem. Jak wyważyć poczucie godności narodowej z unikaniem zderzeń? To zależy nie tylko od nas, lecz także od drugiej strony. Tym bardziej więc trzeba grać niż zamykać się w jakimś kompleksie „jesteśmy zawsze słabsi". A tego nie da się robić bez dialogu. A dialog nie wyjdzie, jeśli uznamy, że „oni wszyscy jednacy".

Po drugie – nie rozumiem twojej krytyki polityki Morawieckiego w ostatnim konflikcie. Było to pierwsze zderzenie z Izraelem, w którym międzynarodowa krytyka była skierowana także do członka najwyższych władz w Jerozolimie. Szef dyplomacji Israel Katz został skrytykowany przez przedstawicieli USA i choćby nawet nie udało nam się zyskać przeprosin od premiera Netanjahu, to i tak jest to zmiana na plus.

Powinniśmy zauważać różnice, szukać sojuszników choćby w drobnych sprawach, nauczyć się niekiedy robić dobrą minę do złej gry i szukać korzystnych dla nas okazji

Po trzecie – zbyt lekko przechodzisz, Rafale, do porządku nad faktem, że akurat w ostatnim kryzysie na łamach izraelskich gazet opiniotwórczych pojawiła się krytyka polityki Netanjahu wobec Polski. To prawda, że część z nich pojawiła się na łamach gazet lewicy, które atakowały szefa Likudu w ramach tamtejszej młócki przedwyborczej.

Wypominały one premierowi Izraela, że prowadząc politykę flirtu z Viktorem Orbánem i Polską Kaczyńskiego, doszedł do ściany i poniósł klęskę. Na tej samej zasadzie politycy Platformy kpili z PiS, że dał się Amerykanom wciągnąć w szczyt warszawski, a i tak został obrażony. Jednak to pokazuje, że linie podziału po stronie izraelskiej istnieją i trzeba umieć je wykorzystywać.

Nie możemy odwracać wzroku od realiów, w których antypolonizm świetnie sprzedaje się w izraelskiej kampanii, ale też nie lekceważmy różnic na linii prawica – lewica. Podobnie i tego, że USA potrafią niekiedy stanąć po stronie Polski w sporach. Rzadko, ale jednak.

TEMAT TYGODNIA

Po czwarte – takie teksty jak „Polski honor i izraelska hipokryzja" w dzienniku „Haaretz" autorstwa Davida Blatmana pokazują, że powoli jednak coś się zmienia. Polski upór w obronie swojej godności narodowej powoli jest zauważany.

Krytycy zwracania uwagi na takie publikacje lubią szydzić, że ich treść przykuwa jedynie uwagę elit i na masowe nastroje nie ma wpływu. Otóż ma wpływ. Tyle że powolny. Jednak nie zapominajmy, że Polska odrabia w relacjach z Żydami w Izraelu i w USA zaległości z 70 lat. Obecny rząd prowadzi ten dialog metodą prób i błędów. I nie ma w tej kwestii mądrych. Dzisiaj każdy z miną mędrca krytykuje ustawę o IPN sprzed roku, ale wtedy, gdy ją przegłosowywano, nikt z PO nie protestował.

Tak, Morawiecki dostaje kuksańce. Jednak ma coraz więcej pewności siebie. Daje duże wywiady do izraelskiej

eprasa.pl 5ea8026dbc

prasy. Ugrywa, co się da, w relacjach z Ameryką.

Łatwo z emfazą ogłaszać, „że mamy zimną wojnę z Izraelem". Z mściwą satysfakcją wskazywać, że znów nas wyrolowano. Ja wolę cichą, acz systematyczną pracę ambasadora RP Marka Magierowskiego, który dba, by umieszczać na łamach prasy izraelskiej teksty o polskim punkcie widzenia. Artykuły trafiające do wyobraźni izraelskiego czytelnika. Ambasadora, który spotyka się z szefami dzienników izraelskich, aby prostować mit o 200 tys. Żydów rzekomo zamordowanych przez Polaków w czasie wojny. Wolę ciężką pracę dr. Tomasza Domańskiego kwestionującą wątpliwe metody badawcze autorów opracowania „Dalej jest noc". Doceniam ciężką pracę dyplomaty Jakuba Kumocha i wielu twitterowiczów, którzy walczą z antypolskimi kłamstwami w sieci. To jest odpowiednia droga do walki ze stereotypami. Gdyby po prawej stronie było więcej osób z dobrą znajomością izraelskich i amerykańskich mediów, dysponujących bezbłędną angielszczyzną i jednocześnie nieobawiających się inteligentniej, ale twardej polemiki – bylibyśmy na tej drodze już znacznie dalej. Jednak ci ludzie, chcąc przekonać do czegoś Żydów w Izraelu i za oceanem, nie mogą zacząć tego dialogu od wypominania Żydom Judenratów, żydowskiej policji i zbrodniarzy z UB o żydowskich korzeniach.

Rafale, napisałeś w swoim tekście: „Dopóki Izraelowi bardziej opłaca się Polskę kopać niż mieć z nami dobre stosunki, dopóty Polska będzie kopana". OK. Wyraziłeś swój punkt widzenia. Ale czy my nie mamy płaszczyzny do gry? I zresztą co dalej? Mamy odwołać ambasadora? Zerwać stosunki IPN z Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie?

Dlaczego Żydzi nas nienawidzą

POSUBOTNIK

FOT. TRAX

Aby prowadzić grę w obronie swoich racji, trzeba zacząć od dostrzegania różnic, niuansów, prób zrozumienia sposobu myślenia drugiej strony. To ciężka i mało wdzięczna praca, niezbyt lubiana na polskiej prawicy. Za którą można zdobyć łatkę obrońcy Żydów lub frajera. „Bo oni nigdy się nie zmienią. To po co się starać?".

A postulowane przez ciebie milczenie póki nie jesteśmy równowagowym partnerem? Tego też nie osiągniesz, bo ludzie będą pisać w sieci o winie Judenratów, o żydowskiej policji i żydowskich łapaczach na usługach gestapo. Wolę, by pisali o nich ludzie mający wiedzę, ale i umiar niż efekciarze przekonani, że im mocniej przywalą starozakonnym, tym lepiej.

Mamy kłopoty z dialogiem z Izraelem? Tak, to prawda. Bolą one nas w dwójnasób, bo dotyczą wojny, w której z naszej perspektywy byliśmy też ofiarami najstraszniejszej rzezi na Polakach. Jednak czy inni nie mają problemów z obecnym rządem w Jerozolimie? Czy liberalni Żydzi z USA nie załamują rąk nad wyborczym sojuszem Netanjahu z szowinistami spod znaku Me'ira Kahane? Czy brytyjska Partia Pracy nie zmaga się z oskarżeniami izraelskimi o tolerowanie krytyki Izraela w kwestii jego polityki wobec Palestyńczyków?

Nie my jedni mamy problemy. Izrael żąda dla siebie – z powodzeniem – osobnych norm do oceniania swej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Popatrzmy choć na chwilę na nasze problemy w szerszej skali. I patrzmy, jak inni je rozwiązują.

Możemy kląć po cichu na małą skalę polonizmu i skalę żydowskich wpływów w świecie. I liczyć czas do chwili, gdy będziemy tak silni, że Żydom wszystko wygarniemy.

Ja za taki plan dziękuję. Wolę próbować coś zmienić. I wspierać tych, którzy próbują coś robić już teraz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Igrzyska olimpijskie w Seulu w 1988 r. Od lewej: Andrzej Malina, Józef Tracz i Andrzej Wroński FOT. ARCHIWUM AUTORA

Zapasy ze służbami

Piotr Woyciechowski

Gwiazdy zapasów klasycznych – Roman Wrocławski i Andrzej Malina – współpracowały z tajnymi służbami PRL

W rzeczywistości komunistycznej aparat bezpieczeństwa starał się przeniknąć i kontrolować wszystkie dziedziny życia społecznego. Sport nie był wolny od totalitarnych zapędów bezpieki. Wiemy, że szczególną uwagę służby poświęcały piłce nożnej ze względu na popularność w społeczeństwie, międzynarodowy prestiż i duże pieniądze. Na rynku wydawniczym ukazały się nawet książki historyków IPN poświęcone temu zagadnieniu: „Nieczysta gra. Tajne służby a piłka nożna" autorstwa Sebastiana Ligarskiego i Grzegorza Majchrzaka oraz „Tajna historia futbolu. Służby, afery i skandale" pióra tego ostatniego.

Były też dyscypliny, przede wszystkim sporty walki, w których w latach 70. i 80. ubiegłego wieku Polska była potęgą. I tam działała bezpieka. Można to zobaczyć na przykładzie współpracy dwóch wielkich zawodników zapasów w stylu klasycznym: Romana Wrocławskiego i Andrzeja Maliny. Pierwszy współpracował z SB, drugi z WSW.

TW „ARENA"

Roman Wrocławski (ur. 1955), zapaśnik i trener zapasów, mistrz świata z Katowic (1982) i brązowy medalista mistrzostw świata z Oslo (1981). Uczestnik igrzysk olimpijskich w Seulu (1988). Przez lata związany z klubem Piotrcovia Piotrków Trybunalski. Walczył w kategoriach wagowych od 90 do 100 kg w stylu klasycznym. Reprezentował także barwy Wisłoki Dębica. Dziesięciokrotnie zdobył tytuł mistrza Polski seniorów.

To jedna z najbarwniejszych postaci polskich zapasów. „On walczył, a potem

eprasa.pl 5ea8026dbc

się bawił. Jeśli powstałby ranking birbantów, lekkoduchów polskiego sportu, to Wrocławski byłby w czołówce tego plebiscytu" – pisał o nim Michał Majewski, były dziennikarz tygodnika „Wprost".

W swojej książce „Czy to prawda?" (wydanej w 1997 r.) Wrocławski przyznał się do sprzedawania i kupowania walk, a nawet zorganizowania czegoś na kształt giełdy handlującej walkami. W przypływie szczerości wyznał, że właśnie w ten sposób udało mu się zakwalifikować do reprezentacji na IO w Seulu. Książka w środowisku zapaśniczym odbiła się głośnym echem, głównie ze względu na przedstawione w niej obyczajowe ekscesy krajowej elity zapaśniczej.

Według zachowanych w IPN dokumentów pierwszy kontakt Romana Wrocławskiego z SB nastąpił w 1981 r. podczas Letniej Uniwersjady w Bukareszcie. Miał zostać jednorazowo wykorzystany do zabezpieczenia operacyjnego imprezy. Następny, już poważniejszy kontakt, bo ukierunkowany na pozyskanie Wrocławskiego do współpracy w charakterze TW, nastąpił podczas mistrzostw świata w zapasach w Katowicach w 1982 r. SB zainteresowała się zapaśnikiem ze względu na jego częste wyjazdy zagraniczne, kontakty z cudzoziemcami oraz przemyt i nielegalny handel, którymi parali się członkowie kadry zapaśniczej (co w realiach socjalistycznej biedy nie było zjawiskiem nagannym). Bezpieka chciała mieć w środowisku sportowców swego informatora.

Rozpracowaniem ówczesnego mistrza świata pod kątem werbunku zajął się ppor. Andrzej Karpiński z Wydziału IX Departamentu III SB. Wydział ten zajmował się m.in. operacyjnym zabezpieczeniem Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu.

TRUDNY CHARAKTER I MATERIALISTA

Wrocławski został zarejestrowany w ewidencji operacyjnej SB jako kandydat na TW o ps. Romek i poddany rozpracowaniu. W zachowanych dokumentach ppor. Karpiński charakteryzował Wrocławskiego jako osobę o średnim poziomie intelektualnym, trudnym charakterze, pewną siebie, bardzo impulsywną, ze skłonnościami do nadużywania alkoholu i materialistę. Tę ostatnią cechę SB chciała wykorzystać. W notatce służbowej z dnia 20 września 1982 r. sporządzonej po rozmowie z Wrocławskim podczas

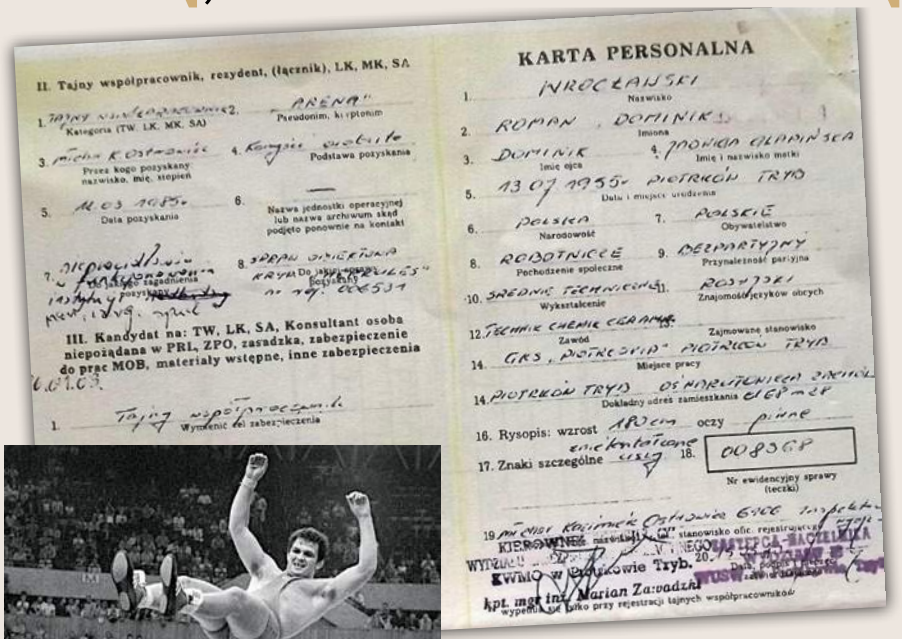
II. Tajny współpracownik, rezydent, (łącznik), LK, MK, SA

Kategoria (TW, LK, MK, SA)

Pseudonim, kryptonim

Przez kogo pozyskany nazwisko, imię, stopień

Podstawa pozyskania

Data pozyskania

Nazwa jednostki operacyjnej lub nazwa archiwum skąd podjęto ponownie na kontakt

III. Kandydat na: TW, LK, SA, Konsultant osoba niepożądana w PRL, ZPO, zasadzka, zabezpieczenie do prac MOB, materiały wstępne, inne zabezpieczenia

Wymienić rodzaj zabezpieczenia

KARTA PERSONALNA

Nazwisko

Imiona

Imię ojca

Imię i nazwisko matki

Data i miejsce urodzenia

Narodowość

Obywatelstwo

Pochodzenie społeczne

Przynależność partyjna

Wykształcenie

Znajomość języków obcych

Zawód

Zajmowane stanowisko

Miejsce pracy

Dokładny adres zamieszkania

Rysopis: wzrost

oczy

Znaki szczególne

Nr ewidencyjny sprawy (teczki)

Roman Wrocławski po zdobyciu mistrzostwa świata na turnieju w Katowicach w 1982 r.

FOT. JAN ROZMARYNOWSKI/FORUM

MŚ w Katowicach odnotowano: „z uwagi na konflikty Wrocławskiego z zawodnikami na tle »handlowym« może on być w przyszłości dla nas przydatnym".

SB zaczęła działania wobec Wrocławskiego tuż po jego spektakularnym zwycięstwie podczas mistrzostw świata w Katowicach. Wygrane walki przyniosły mu znaczną popularność. Gwiazdorzył i nie w głowie mu było zadawanie się z SB. Do tego sprawiał kłopoty ze względu na ciągłe wpadki związane z handlem i ze szmuglowaniem do Polski chodliwych towarów. Czara goryczy przelała się w czerwcu 1984 r. podczas międzynarodowych zawodów w Wołgogradzie (ZSRS), gdzie ośmioosobowa ekipa polskich zapaśników została zatrzymana przez miejscową milicję w związku z handlem zachodnią odzieżą. Za prowodyra uznano Wrocławskiego. Po tym incydencie zastrzeżono mu wyjazdy zagraniczne na trzy lata oraz zlecono przeprowadzanie okresowej kontroli operacyjnej. Ostatecznie ppor. Karpiński w październiku 1984 r. wniósł o rezygnację z pozyskania Romana Wrocławskiego do współpracy. Wtedy Wrocławskim zainteresowała się bezpieka z Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie wówczas mieszkał.

Roman Wrocławski został zarejestrowany jako tajny współpracownik SB o ps. Arena 12 marca 1985 r. przez mł. chor. Kazimierza Ostrowicza z Wydziału III SB w Piotrkowie Trybunalskim. Jako podstawę pozyskania podano korzyści osobiste. Według zachowanych zapisów ewidencji operacyjnej SB Wrocławskiego zwerbowano do sprawy obiektowej o kryptonimie Herkules dotyczącej wszystkich klubów sportowych z woj. piotrkowskiego. Nie znamy okoliczności werbunku ani przebiegu współpracy TW „Arena" z SB. Teczka personalna i pracy jako czynne zostały zniszczone w lutym 1990 r. Podobnie jak akta sprawy obiektowej „Herkules". To właśnie w Piotrkowie Trybunalskim dokonano pod nosem premiera Tadeusza Mazowieckiego największych spustoszeń w archiwach SB. Zniszczeniu uległo prawie 70 proc. zasobów operacyjnych SB.

Najprawdopodobniej Wrocławski zgodził się na współpracę z SB za cenę umożliwienia mu dalszych wyjazdów na międzynarodowe turnieje zapaśnicze. Trzeba pamiętać, że diety i zyski z handlu stanowiły dla niego istotne źródło dochodów. Z akt paszportowych wynika, że zaraz po zarejestrowaniu Wrocławskiego jako TW „Arena" SB wyraziła zgodę na wyjazdy do: Jugosławii, Czechosłowacji i Szwecji. A w lipcu 1985 r. ostatecznie anulowano mu zastrzeżenie na wyjazdy zagraniczne. Funkcjonariuszem prowadzącym TW „Arena" był mł. chor. Krzysztof Ostrowicz – jednocześnie członek zarządu KS Gwardia przy WUSW

eprasa.pl 5ea8026dbc

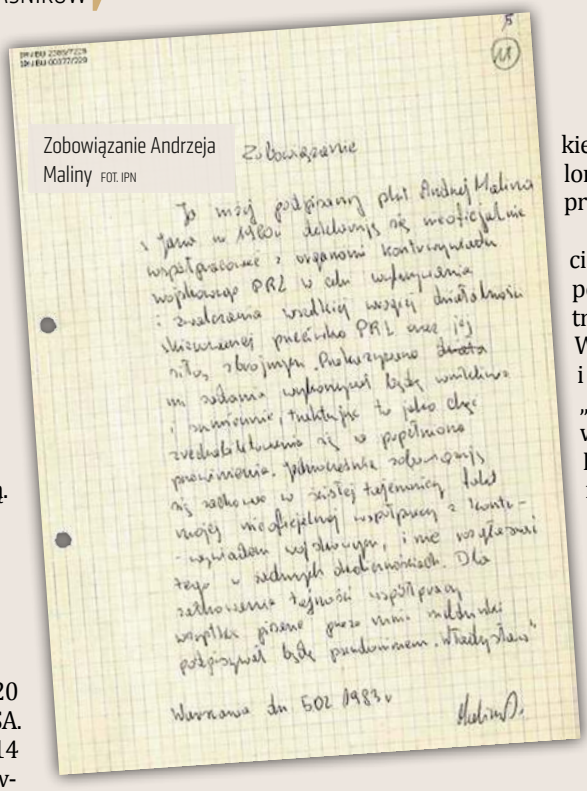

Zobowiązanie Andrzeja Maliny FOT. IPN

w Piotrkowie Trybunalskim oraz prezes Okręgowego Związku Zapaśniczego Wojewódzkiej Federacji Sportu w Piotrkowie Trybunalskim. TW „Arena" został zdjęty z ewidencji operacyjnej SB w dniu 23 lutego 1990 r. – czyli po pięciu latach od daty formalnego pozyskania.

Po zakończeniu kariery sportowej w początku lat 90. Roman Wrocławski założył własny biznes. Powołał do życia spółki Roman i Romano American Car. Pomysł okazał się klapą. Wrocławski się zadłużył. Prokuratura zaś wszczęła śledztwo w kierunku działania na szkodę firmy i oszustwa. W 1994 r. Wrocławski wraz żoną i dwojgiem dzieci zniknął z Polski, by następnie pojawić się w USA. Wystawiono za nim list gończy. Dopiero po 20 latach został poddany ekstradycji z USA. Wrócił do Polski, by ostatecznie w 2014 r. uniknąć kary ze względu na przedawnienie przestępstw, o które był oskarżany. Na stałe mieszka w Phoenix, gdzie trenuje zapaśników amerykańskich. Był trenerem mistrza olimpijskiego z Sydney Rulona Gardnera, który niespodziewanie pokonał dominującego w tej wadze od 13 lat Rosjanina Aleksandra Karelina. Do niedawna zarabiał na życie jako szofer hotelowych limuzyn.

MALINA I WSW

Andrzej Malina (ur. 1960) to jeden z najpopularniejszych i utytułowanych polskich zapaśników w stylu klasycznym w latach 80. ubiegłego wieku. Mistrz świata w wadze półciężkiej (90 kg) z Budapesztu (1986). Czterokrotny mistrz Polski i dwukrotny medalista mistrzostw Europy: zdobył srebro w Warnie (1982) i brąz w Budapeszcie (1983). Jako pierwszy z zapaśników wygrał plebiscyt czytelników „Przeglądu Sportowego" na najlepszego sportowca Polski (1986). Bez powodzenia startował w igrzyskach olimpijskich w Seulu, zajmując ostatecznie ósme miejsce (1988). Przez 10 lat jako żołnierz startował w barwach CWKS Legia (1979–1989). Jego trenerem był nieżyjący już Bolesław Dubicki.

Malina został pozyskany do współpracy z WSW 5 lutego 1983 r. jako tajny współpracownik o ps. Władysław przez kpt. Lecha Hrycykiewicza, oficera Oddziału I Zarządu I Stołecznego WSW. Oddział ten zabezpieczał pod względem kontrwywiadowczym CWKS Legia. Malina był wtedy starszym sierżantem w wojsku. Jak odnotowano w zachowanej teczce personalnej TW „Władysław" celem pozyskania było „kontrwywiadowcze rozpoznanie kadry zawodowej żołnierzy służby zasadniczej i pracowników cywilnych CWKS »Legia« – głównie sekcji zapasów". Malina był charakteryzowany jako osoba posiadająca predyspozycje do łatwego nawiązywania znajomości, o ujmującym sposobie bycia, popularną i lubianą, ze względu na przynależność do światowej czołówki zapasów mającą naturalne możliwości wyjazdów zagranicznych.

Podstawą pozyskania była dobrowolność. Nie obeszło się jednak bez nacisków. W raporcie z pozyskania kpt. Hrycykiewicz odnotował: „kandydat po wyjaśnieniu okoliczności zatrzymania go przez organa MO w rejonie sklepu »PEWEX« znajdującego się w Katowicach niedaleko Hotelu, w którym mieszkał podczas Mistrzostw Świata [w 1982 r. – przyp. red.] i po zorientowaniu się przeze mnie o jego pozytywnym stosunku do organów KW, otrzymał propozycję współpracy z nami. Propozycję przyjął, obierając ps. Władysław". Chodziło o zwykłą burdę, jaką polscy zapaśnicy wywołali, stojąc w kolejce pod sklepem. W sporządzonym własnoręcznie i podpisanym przez Andrzeja Malinę zobowiązaniu zainteresowany oświadczył, że podjęcie współpracy traktuje jako swego rodzaju „rehabilitację za popełnione przewinienia". Podczas rozmowy werbunkowej TW „Władysław" przekazał ogólne informacje charakteryzujące środowisko zapaśników z Legii i kadry narodowej. Przeszedł krótkie szkolenie z zasad konspiracji. Ustalono także system łączności z oficerem prowadzącym.

Pikanterii dodaje to, że na kontakcie kpt. Hrycykiewicza równolegle pozostawał Bolesław Dubicki – znany trener zapaśników Legii, który przez WSW był traktowany jako wieloletnie i wartościowe źródło informacji OZ „D" (osoba zaufana). W dostępnych w IPN materiałach dotyczących CWKS Legia zachowały się meldunki operacyjne sporządzone przez oficerów obiektowych WSW na podstawie informacji uzyskanych od Dubickiego.

Nie wiemy, jak przebiegała współpraca TW „Władysława" z WSW. Teczka pracy została zniszczona. Wiemy tylko, że „Władysław" miał dwóch oficerów prowadzących i że spotkania odbywały się w mieszkaniu służbowym „Kadry". Jego informacje miały charakter ogólny. Podkreślano jego lojalność wobec swojego środowiska i niechęć do dzielenia się o nim informacjami. Sama współpraca miała charakter krótkotrwały, zakończyła się już po półtora roku. W raporcie o zezwolenie na rozwiązanie współpracy kpt. Stanisław Pałucha uskarżał się, że „TW »Władysław« wykazuje od dłuższego czasu niechęć do współpracy i systematycznie uchyla się od spotkań". W końcowej konkluzji kpt. Pałucha podkreślił, że Andrzej Malina „nie nadaje się do operacyjnego wykorzystania ze względu na osobowość i stosunek do pracy operacyjnej". Rozwiązanie współpracy nastąpiło podczas spotkania w MS „Kadry" 19 października 1984 r. Malina podpisał w obecności kpt. Pałucha oświadczenie o zachowaniu w tajemnicy faktu tajnej współpracy z WSW. Niedługo potem materiały TW „Władysława" złożono do archiwum i zdjęto z ewidencji operacyjnej WSW.

Malina po zakończeniu kariery sportowej zajął się działalnością trenerską oraz został nauczycielem. Próbował także swoich sił w polityce. Wstąpił w szeregi Platformy Obywatelskiej i bez powodzenia startował w wyborach samorządowych (2010) oraz do Sejmu RP (2011). Podczas startu w wyborach samorządowych do Rady Dzielnicy Bielany m.st. Warszawy w 2010 r. Malina złożył negatywne oświadczenie lustracyjne. Prokurator IPN uznał je za prawdziwe i odmówił wszczęcia procedury lustracyjnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

NAJWAŻNIEJSZA KSIĄŻKA NA KULTURALNEJ MAPIE EUROPY

PREMIERA

Jedno z najważniejszych dzieł współczesnej humanistyki, nie tylko polskiej. Wybitny uczony i pisarz, wielki erudyta, prof. Wojciech Roszkowski, dokonuje w niej bilansu naszej cywilizacji. Bilans to dramatyczny. Nasze wielowiekowe dziedzictwo zostało przez elity europejskie oraz amerykańskie w całości odrzucone, co uznaje się za wyraz… postępu.

Konsekwencją takiej postawy jest zrównanie zbrodni i osiągnięć, wierności i zdrady, bohaterstwa i tchórzostwa, mądrości i głupoty, kłamstwa i prawdy. Obrazowo rzecz ujmując, zwolennicy teorii o istnieniu wielu prawd chcą się przejrzeć w roztrzaskanym lustrze.

Autor „Roztrzaskanego lustra" analizuje setki przejawów dekadencji; czyni to w sposób barwny i wielostronny. Język książki jest jej niepodważalną zaletą: lapidarny, skrzący dowcipem, mimo poruszania skomplikowanych spraw – prosty, precyzyjny i zrozumiały.

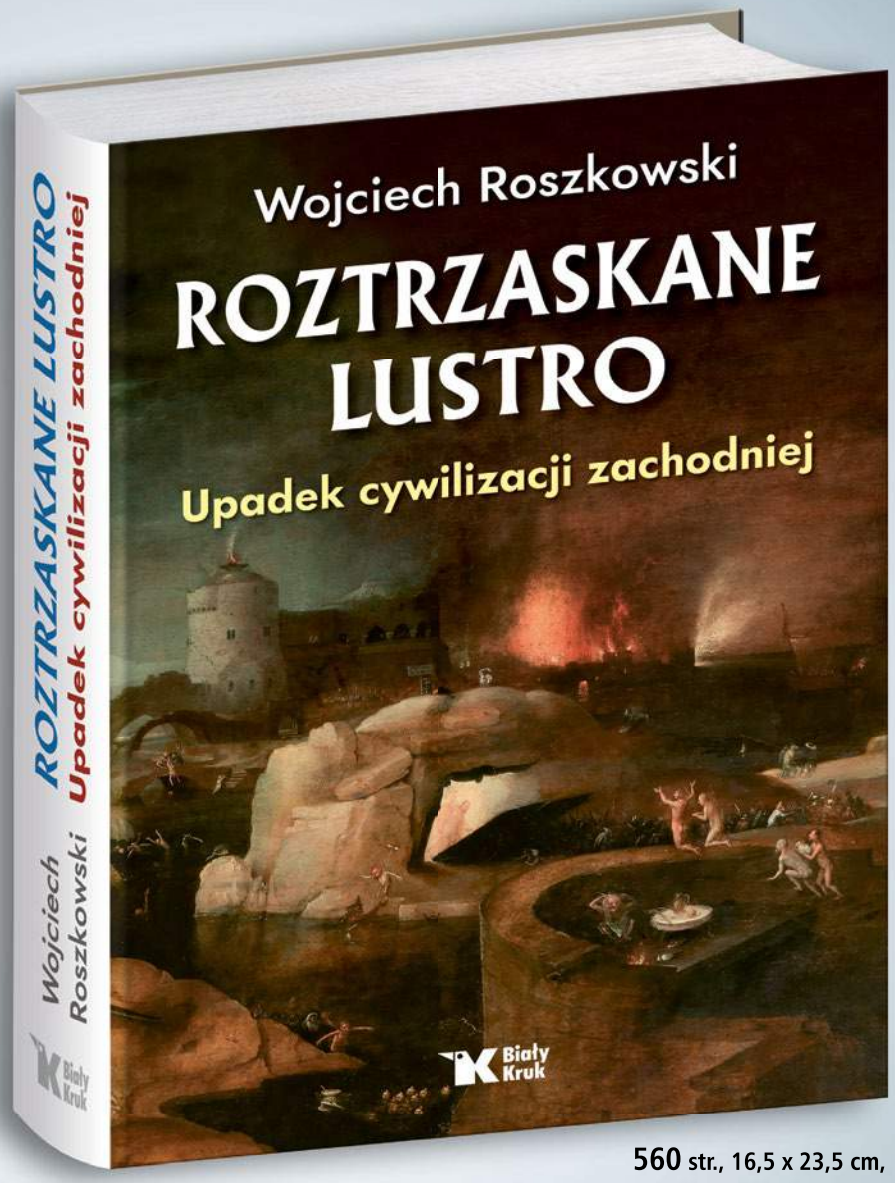

560 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier 120 g, twarda oprawa, 140 ilustracji.
Cena detal. 83 zł/egz. (z VAT)

„Roztrzaskane lustro" wciąga Czytelnika i zaprasza do myślenia.

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY" **KSIĄŻKA 35% TANIEJ!** WEJDŹ NA STRONĘ **WWW.BIALYKRUK.PL** I WYKORZYSTAJ KOD RABATOWY **DORZECZY35**

Biały Kruk

Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków, tel.: 12/260 32 90, 12/254 56 26, 12/254 56 19; e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 120 zł koszty przesyłki (14 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl 5ea8026dbc

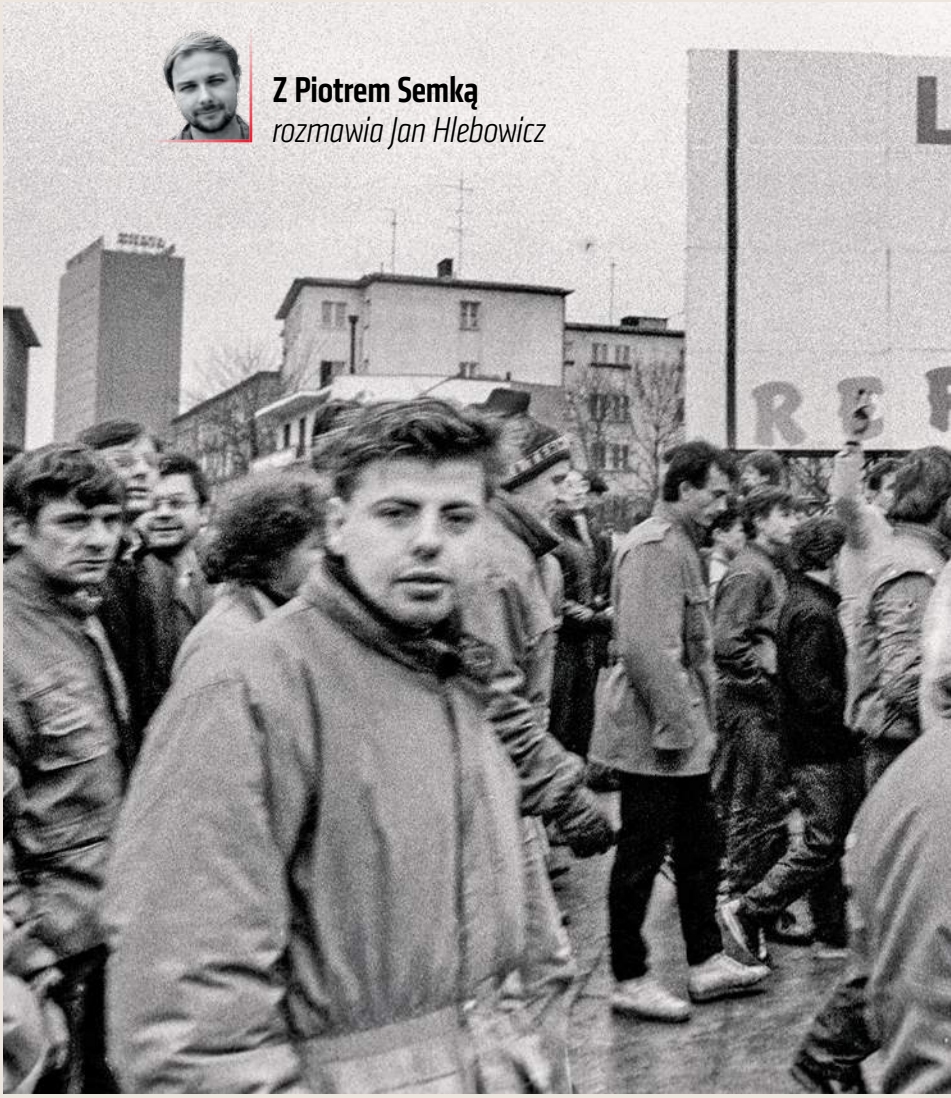

Z Piotrem Semką
rozmawia Jan Hlebowicz

Co się stało z

Fragmenty książki „Piątka u Semki" dotyczące historii opozycji w latach 80.

JAN HLEBOWICZ: Od początku 1987 roku, krążąc na linii Lublin – Trójmiasto, równolegle „knułeś" w Gdańsku...

PIOTR SEMKA: Gdańska bezpieka uznała, że skoro wyjechałem do Lublina, to mają mnie na dłuższy czas z głowy. Natomiast lubelska SB początkowo mnie nie zauważała. Rzeczywiście stale kursowałem między Lublinem a Gdańskiem, utrzymując kontakty z podziemiem. Początkowo pomagałem kolejnej ekipie BIT-u (Biuletyn Informacyjny Topolówka – przyp. J.H.) na czele z Maciejem Grabskim w redagowaniu niezależnego pisma III LO [...]. W 1985 roku nawiązałem kontakt z „Solidarnością. Pismem Regionu Gdańskiego", popularnie nazywanym „Regionówką" albo bardziej pieszczotliwie „Gdańskimi Lewkami" ze względu na herb Gdańska umieszczony na pierwszej stronie. Pierwszy mój tekst nosił tytuł „Upadek" i poświęcony był Mieczysławowi Rakowskiemu. Pismem zarządzali wówczas Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki, mężowie zaufania i bliscy współpracownicy Bogdana Borusewicza. Ten ostatni sprawował pieczę nad całością. Napisać artykuł do legendarnej „Regionówki", której szefem jest równie legendarny w podziemiu „Borsuk", było marzeniem każdego młodego opozycjonisty.

To, co zaczęło się od pojedynczego tekstu, wkrótce przerodziło się w stałą współpracę, a właściwie w kierowanie pismem.

Bogdan Borusewicz, lider podziemnej „S" na Pomorzu, na początku 1986 roku został zatrzymany przez SB w tajnej drukarni opozycjonistów. Na jego trop natrafiono w wyniku donosu tajnego współpracownika, który wynajmował lokal na drukarnię. Wówczas, z powodu ryzyka dalszej dekonspiracji, związani z Borusewiczem Łopiński i Liberadzki postanowili przekazać „Pismo Regionu Gdańskiego" nowemu pokoleniu. Pokoleniu, które nie było tak dobrze znane bezpiece. Maciej Łopiński, którego żona pracowała wówczas jako bibliotekarka w Topolówce (III LO w Gdańsku – przyp. J.H.), a on sam kojarzył niezależną działalność BIT, zorganizował spotkanie z nami. Oprócz mnie wzięli w nim udział Jacek Kurski i Mariusz Wilczyński, wspominany wcześniej lider Federacji Młodzieży Walczącej i twórca niezależnego pisma „Monit". Łopiński podał nam dłonie i oznajmił: „Panowie, od dzisiaj wy kierujecie »Regionówką«". Przez chwilę byliśmy w szoku. Jak to? My mamy być redaktorami słynnych „Lewków"? Szybko jednak oprzytomnieliśmy, przybraliśmy poważne miny sugerujące, że to istotnie najlepszy z możliwych wyborów, i powiedzieliśmy: „Tak".

Z Jackiem Kurskim znaliście się jak łyse konie. Wspólnie prowadziliście podziemne wydawnictwo licealne. Jak układały się wasze relacje i współpraca z Mariuszem Wilczyńskim?

To wyjątkowa postać, niestety dziś zbyt rzadko doceniana. Z Mariuszem znaliśmy się od liceum. Chociaż poszliśmy do różnych ogólniaków – ja i Jacek do III LO, a Mariusz do IX LO – to stale utrzymywaliśmy kontakt. Nie tylko towarzyski, ale także ten, nazwijmy go, konspiracyjny. Mariusz pomagał nam drukować BIT, robiliśmy też wspólne akcje ulotkowe, braliśmy udział w ulicznych demonstracjach, chodziliśmy na mecze Lechii, gdzie wywieszaliśmy antykomunistyczne transparenty. Później Mariusz, obok Dariusza Krawczyka,

eprasa.pl 5ea8026dbc

Piotr Semka na demonstracji Solidarności przeciw referendum rozpisanemu przez ekipę Jaruzelskiego w 1987 r. FOT. JACEK PIOTROWSKI

„Borsukiem"

współtworzył FMW w Gdańsku i stał się jedną z najważniejszych postaci w pokoleniu młodych opozycjonistów. Studiował jednocześnie architekturę na Politechnice Gdańskiej. Był świetnym organizatorem, błyskotliwym rozmówcą, wprost kipiał od pomysłów. Gdyby nie poważny wypadek samochodowy w 1989 roku, Mariusz zrobiłby karierę samorządową lub w administracji publicznej. Mógłby zostać prezydentem miasta albo ministrem. Być może, gdyby podążył drogą dziennikarską, byłby dziś redaktorem naczelnym jednego z największych tygodników opinii, radia czy telewizji. Takim Tomaszem Lisem po stronie prawicy. To był ten horyzont talentu, ambicji i możliwości. Niestety, obrażenia powypadkowe były na tyle silne i długotrwałe, że kolejne długie lata zajęła mu rekonwalescencja.

Wilczyński został mianowany przez Borusewicza naczelnym „Regionówki". Nastąpiła era młodych...

Nie bardzo orientowaliśmy się, jak wygląda architektura podziemia. Wiedzieliśmy tylko, że zaczynamy współpracę z wielkim „Borsukiem", mityczną wówczas postacią opozycji, punktem odniesienia dla wszystkich młodych konspiratorów. I tak rzeczywiście się stało. Po wyjściu z więzienia nad wszystkim nadal czuwał Borusewicz. Naszymi nieformalnymi nadzorcami ze strony „Borsuka" zostali Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki. To oni opiniowali kolejne numery i dawali nam wskazówki. Ze względów bezpieczeństwa bezpośrednio z „Borsukiem" miał prawo kontaktować się wyłącznie Mariusz. Jednak o tym, jak ma wyglądać pismo, jakie artykuły się w nim znajdą, jaki będą miały styl, decydowaliśmy sami. Byliśmy raczej zgodni w poglądach. Ja z całej tej trójki byłem chyba najbardziej konserwatywny. Myślę, że wynikało to z faktu studiów na KUL-u i coraz większego zaciekawienia myślą społecznej nauki Kościoła.

Jak podzieliliście się obowiązkami?

Mariusz, cechujący się zmysłem technicznym i artystycznym, przygotowywał makiety, wypisywał je, kleił. Odpowiadał za produkcję oraz kolportaż. Był też doskonałym redaktorem. Ja i Jacek pisaliśmy teksty, które on następnie sprawdzał.

Jako młodzi opozycyjni dziennikarze mieliście swoich mentorów? Na kim się wzorowaliście?

Wtedy niekwestionowanym idolem dla mnie był Bogdan Borusewicz. Pistolet, komandos, człowiek nieugięty w swojej walce z komunizmem. Oczywiście po latach ujawniło się także drugie oblicze „Borsuka" – człowieka coraz bardziej poprawnego politycznie. Moje związki z Borusewiczem to nie tylko „Regionówka". To także strajki majowy i sierpniowy w 1988 r. Później zetknęliśmy się dopiero w Sejmie – on w roli polityka, ja – dziennikarza. Mój stosunek do dawnego idola zaczął się zmieniać w 1992 roku. Wówczas „Borsuk", wstrzymując się od głosu w czasie słynnego głosowania nad odwołaniem rządu w nocy z 4 na 5 czerwca, wyraźnie zdystansował się wobec rządu premiera Olszewskiego. Jako przewodniczący Klubu Parlamentarnego NSZZ „Solidarność" wydał nawet zakaz wpuszczenia mnie do pomieszczeń klubu w Sejmie. Potem wstąpił do Unii Wolności, przypieczętowując tym samym swój akces do współtwórców III RP. W 2008 roku, po tym jak opisałem strajk majowy i sierpniowy, zadzwonił do mnie, mówiąc, że generacja młodej Solidarności została wówczas zdradzona. Podziękował mi

eprasa.pl 5ea8026dbc

za tekst i poprosił, bym nigdy nie przestał przypominać o tamtych wydarzeniach. Dzisiaj postawa Borusewicza jako jednego z bonzów PO jest dla mnie zupełnie niezrozumiała i obca. Gdzie podział się ten odważny, bezkompromisowy, nieugięty „Borsuk", którego zapamiętałem z lat 80.?

Po Borusewiczu w hierarchii „Regionówki" stali Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki...

Dla nas, młodych chłopaków, obaj byli mistrzami dziennikarstwa. Od nich uczyliśmy się rzetelności i systematyczności. Za wzór stawialiśmy sobie także dziennikarzy, których redakcje zostały „rozpędzone" po 13 grudnia. Ci ludzie zdobyli sławę w latach 70., lawirując w PRL-owskim systemie, od którego odcięli się zdecydowanie po wprowadzeniu stanu wojennego. Byli wśród nich Wojciech Giełżyński, Maciej Iłowiecki, Ernest Skalski, Dariusz Fikus, Wanda Falkowska. Na gruncie gdańskim była to redakcja „Czasu". Trzeba jednak podkreślić, że nie naśladowaliśmy niczyjego stylu, a raczej staraliśmy się odnaleźć własny sposób ekspresji i stosować język adekwatny dla naszego pokolenia. Pewien dziennikarski styl wyrobiliśmy sobie z Jackiem, redagując BIT.

Nie przeszkadzało wam, młodym, niepokornym, gniewnym, że Łopiński i inni dziennikarze z jego pokolenia jeszcze kilka lat wcześniej należeli do PZPR?

Cezurą był 13 grudnia 1981 r. Jeżeli ktoś przed tą datą był w partii, to dla wszystkich było jasne, że nie jest to powód do dumy. Jednocześnie przynależność partyjna nie dyskredytowała. Liczyło się to, jak dany człowiek zachował się po wprowadzeniu stanu wojennego. Odwagą było rzucenie legitymacją partyjną w obliczu zamordyzmu zaserwowanego przez pana w przyciemnianych okularach. Znałem wiele osób, które po Sierpniu '80 z gorliwych piewców PRL i PZPR zamieniali się w równie gorących orędowników Solidarności, by w stanie wojennym znowu stać się aktywistami partyjnymi. Łopiński i Liberadzki poszli inną drogą. Ich decyzja o wystąpieniu z partii była nierozerwalna i konsekwentna. To budziło nasz szacunek.

A jak odbierali „Regionówkę" pod waszym kierownictwem ludzie z zewnątrz?

JAN HLEBOWICZ, PIOTR SEMKA
„PIĄTKA U SEMKI"
ZYSK I S-KA 2019

Absolutnie nie istniała żadna świadomość, że gazetę tworzy trójka dwudziestoparolatków. Radio Wolna Europa czytało na antenie nasze artykuły, uznając, że stanowią one wyraz poglądów całej Solidarności. Borusewicz, Łopiński i Liberadzki w ogóle nas nie ograniczali.

Nie wierzę, że nie dochodziło do sporów na linii młodzi redaktorzy – starsi „nadzorcy"...

Bezrefleksyjnie wierzyliśmy wówczas władzom Solidarności z Bogdanem Borusewiczem na czele. Pamiętam jednak nasze rozmowy z tamtego czasu i rodzący się dystans wobec Lecha Wałęsy. Drażniło nas, że „Lechu" z robotnika i opozycjonisty zamienia się w polityka otoczonego asystentami i zachodnimi dziennikarzami. Ale to były uwagi, które wygłaszaliśmy raczej w swoim gronie. Na zewnątrz lidera Solidarności wciąż broniliśmy jak lwy i w czasie zadym skandowaliśmy nadal: „Lech Wałęsa". Ale niedobre obserwacje się nawarstwiały. Również kościół św. Brygidy zaczął jawić się nam jako miejsce postępującej degrengolady. To tam przebywał w tym czasie cały ówczesny „dwór" Wałęsy: Andrzej Drzycimski, Piotr Nowina-Konopka oraz egzaltowane panie z tygodnika „Gwiazda Morza". Średnio inteligentny człowiek widział, że panuje tam jakaś niejasna i niezdrowa atmosfera. Wszyscy mówili o wtyczkach SB, które czują się na plebanii jak u siebie, a jednocześnie nikt z tym nic nie robił. Co niedziela pojawiały się przed św. Brygidą ekipy zagranicznych korespondentów, których otaczali mętni asystenci Wałęsy umożliwiający dotarcie do „szefa" za paczki pall malli, butelkę whisky, a nawet za pieniądze. Im bliżej końca lat 80., tym na plebanii ks. Jankowskiego pojawiali się coraz bardziej znamienici goście. Aktorki i piosenkarki, takie jak Joan Baez, i politycy, m.in. senator Edward Kennedy, a niedługo potem sama Margaret Thatcher. Wałęsa z ks. Jankowskim prosili gości na salony, serwując bażanty faszerowane pieczonymi węgorzami. W ten sposób, na naszych oczach, rodziła się solidarnościowa nomenklatura. Na tym tle Bogdan Borusewicz jawił się nam jako symbol twardego antykomunizmu i prawdziwy opozycjonista. Pamiętaliśmy doskonale o jego początkach, kiedy w 1968 roku został aresztowany. Wiedzieliśmy, że otacza się ludźmi pamiętającymi jeszcze wileńską partyzantkę Armii Krajowej (na Olgę Krzyżanowską, córkę Aleksandra Krzyżanowskiego, ps. „Wilk", patrzyliśmy z niemym zachwytem). Zdawaliśmy sobie sprawę, jak ważną rolę pełni w KOR. Dla nas numerem jeden pozostawał „Borsuk".

Wydaje mi się to nieco dziwne. Gdańska opozycja różniła się jednak od KOR-owskiej „warszawki" większym przechyłem w prawo. Tu powstał odwołujący się do tradycji endeckiej Ruch Młodej Polski. Tu wielkim szacunkiem cieszył się bezkompromisowy działacz ROPCiO Tadeusz Szczudłowski. Z czego wynikało wasze bezwarunkowe zapatrzenie w Bogdana Borusewicza?

Z jego aktywizmu i wierności idei Sierpnia. Borusewicz był liderem KOR na Pomorzu, bliskim współpracownikiem Adama Michnika. Z dzisiejszej perspektywy może to wydać się szokujące, ale my byliśmy wówczas wpatrzeni w „Adasia" (tak mówiliśmy na Michnika) jak w obraz. Szczególną miłością późniejszego redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" darzył w tamtym czasie Jacek Kurski.

Co takiego miał w sobie Michnik?

Niewątpliwie wykazał się odwagą w 1968 roku. Odznaczał się nią także po roku 1976 i w stanie wojennym. W naszych oczach egzamin zdany 13 grudnia zmazywał wszelkie grzeszki komunistycznej aktywności Michnika z czasów młodości. Uwiarygodniały go także jego relacje z Kościołem. Mówiło się, że po śmierci Popiełuszki przyjął chrzest i się nawrócił. Był zapraszany do kościołów w całej Polsce, gdzie wygłaszał wykłady i spotykał się z sympatykami Solidarności. Brat stalinowskiego prokuratora brał udział w mszach św., we wspólnych modlitwach. Potrafił odciąć się od komunistycznej przeszłości i rodzinnych zależności. To budziło nasz szacunek. Michnik porywał nas także intelektualnie. Pisał pogłębione eseje i książki, w których rzeczowo podchodził do idei narodowej Dmowskiego, do dylematów początków niepodległości oraz do relacji lewicy i Kościoła. Jako „ludzie od Borsuka" bez problemu wchodziliśmy do mieszkań czołowych postaci KOR: Jacka Kuronia, Henryka Wujca, Heleny Łuczywo. Z zapartym tchem słuchaliśmy ich rozmów, planów opozycyjnego działania, roztaczanych wizji przyszłości. Na własnej skórze doświadczaliśmy wręcz mefistofelicznego uroku Michnika…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Spotkanie autorskie Piotra Semki i Jana Hlebowicza odbędzie się 5 marca o godz. 18 w Muzeum Powstania Warszawskiego.

eprasa.pl 5ea8026dbc

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ NIE DAM SIĘ LICHWIE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl 5ea8026dbc

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Z Wehrmachtu do Andersa

Po bitwie pod Monte Cassino miało dojść do następującej rozmowy między gen. Władysławem Andersem a jednym z brytyjskich generałów:

– Przykro mi, że poniósł pan tak wysokie straty – miał powiedzieć Anglik.

– Tak, to wielka tragedia – odparł Polak. – Całe szczęście mam skąd wziąć nowych żołnierzy i uzupełnić luki w szeregach.

– Skąd? – zdumiał się aliancki oficer.

– Jak to skąd? Z armii feldmarszałka Alberta Kesselringa.

Anegdota ta dobrze oddaje realia. Spora część żołnierzy II Korpusu rzeczywiście wcześniej służyła bowiem w Wehrmachcie. Byli to Polacy powołani do niemieckiej armii na terenie Śląska i Pomorza. Tysiące z nich dostały się do alianckiej niewoli, a w obozach zadeklarowali, że chcą się bić dalej. Tym razem przeciwko Niemcom i z orzełkami na czapkach.

Najciekawszy materiał w nowym numerze „Karty" dotyczy początków tego fascynującego i mało znanego fenomenu. Czyli utworzenia specjalnej polskiej placówki wojskowej w Algierze, której zadaniem było namierzanie i wyciąganie z alianckich obozów Polaków służących wcześniej w szeregach Afrika Korps. Co ciekawe, szefem tej placówki był kpt. Tadeusz Gluza – stryj redaktora naczelnego „Karty" Zbigniewa.

Materiały źródłowe, które publikuje „Karta", pokazują nie tylko wielkie poświęcenie, z jakim nasi oficerowie starali się wyciągać rodaków zza drutów. Pokazują również dwa inne zjawiska. Pierwsze to – delikatnie mówiąc – brak zrozumienia aliantów dla problemu przymusowej służby Polaków w niemieckiej armii.

Drugie zjawisko to piekło, przez które musieli przejść żołnierze Wehrmachtu w obozach zgłaszający chęć przeniesienia do Wojska Polskiego. Ludzie ci byli zastraszani i terroryzowani przez niemieckich kolegów. Bito ich kijami, obrzucano kamieniami, odbierano książeczki wojskowe. Grożono, że za ich „zdradę" surowe konsekwencje poniosą rodziny, które pozostały w Rzeszy. W efekcie zgłoszenie się do polskiej armii wymagało od rekrutów nie lada odwagi i charakteru. ©℗

★★★★★★
„KARTA"
98/2019

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nakaz pracy dla STS

Jedną z metod kontroli społeczeństwa w czasach realnego socjalizmu był tzw. nakaz pracy. Nie można było przecież dopuścić, by absolwenci wyższych uczelni sami poszukiwali zatrudnienia, mogłoby to doprowadzić do groźnych wynaturzeń tak jak na zgniłym Zachodzie, a cierpiałoby całe społeczeństwo. Pracować zresztą musieli wszyscy, a państwo ludowe najlepiej wiedziało, kto i gdzie był potrzebny. Ustawowo nakaz pracy wprowadzono 7 marca 1950 r., na jego mocy administracyjne skierowanie do odpowiedniego zakładu lub instytucji otrzymywali absolwenci szkół średnich i wyższych. Nakaz wydawano na trzy lata, potem pracownik mógł zmienić pracodawcę. Oczywiście nakazy stały się kolejnym dowodem na niewydolność systemu komunistycznego. W teorii absolwenci z najlepszymi wynikami powinni uzyskać możliwość zatrudnienia na najlepszych warunkach i blisko miejsca zamieszkania,w rzeczywistości, jak zwykle w epoce PRL, decydowały znajomości, układy czy łapówki.

W latach 50. była to najmodniejsza scena Warszawy

Dobrym tego przykładem były losy Studenckiego Teatru Satyryków. W latach 50. była to najmodniejsza scena Warszawy, na premierach pojawiali się: Słonimski, Konwicki, Axer, Świderski oraz Kazimierz i Marian Brandysowie. Warszawa uznała zespół za wizytówkę kulturalną miasta, do dobrego tonu należało skomentowanie nowego programu STS. Na widowni zasiadali członkowie władz, kiedyś zaproszono nawet Zofię Gomułkową, która – jak można było przypuszczać – nie zrozumiała niczego z programu, ale i tak uznała go za antysocjalistyczny. Inni natomiast sądzili, że taki „wentyl bezpieczeństwa" był potrzebny. Dlatego w kryzysowych sytuacjach można było liczyć na poparcie czynników partyjno-rządowych, w tym ówczesnego ministra kultury, Włodzimierza Sokorskiego. Szczególnie ważne okazało się to w chwili, gdy członkowie zespołu STS po zakończeniu studiów dostali nakazy pracy kierujące ich w różne zakątki Polski. Praktycznie nikt z nich nie był aktorem, co oznaczało konieczność pracy w wyuczonym zawodzie.

„Teatrowi groził rozpad – wspominał Jarosław Abramow-Newerly – gdyż od takiego nakazu praktycznie nie było odwołania. Poszliśmy do Sokorskiego i powiedzieliśmy, co nas boli. Zadzwonił do Rapackiego [ministra szkolnictwa wyższego – przyp. S.K.], w którego gestii leżała nasza sprawa, i powiedział mniej więcej tak: Adam, pomóż mi, gdyż rozpadnie się mój socjalistyczny teatr. No i cofnięto nam skierowania".

Jak widać, znajomości wśród komunistycznych elit opłacały się nawet kontestatorom tamtej rzeczywistości. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

ANNA POPEK „PIĘKNA 50-TKA"

~~619 zł~~ > **235,00 zł** < OSZCZĘDNOŚĆ 384 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. MINDAUGAS KULBIS/AP/EAST NEWS

Litwa (nie) dla Polaków

Maciej Pieczyński

Dalia Grybauskaitė traktuje nas jak obywateli drugiej kategorii – tak o odznaczonej przez Andrzeja Dudę Orderem Orła Białego prezydent Litwy mówi wielu mieszkających tam Polaków

W maju kończy się jej druga i ostatnia kadencja. Litewscy Polacy nie będą dobrze wspominać prezydentury Dalii Grybauskaitė.

Tadeusz Andrzejewski na portalu L24.lt jeszcze podczas pierwszej kadencji nazwał Grybauskaitė „litewskim Moczarem" (chodzi o połączenie komunizmu z nacjonalizmem), który naciska na rząd, by nie godził się na żadne ustępstwa wobec Polaków, a jednocześnie postuluje lituanizację Wileńszczyzny.

Uhonorowanie jej Orderem Orła Białego bardzo krytycznie oceniła Renata Cytacka, wiceprzewodnicząca Związku Polaków na Litwie, radna wileńska z ramienia Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin, była wiceminister energetyki.

Jej zdaniem to błąd. – W ciągu dwóch kadencji prezydent Grybauskaitė nie zrobiła nic dobrego dla Polaków na Litwie. Wręcz przeciwnie, jej nastawienie do nas zawsze było bardzo negatywne. Pamiętam, jak w swoim orędziu nazwała nas piątą kolumną – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". Dalii Grybauskaitė ma za złe m.in. poparcie – jeszcze w czasie pierwszej kadencji – ustawy oświatowej, która uderza w oświatę polską na Litwie. Na jej mocy w szkołach mniejszości narodowych lekcje wiedzy o społeczeństwie, historii i geografii Litwy prowadzone są po litewsku, zamiast, jak wcześniej, w języku danej mniejszości. Wpływa to również na sposób interpretacji przeszłości.

– Polskie dzieci w polskiej szkole dowiadują się, że wojska gen. Żeligowskiego okupowały Wileńszczyznę. A to przecież jest przekaz niezgodny z naszą interpretacją historii! – oburza się Renata Cytacka.

ZIGNOROWAŁA POLAKÓW

Ponadto, zgodnie ze wspomnianą ustawą oświatową, uczniowie szkół polskich (oraz należących do innych mniejszości) od 2013 r. zdają maturę z języka litewskiego na tym samym poziomie zaawansowania co uczniowie szkół litewskich. – Prosiliśmy wówczas panią prezydent o interwencję. Tłumaczyliśmy, że nie można w ten sposób traktować młodych ludzi, którzy właśnie wkraczają w dorosłość, a tu okazuje się, że niemal z dnia na dzień muszą nadrobić 800 godzin różnic programowych, bo przecież w polskich szkołach był inny program nauczania języka niż w litewskich – mówi wiceprzewodnicząca ZPL. W jej opinii tego typu ustawodawstwo jest niezgodne z prawem, również międzynarodowym: – Ustawa oświatowa godziła w wiele postanowień, do których przestrzegania zobowiązały się władze w Wilnie. Mam tu na myśli zasadę równości obywateli Unii Europejskiej, konstytucję Republiki Litewskiej, konwencję ochrony praw mniejszości

eprasa.pl 5ea8026dbc

narodowych, traktat polsko-litewski – wylicza Cytacka. Litewscy Polacy protestowali, pikietowali, strajkowali. – Zebraliśmy 60 tys. podpisów pod petycją przeciwko ustawie. Naszą inicjatywę poparła prawie jedna trzecia wszystkich Polaków mieszkających na Litwie. Petycję złożyliśmy na ręce pani prezydent. Niestety, bez skutku. Dalia Grybauskaitė nawet nie próbowała z nami rozmawiać. Prezydent Litwy zignorowała głos 60 tys. litewskich Polaków! A przecież my też jesteśmy obywatelami tego kraju, a do tego autochtonami, którzy żyją tutaj z dziada pradziada. Niestety, pani prezydent traktuje nas jak obywateli drugiej kategorii. Stojąc na czele wielonarodowego państwa, nie potrafi uszanować jego różnorodności – podkreśla Renata Cytacka. – Do pani prezydent zwracaliśmy się z prośbą o obronę szkół, aby nie pozostawiać jednej trzeciej miasta Wilna bez polskiej szkoły. Bez reakcji, obecnie ogromna dzielnica Antokol nie ma szkoły polskiej, tym samym nasi rodacy mają ograniczony do niej dostęp. Obecnie w polskiej szkole nie ma obowiązkowego maturalnego egzaminu z języka polskiego. Również w tej sprawie interweniowaliśmy u pani prezydent – dodaje.

Już ponad dwie dekady temu Litwa podpisała i ratyfikowała Konwencję ramową ochrony praw mniejszości narodowych, zgodnie z którą mniejszości narodowe mają prawo do swoich napisów w miejscach, gdzie tworzą zwartą społeczność. Mimo to litewskie ustawodawstwo językowe nie przewiduje takiej możliwości. Za kadencji pani prezydent zostało zdecydowanie zintensyfikowane nakładanie kar za tabliczki z polskimi nazwami ulic, które wisiały od czasów reżimu sowieckiego i nikomu nie przeszkadzały. Kulminacyjnym momentem był rok 2014, kiedy to dyrektor samorządu rejonu solecznickiego zapłacił karę za wiszące w rejonie tabliczki z polskimi nazwami ulic. Karę bardzo wysoką, bo wynoszącą w przeliczeniu na złotówki ok. 54 tys. Również wówczas Renata Cytacka – jako szefowa Forum Rodziców Szkół Polskich Rejonu Solecznickiego – apelowała do prezydent Grybauskaitė o wsparcie. Jak mówi – bezskutecznie.

– Grybauskaitė osobiście przyczyniła się do pogorszenia relacji z Warszawą, kiedy w latach 2011–2016 doszło do raptownego ochłodzenia stosunków polsko-litewskich. W tym okresie, który przez niektórych politologów był zwany zimnym pokojem, praktycznie nie było dwustronnych kontaktów na najwyższym szczeblu. To negatywnie wpłynęło na sytuację polskiej mniejszości na Litwie, ponieważ rozwiązanie spornych kwestii (oryginalna pisownia, dwujęzyczne napisy, ustawa o mniejszościach narodowych) na Litwie było odbierane jako presja większego sąsiada oraz imperialne zapędy Polski – mówi „Do Rzeczy" Antoni Radczenko, redaktor naczelny portalu Wiadomości znad Wilii. – Prezydent Litwy niejednokrotnie deklarowała, że stoi na straży Konstytucji RL, która nie zezwala na oryginalną pisownię nazwisk. Jednak teraz widzimy, że w tej kwestii zaszła zmiana. Podczas ostatniej wizyty w Warszawie Grybauskaitė poinformowała, że w Sejmie RL są trzy projekty dotyczące oryginalnej pisowni i jest nadzieja na rozwiązanie tej kwestii. Zwłaszcza że od 2017 r. obserwujemy ocieplenie relacji na linii Wilno – Warszawa – dodaje. Radczenko nie zgadza się z krytyką Renaty Cytackiej pod adresem Andrzeja Dudy za odznaczenie litewskiej prezydent. – W tym przypadku ma rację czołowy litewski politolog Lauras Bielinis, który oświadczył: „Wręczenie Orderu Orła Białego dla prezydent Grybauskaitė jest symbolicznym gestem dla dalszej poprawy relacji Polski i Litwy" – uważa Radczenko.

ANTYPOLSKA FRUSTRACJA

Profesor Andrzej Pukszto, litewski politolog polskiego pochodzenia, twierdzi, że Dalię Grybauskaitė można oskarżać nie tyle o działania na szkodę mniejszości polskiej, ile o zaniechania, zaniedbania, niedostateczne wsparcie dla Polaków. – Prezydent na Litwie ma jeszcze mniejsze prerogatywy niż w Polsce. Prowadzi politykę zagraniczną i pełni funkcję reprezentacyjną. Natomiast relacje z mniejszościami narodowymi to już sprawy wewnętrzne, w których głowa państwa ma niewielką moc sprawczą – zauważa politolog w rozmowie z „Do Rzeczy". – Dalia Grybauskaitė miała jednak wystarczające kompetencje, aby odegrać rolę mediatora w sporze i moderatora w debacie między litewskim rządem a mniejszością polską. Nie skorzystała z tych możliwości. Powinna była zainicjować rodzaj okrągłego stołu dla tych dwóch skonfliktowanych stron, zadbać o lepszy klimat dla rozwoju wielokulturowości. Nie zrobiła tego – mówi prof. Pukszto. Poprzednik Grybauskaitė, Valdas Adamkus, miał z Polską i Polakami o wiele lepsze relacje. Organizował regularne spotkania z przedstawicielami mniejszości narodowych. – Skoro polsko-litewski sojusz polityczny oraz wojskowy jest tak ważny, co pani prezydent chętnie podkreślała podczas rozmów z prezydentem Dudą, to powinna wypracować jakiś specjalny format spotkań z przedstawicielami społeczności polskiej na Litwie. Wolała jednak postawić na relacje z Warszawą, z pominięciem litewskich obywateli polskiego pochodzenia – mówi prof. Pukszto.

Grybauskaitė pozycjonuje siebie jako przedstawiciela szeroko rozumianej centroprawicy. Zawierała polityczne sojusze zarówno z liberałami, jak i konserwatystami. Profesor Pukszto twierdzi jednak, że stosunek do Polaków na Litwie podyktowany jest nie tyle nastrojami nacjonalistycznymi, ile względami bezpieczeństwa państwa. – Po aneksji Krymu i agresji w Donbasie aktualna stała się obawa przed tendencjami odśrodkowymi ze strony mniejszości narodowych – mówi litewski politolog. Wydawałoby się, że ta obawa powinna dotyczyć wyłącznie mniejszości rosyjskiej. Tymczasem Litwini swoją podejrzliwość skupili na silnej liczebnie polskiej mniejszości. – Część prawicowych publicystów zaczęła się zastanawiać, czy aby Polacy z Wileńszczyzny nie dadzą się wykorzystać rosyjskiej propagandzie. Szczególnie że Waldemar Tomaszewski, szef Akcji Wyborczej Polaków na Litwie, nie tylko świętował Dzień Zwycięstwa 9 maja, ale i dumnie nosił wstążkę św. Jerzego, która przyjęła się jako symbol tzw. Noworosji – mówi prof. Pukszto. Tym, którzy zachowanie Tomaszewskiego uznali za kontrowersyjne, szef AWPL zarzucił nieznajomość historii. Jak argumentował, wstążka św. Jerzego to „pozytywny symbol, gdyż święty symbol nie może być negatywny".

Podsumowując obie kadencje Grybauskaitė, Robert Mickiewicz, redaktor naczelny „Kuriera Wileńskiego", nazwał prezydent jedną z głównych hamulcowych w stosunkach Wilna z Warszawą. Zdaniem publicysty przyjęty przez nią kurs był wierną kontynuacją antypolskiej polityki przedwojennych władz w Kownie. Negatywny stosunek Grybauskaitė do Polski i Polaków dostrzegają nawet litewscy komentatorzy. Dziennikarz Rimvydas Valatka, sygnatariusz aktu niepodległości Litwy, ocenił w rozmowie z „KW": „Prezydent straciła dobrą okazję, by wpisać się do historii Polski i Litwy jako polityk, który mógł rozwiązać problemy, które nie zostały rozwiązane w ciągu 25 lat. Grybauskaitė nie odniosła żadnych zasług w dziedzinie stosunków polsko-litewskich. Odwrotnie, niejednokrotnie psuła stosunki swymi nieprzemyślanymi wypowiedziami o Polsce".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Olivier Bault

Unijna wojna

Włochów i Francuzów poróżniła nie tylko sprawa imigrantów i protestu „żółtych kamizelek". Oba kraje mają do siebie dużo więcej pretensji

Francuski ambasador wrócił do Rzymu po ośmiu dniach nieobecności. Christian Masset oznajmił włoskim dziennikarzom w dniu powrotu, że Francja jest gotowa rozmawiać z Włochami o wszystkich sprawach, ale „w duchu wzajemnego szacunku i woli współpracy". Czy to już koniec kryzysu w relacjach francusko-włoskich? Nie będzie to chyba takie proste.

Ten kryzys narastał od miesięcy. W końcu Paryż wezwał swojego ambasadora na konsultacje, co jest uznawane za ostatni krok przed ewentualnym zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Takiej sytuacji między oboma krajami europejskimi nie było od 1940 r. Wycofanie ambasadora było bezpośrednią reakcją na spotkanie wicepremiera Włoch Luigiego Di Maio z jednym z liderów tzw. żółtych kamizelek 5 lutego pod Paryżem i opublikowanie przez niego zdjęć z tego spotkania, co Francuzi uznali za niedopuszczalną ingerencję w ich wewnętrzne sprawy. Dla francuskiego ministra spraw zagranicznych Jeana-Yves'a Le Drian, lider Ruchu Pięciu Gwiazd (M5S), po prostu przekroczył tym spotkaniem wszelkie granice.

Już wcześniej, na samym początku stycznia, Di Maio wyraził publicznie swoje poparcie dla protestów francuskich „żółtych kamizelek", a drugi wicepremier Włoch, minister spraw wewnętrznych i lider Ligi Matteo Salvini, wtórował mu, twierdząc, że jest to ruch „uczciwych obywateli, którzy protestują przeciwko złym rządom". 20 stycznia Di Maio oskarżył też Francję o to, że cały czas traktuje kraje afrykańskie jak kolonie i że jest winna biedy będącej przyczyną masowej emigracji do Europy.

Dwa dni później Matteo Salvini wyraził również nadzieję, że francuski naród wkrótce pozbędzie się „bardzo złego prezydenta". Minister Loiseau odpowiedziała wówczas w mediach, że Francja nie będzie brała udziału „w konkursie na najgłupszego", ale że w tej sytuacji niemożliwe są wizyty we Włoszech przedstawicieli francuskiego rządu. Zarzuciła liderom obu „populistycznych" formacji, że prowadzą nieustanną kampanię wyborczą kosztem stosunków dobrosąsiedzkich.

Jednak to prezydent Francji zapoczątkował wymianę „uprzejmości" między liderami obu państw, na co zwracają uwagę nawet francuskie media. W czerwcu 2018 r., krótko po zaprzysiężeniu rządu Giuseppego Conte'a, Emmanuel Macron krytykował „cynizm" i „brak odpowiedzialności" Włochów za odmowę przyjęcia 630 nielegalnych imigrantów na pokładzie statku „Aquarius". Rozwścieczyło to nowego ministra spraw wewnętrznych Matteo Salviniego, który wytykał Macronowi hipokryzję, przypominając mu, że Francja systematycznie odmawia możliwości wjazdu nielegalnym imigrantom przyłapanym na granicy włosko-francuskiej. Tydzień później Macron wspomniał o „trądzie nacjonalizmu, który narasta" w Europie, o „nacjonalizmie, który się odradza", oraz o tych, którzy nie szanują nawet prawa do azylu. Salvini odpowiedział: – Może i jesteśmy trędowatymi populistami, ale ja przyjmuję pouczenia tylko ze strony tych, którzy sami otwierają swoje porty. Przyjmijcie te tysiące imigrantów, a będziemy mogli rozmawiać.

W październiku w wyemitowanym przez rząd Philippe'a klipie wyborczym Francuzi byli zachęcani do głosowania w przyszłych wyborach europejskich na proeuropejskich progresistów prezydenta Macrona, którym przeciwstawiono niebezpiecznych populistów w osobie Węgra Viktora Orbána i Włocha Matteo Salviniego.

Zdaje się, że rządzącym Francją dużo lepiej idzie aroganckie pouczanie innych niż pokorne przyjmowanie pouczeń. Przykłady ingerowania Francuzów w wewnętrzne sprawy innych krajów można znaleźć bez trudu. We wrześniu ubiegłego roku posłowie partii prezydenta Macrona zorganizowali konferencję we francuskim Zgromadzeniu Narodowym na temat „demokracji nieliberalnej" w Polsce i na Węgrzech z udziałem wyłącznie najbardziej radykalnych opozycjonistów z obu krajów (w przypadku Polski: Robert Biedroń i Jarosław Kurski). Był też raport o praworządności w Polsce, na Węgrzech i w Rumunii sporządzony przez dwóch posłów partii prezydenckiej (LREM) i jej koalicjanta (Modem) na zamówienie Komisji Spraw Europejskich Zgromadzenia Narodowego, który to raport centroprawicowa opozycja skwitowała jako próbę „instrumentalizacji

FOT. ADOBESTOCK

eprasa.pl 5ea8026dbc

wewnętrzna

przez LREM zagadnień europejskich na kilka miesięcy przed wyborami do Parlamentu Europejskiego z maja 2009 r.".

A co do słów o „bardzo złym prezydencie" Macronie wypowiedzianych przez Salviniego nie powinny one szokować polityków ani mediów francuskich po tym, jak ten sam Macron nazwał w październiku w Bratysławie rządzących Polską i Węgrami „szalonymi umysłami".

ODMIENNE WIZJE UE

Narastanie konfliktu między Rzymem a Paryżem wynika po części z odmiennej wizji w zasadniczych kwestiach takich jak kształt i przyszłość Unii Europejskiej oraz polityka imigracyjna. W sporze między „progresistami" a „populistami" obecni liderzy polityczni Francji i Włoch znajdują się po przeciwnej stronie. Gdy Salvini przyjmował Orbána w Mediolanie pod koniec sierpnia, obaj liderzy wskazywali na francuskiego prezydenta jako tego, który stoi na czele obozu proimigracyjnego w Europie. Salviniemu i Lidze nie podoba się też federalistyczna wizja Emmanuela Macrona. Po podpisaniu 22 stycznia w Akwizgranie francusko-niemieckiego traktatu „o współpracy i integracji" część włoskich prawicowych polityków i tamtejszych mediów uznała, że jest to traktat skierowany przeciwko Włochom. Media francuskie i niemieckie opisały go ze swojej strony jako skierowany przeciwko populistom, do których zaliczają rządzących obecnie Włochami, Polską i Węgrami.

Przyczyny napięć między oboma krajami sięgają jednak głębiej. Mają podłoże gospodarcze i geopolityczne. Włoski Ruch Pięciu Gwiazd zobowiązał się przed swoimi wyborcami, że zatrzyma budowę linii szybkich kolei między Turynem a Lyonem, co nie podoba się Francuzom (oraz Salviniemu). Z kolei Włosi mają do Francuzów pretensje o to, że blokują przejęcie stoczni w Saint-Nazaire przez włoską państwową spółkę Fincantieri, choć porozumienie zawarte w 2017 r. między rządem włoskim a rządem francuskim przywidywało, że Fincantieri będzie mogła wykupić 50 proc. udziałów, których pozbył się koreański STX w 2016 r. Dodatkowy 1 proc. miał zostać odstąpiony przez państwo francuskie po 12 latach Włochom pod warunkiem dotrzymania przez tych ostatnich podjętych zobowiązań. Chociaż prawo europejskie tego nie wymagało, to na początku stycznia Francja skierowała tę sprawę do Komisji Europejskiej, aby ta sprawdziła, czy transakcja nie doprowadzi do nadmiernej koncentracji na rynku europejskim i światowym. Ruch ten, popierany przez Berlin, został odebrany we Włoszech jako odstąpienie od pomysłu integrowania przemysłu stoczniowego Francji i Włoch w sferze cywilnej oraz wojskowej na rzecz większej integracji przemysłu Francji i Niemiec, o której mowa zresztą w nowym traktacie francusko-niemieckim. Tym bardziej że w tym samym czasie Berlin i Paryż starały się o połączenie firm Alstom i Siemens w sektorze kolejowym, na co Komisja Europejska się jednak nie zgodziła.

Inną osią sporu między Francją a Włochami jest Libia. Włosi mają od dawna pretensje do Francuzów o interwencję w roku 2011 r. i obalenie rządu Kaddafiego, które ich zdaniem było motywowane chęcią przejęcia kontroli nad polami naftowymi, będącymi w rękach włoskiej firmy ENI, co otworzyło nielegalnym imigrantom drogę do Włoch przez środkowe Morze Śródziemne. Dzisiaj, gdy Rzym aktywnie współpracuje z rządem w Trypolisie, uznawanym przez społeczność międzynarodową, Francja popiera konkurencyjny rząd gen. Haftara, zagrażając zarówno koncesjom ENI w byłej kolonii włoskiej, jak i sukcesowi polityki prowadzonej już od lata 2017 r., na mocy której Libijczycy sami starają się zatrzymać nielegalnych imigrantów chcących przedostać się do Włoch.

TERRORYŚCI

Jest jeszcze jedna sprawa zatruwająca od lat stosunki włosko-francuskie: to obecność na terytorium Francji włoskich komunistycznych terrorystów z lat 70. ubiegłego wieku, którzy znaleźli schronienie nad Sekwaną w latach 80. za czasów prezydenta Mitterranda w zamian za rezygnację ze stosowania przemocy. Dzisiaj, po wydaleniu z Brazylii komunistycznego terrorysty Cesarego Battistiego dzięki wygranej w wyborach prezydenckich prawicowego, „populistycznego" Jaira Bolsonaro, rząd Giuseppego Contego domaga się ekstradycji 15 takich terrorystów mieszkających we Francji.

Dla kraju, którego liderzy mają usta pełne frazesów o demokracji, praworządności, europejskiej solidarności i odpowiedzialności, nie wygląda to zbyt dobrze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIEGI, CZYLI RASIZM

Hiszpańska marka odzieżowa – Zara – została oskarżona o rasizm w reklamie. Pokazała modelkę z piegami na twarzy w kampanii reklamującej pomadki w Chinach. Firma twierdzi, że nie chciała nikogo urazić i zamierzała pokazać jak najbardziej naturalną urodę. Chinki są jednak złe, bo w swojej kulturze chcą pokazywać twarze z jak najjaśniejszą karnacją i bardzo o to dbają.

UPOZOROWANY HOMOFOBICZNY ATAK

Znany amerykański aktor Jussie Smollett (gra m.in. w serialu „Imperium") pod koniec stycznia zgłosił, że został napadnięty w Chicago. Dwaj mężczyźni mieli założyć mu pętlę na szyję i wykrzykiwać rasistowskie hasła. Aktor sugerował, że napastnicy musieli być zwolennikami prezydenta Donalda Trumpa. „Napad" stał się głośną sprawą w USA. Publicznie wsparcie dla aktora wyrażali politycy demokratów. Policja szybko jednak ujawniła, że ma nagrania, na których widać mężczyzn kupujących maski użyte podczas „napadu". Jednym z nich okazał się osobisty trener aktora. Rzekomi napastnicy poszli na współpracę z policją i teraz to aktor ma zarzuty składania fałszywych zeznań.

ATEIŚCI KONTRA SPORT

Drużyna futbolu amerykańskiego ze szkoły w Georgii przed meczem lubi się pomodlić. To nie spodobało się ateistycznej organizacji Freedom From Religion Foundation, która poinformowała władze szkoły o tym, że trener modli się razem z wychowankami. A takie zachowanie urzędnika państwowego jest ich zdaniem naruszeniem konstytucji, bo „promuje" religię. Zarząd szkoły zakazał więc trenerom przyłączać się do uczniów – nie mogą pochylić głowy, zgiąć kolana ani zrobić żadnego gestu, który wskazywałby na akceptację religijności wychowanków. W odpowiedzi na to na kolejnych meczach do modlących się zawodników zaczęły dołączać setki modlących się z nimi kibiców.

WYKLUCZONY Z DEBATY NAD WOLNOŚCIĄ SŁOWA

Na uniwersytecie w Bristolu zorganizowano debatę na temat wolności słowa. Wykluczono z niej studenta, bo napisał wcześniej na Twitterze, że „kobiety nie mają penisów". Nazwano go transfobicznym i wyrzucono z przewodniczenia studentom humanistyki oraz zwolniono z funkcji asystenta redaktora czasopisma poświęconego filozofii. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Jak Zenon z Elei

Wcześniej nic do zwykłych ludzi nie trafiało, tylko swoim dawali" – to jeden z najczęściej powtarzanych komentarzy do hojnych obietnic PiS. Pomijając fakt, że to daleko idące uogólnienie, które trudno uznać za argument, to również manipulacja. Wynikałoby bowiem z tego zdania, że mamy do czynienia z zero-jedynkowym wyborem: albo pieniądze państwa mają trafić do kolesi z układu, albo muszą być rozdawane elektoratowi, żeby ten z wdzięczności popędził do urn i właściwie zagłosował.

To oczywiście nieprawda. Zakładając nawet, że poprzednia władza przekierowywała strumień pieniędzy do ludzi czy podmiotów ze sobą zaprzyjaźnionych (tak jakby obecna tego nie robiła...), w żaden sposób nie wynika z tego, że po uszczelnieniu systemu podatkowego i napełnieniu budżetu trzeba szybko pozbyć się pieniędzy, robiąc z nich wyborcom kosztowne prezenty.

Gospodarka i finanse wciąż rządzą się tymi samymi prawami, niezależnie od tego, ile razy Mateusz Morawiecki cytowałby z zachwytem Piketty'ego: jeśli wydaje się więcej, niż wpływa do budżetu, powiększa się dług; dług trzeba kiedyś spłacić; transfery pieniędzy zawsze wiążą się z kosztami – taniej jest zostawić ludziom więcej kasy w kieszeni; jeśli zmniejsza się wpływy do budżetu, należy zmniejszyć wydatki; raz przyznane socjalne przywileje bardzo trudno skasować. To oczywiste, ale można odnieść wrażenie, że politykom PiS wydaje się, iż odkryli alternatywną ekonomię, w której pieniędzy przybywa od gadania.

Przypomina to paradoksy Zenona z Elei (V w. p.n.e.). Filozof dowodził, że wystrzelona z łuku strzała w istocie w ogóle się nie porusza. Według legendy odpowiedzią tyrana Elei było wypuszczenie strzały z łuku wprost w Zenona.

Z wiadomym skutkiem. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

"Złodziejaszki skradły moje serce"

Grażyna Torbicka

W KINACH OD 22 MARCA

PMPG POLSKIE MEDIA

Olivier Bault

Za dwa lata zakończy się produkcja Airbusa A380. To jednak dobra wiadomość dla europejskiej firmy

Duży uziemiony

Jest 26 czerwca 1996 r. W luksusowym hotelu urządzonym w pięknym pałacyku Domaine d'Auriac blisko miejscowości Carcassone na południu Francji gośćmi firmy Airbus Industries są przedstawiciele 13 dużych przewoźników lotniczych: amerykańskich Delta, Northwest i United, europejskich Air France, British Airways, KLM i Lufthansa, azjatyckich All Nippon Airways, Japan Airlines, Japan Air System, Cathay Pacific i Singapore Airlines oraz australijskiego Qantas. W trakcie dwudniowego poufnego spotkania po raz pierwszy pokazano koncept samolotu długodystansowego zdolnego przewozić powyżej 500 pasażerów. Francuska gazeta „La Tribune" niedawno wspominała to wydarzenie, cytuję przedstawicieli Airbusa: „To spotkanie, a także następne mają istotne znaczenie. To w tym momencie ludzie wewnątrz firmy dochodzą do przekonania, iż projekt stanie się rzeczywistością. Byliśmy przekonani, że klienci pójdą za nami, a oni przekonali nas, aby ruszyć z tym projektem".

Niecałe 23 lata po owym tajemniczym spotkaniu i tylko 12 lat po wejściu do służby pierwszego airbusa A380 odchodzący niemiecki prezes grupy Airbus Tom Enders (niebawem ma go zastąpić Francuz Guillaume Faury, obecny dyrektor generalny Airbus Commercial Aircraft) ogłosił zaprzestanie produkcji A380 w 2021 r.

ANULOWANE ZAMÓWIENIA

Decyzja ta była bezpośrednią konsekwencją anulowania zamówienia przez operatora Emirates z Dubaju, obejmującego 20 samolotów A380 oraz opcję na zakup 16 kolejnych. Zamówienie to było istotnym elementem wprowadzonego od marca ubiegłego roku planu restrukturyzacji produkcji, który to plan zakładał likwidację 3,7 tys. miejsc pracy (na ok. 130 tys. w całej grupie) w związku z problemami związanymi ze sprzedażą Airbusa A380 oraz nowego wojskowego samolotu transportowego A400M. Najwięcej miejsc pracy ubyło w Niemczech (ok. 1,9 tys.) oraz Hiszpanii (ok. 850), w mniejszym stopniu likwidowano także stanowiska we Francji i Wielkiej Brytanii. Europejski producent samolotów i helikopterów zapewniał jednak, że większość pracowników zostanie przesuniętych do produkcji dobrze sprzedających się samolotów A320 i A350. W przypadku Airbusa A380 plan restrukturyzacji zakładał zmniejszenie produkcji z 12 do sześciu egzemplarzy rocznie (jeszcze w 2014 r. było to 30 sztuk rocznie) i liczono na to, że to właśnie zamówienie firmy lotniczej Emirates pozwoli na utrzymanie tego poziomu produkcji w następnych latach, co da producentowi czas na poszukiwanie nowych klientów i na wypracowanie nowych rozwiązań technicznych, obniżających koszty eksploatacji europejskiego SuperJumbo.

Zresztą od początku losy A380 zależały głównie od decyzji dubajskiego przewoźnika lotniczego, skoro firma ta posiada dzisiaj ponad setkę z 222 samolotów tego typu, będących już w użyciu (na 313 zamówionych łącznie). Od ostatniego dużego zamówienia firmy Emirates na 50 sztuk A380 w 2013 r. tylko japońska firma lotnicza All Nippon Airways zamówiła w styczniu 2016 r. trzy samoloty. Od 2001 r., kiedy zaczęto przyjmować zamówienia na europejskie SuperJumbo, firmy lotnicze obecne na poufnym spotkaniu z 1996 r. zamówiły jedynie 82 sztuki. A jeszcze w 2007 r., czyli przed kryzysem finansowym z 2008 r., władze Airbusa liczyły, że popyt na samoloty powyżej 400 miejsc wyniesie ok. 1,3 tys. egzemplarzy na przestrzeni 20 lat. Zaledwie pięć lat później prognozy te zmniejszono o połowę. Także u Boeinga liczba zamówień na Jumbo Jet B747 zaczęła drastycznie się zmniejszać właśnie od 2008 r.

POINT-TO-POINT

Autorzy projektu Airbusa A380 wychodzili z założenia, że przy szybkim wzroście lotniczego transportu pasażerskiego coraz bardziej potrzebne będą bardzo

eprasa.pl 5ea8026dbc

Airbus A380 przez ostatnie lata stanowił dla firmy poważny kłopot FOT. ADOBE STOCK

duże samoloty, których zadaniem będzie zapewnianie połączeń między największymi lotniskami, z których to pasażerowie będą przewożeni dalej mniejszymi samolotami do miejsc docelowych (tzw. model hub and spoke). Przyszły europejski SuperJumbo miał przy tym zapewniać niższe o 15 proc. koszty eksploatacji w porównaniu z amerykańskim Jumbo Jetem Boeing 747. Nowy samolot miał też być zwieńczeniem rozwoju europejskiego konkurenta Boeinga po wejściu na rynek samolotów pasażerskich średniodystansowych, czyli A320 sprzedawanych od 1987 r., oraz samolotów długodystansowych z modelami A330 i A340, obecnych na rynku od lat 1992–1993. Airbus Industries pierwotnie zakładał, że pierwsze dostawy Airbusa A380 będą możliwe już od 2003 r.

Tymczasem w transporcie lotniczym wygrał model point-to-point. Firmy starają się oferować bezpośredni transport między lotniskami bez przesiadki w dużym, węzłowym porcie lotniczym. Dzieje się to m.in. pod presją konkurencji ze strony tanich linii lotniczych. Model ten pociąga za sobą potrzebę operowania mniejszymi samolotami dwusilnikowymi zamiast czterosilnikowymi typu B747 czy A380. Dlatego też duży sukces odniósł projekt długodystansowego Boeinga 787 Dreamliner, rozwijany mniej więcej w tym samym czasie co projekt A380, który zabierał na pokład jedynie od 210 do 330 osób. Podobnym hitem okazuje się nowy dwusilnikowy Airbus A350, mogący przewozić od 325 do 366 pasażerów. Takie samoloty dają firmom lotniczym większą elastyczność i są mniej kosztowne w eksploatacji niż A380, mieszczący – w zależności od konfiguracji – od 575 do 850 pasażerów, w związku z czym często lata bez kompletu obsadzonych miejsc. Trudna do udźwignięcia dla wielu operatorów lotniczych jest także przeciętna cena katalogowa Airbusa A380, wynosząca 445 mln dol. za sztukę, podczas gdy Boeing 747-8 (najnowszej generacji, mieszczący od 467 do 518 pasażerów w zależności od wersji) kosztuje średnio 386 mln dol.

Pomimo dużych problemów technicznych na początku wieku i związanych z nimi opóźnień pierwszych dostaw, które nie są niczym wyjątkowym w przemyśle lotniczym (podobnie było w przypadku dreamlinerów Boeinga), porażka Airbusa A380 jest zatem przede wszystkim skutkiem błędnych prognoz europejskiego producenta co do przyszłego rozwoju rynku lotniczego, postawionych w latach 90. Prestiżowy samolot będzie nadal obsługiwany i nadal będzie można go zobaczyć na największych lotniskach świata, ale ostatni egzemplarz wyjdzie z zakładów w Tuluzie w 2021 r. i już teraz niektóre firmy lotnicze wycofują część swoich A380 z użytku. Podobnie dzieje się w przypadku boeingów 747.

ZŁA WIADOMOŚĆ, CZYLI DOBRA

Decyzja o zaprzestaniu produkcji to tak naprawdę dobra wiadomość dla europejskiej grupy Airbus, zrzeszającej większą część przemysłu lotniczego Niemiec, Francji i Hiszpanii. Samolot A380 był dla niej od lat dużym obciążeniem. Tylko w 2018 r. spowolniona produkcja modelu A380 zmniejszyła zysk operacyjny grupy o 463 mln euro. Co prawda spodziewane są w związku z tą decyzją nowe cięcia stanowisk w tych samych czterech krajach, które objął ubiegłoroczny plan restrukturyzacyjny (w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii i Hiszpanii). Większość pracowników, których to dotyczy, zostanie raczej przesuniętych do produkcji innych samolotów. Dlatego też rynki finansowe bardzo dobrze przyjęły tę wiadomość: w dniu ogłoszenia decyzji o zaprzestaniu produkcji A380 wartość akcji Airbusa wzrosła o ponad 4 proc. Anulowanie zamówienia Emirates na A380 towarzyszyło zresztą zamówienie na długodystansowe samoloty dwusilnikowe A350, a portfel zamówień Airbusa – z liczbą 7577 zamówionych samolotów, wystarcza w tej chwili na 10 lat produkcji. W samym 2018 r. firmy lotnicze zamówiły 747 samolotów u Airbusa i 893 u Boeinga. W tym czasie europejski producent dostarczył 800 samolotów, a jego amerykański konkurent 806. W przypadku Airbusa było to 20 A220, 626 A320, 49 A330, 93 A350 i 12 A380. W przypadku Boeinga było to 580 B737, 27 B767, 48 B777, 145 B787 i tylko sześć B747.

Tłumacząc decyzję o zaprzestaniu produkcji samolotu SuperJumbo, Tom Enders stwierdził, że spóźnił się o 10 lat. Niektórzy twierdzą, iż jest wprost przeciwnie, że podjęto ją za wcześnie i że takie samoloty mogą być potrzebne w przyszłości. Jednak pomimo ogromnych kosztów tego projektu, wycenionych na ponad 18 mld euro (wliczając w to kary za opóźnienia w dostawach), firma Airbus wiele zyskała dzięki A380. Podobnie jak technologie nieudanego pod kątem komercyjnym naddźwiękowego samolotu pasażerskiego Concorde zostały później wykorzystane do zaprojektowania i realizacji hitowego Airbusa A320 z pierwszym na świecie cyfrowym układem sterowania lotem zastosowanym w samolocie pasażerskim, technologie wypracowane dla Airbusa A380 zostały wdrożone także w najnowszych samolotach europejskiego giganta, np. w A350.

Poza tym ogrom problemów związanych z produkcją A380 obnażył słabości Airbusa, wynikające z rozproszenia produkcji między kilkoma krajami oraz będące skutkiem uzależnienia działalności od decyzji politycznych państw, będących właścicielami grupy. W latach 2007–2008 Grupa Airbus musiała w związku z tym zreorganizować produkcję, zmniejszyć koszty oraz siłę roboczą i doprowadzić do lepszej integracji swoich struktur. Porażka A380 zamiast zabić grupę Airbus tak naprawdę ją wzmocniła.

Warto pamiętać, że pierwszy komercyjny lot pierwszego samolotu Airbusa, o nazwie A300, odbył się dopiero w 1974 r., cztery lata po wejściu do służby samolotu Jumbo Jet B747. Od tego czasu dzięki połączeniu przemysłu lotniczego z kilku krajów Europejczykom udało się położyć kres powojennej dominacji Amerykanów we wszystkich segmentach rynku samolotów cywilnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Jacek Przybylski

Miliardy na miasta przyszłości

W południowo-zachodniej Hiszpanii powstaje od podstaw ultranowoczesne miasto. Elysium City w pierwszym roku od otwarcia ma przyciągnąć ponad 4 mln turystów

Elysium City ma powstać w ciągu czterech lat. Do tego czasu w pierwszym inteligentnym mieście w Europie mają powstać dwa gigantyczne parki rozrywki, cztery wielkie pięciogwiazdkowe hotele wraz z kasynami, galerie handlowe, stadion piłkarski na 40 tys. kibiców, 18-dołkowe pole golfowe, port z mariną, stacja szybkiej kolei oraz osiedla z 2 tys. mieszkań. W drugim etapie rozwoju miasta – do 2028 r. – powstać mają także tor Formuły 1, ośrodek jeździecki oraz kolejne luksusowe hotele i osiedla mieszkaniowe.

Pomysłodawcą budowy Elysium City jest John Cor, dawny wiceprezes The Walt Disney Company oraz wiceszef spółki Disneyland Resort. Aby zachęcić biznesmenów do inwestycji, lokalne władze zaoferowały preferencje podatkowe, a także ułatwienia w zdobyciu licencji na gry hazardowe. Potencjalnych mieszkańców do przeprowadzki mają zaś kusić nowe miejsca pracy – w sumie w Elysium City może ich powstać 40–50 tys. I właśnie tylu mieszkańców docelowo ma liczyć miasto przyszłości.

Pierwsze inteligentne miasto w Europie ma być polem do popisu dla twórców nowoczesnych technologii. W całym mieście ma być dostępne darmowe, superszybkie Wi-Fi o prędkości 1 Gb/s.

Elysium City ma również odegrać kluczową rolę we wdrażaniu technologii 5G. Do tego służą elementy małej architektury z gniazdami do ładowania smartfonów oraz inteligentne kioski zawierające informacje dla turystów.

Na specjalnych ekranach rozmieszczonych w różnych punktach miasta będą się też ukazywać aktualizowane w czasie rzeczywistym informacje dotyczące korków, pogody czy dostępności miejsc parkingowych. Nowoczesne punkty informacyjne mają pełnić podwójną funkcję – za ich pomocą mieszkańcy będą także mogli zgłaszać lokalnym władzom wszelkie uwagi.

Miasto ma być również rajem dla ekologów – cała infrastruktura będzie zasilana energią wytwarzaną przez panele słoneczne – a miasto zostanie projektowane z uwzględnieniem 17 celów zrównoważonego rozwoju, opracowanych przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Do tego mieszkańcy będą mogli korzystać ze specjalnych ścieżek przeznaczonych dla rowerów górskich, na szlaki piesze etc.

Budowa bajkowego miasta w Hiszpanii na obszarze 12 km kw. – na terenach rozważanych kiedyś pod Eurodisneyland – ma pochłonąć 3,5 mld dol., czyli równowartość 13,2 mld zł.

KOSMICZNE PIENIĄDZE

3 mld dol. to kwota, która raczej nie robi wielkiego wrażenia na inwestorach budujących inteligentne aglomeracje w innych częściach globu. Budżet przeznaczony na budowę supermiasta Neom w Arabii Saudyjskiej wynosi 500 mld dol. Ultranowoczesna metropolia nad Morzem Czerwonym ma mieć powierzchnię niemal 30-krotnie większą od Nowego Jorku i 50 razy większą od Warszawy.

Saudyjski książę Muhammad ibn Salman Abd al-Aziz Al Su'ud chce, aby jego projekt był „cywilizacyjnym skokiem dla ludzkości". Nowe miasto ma być całkowicie zautomatyzowane. Po ulicach będzie się można poruszać wyłącznie autonomicznymi pojazdami i bezzałogowymi latającymi taksówkami. Położony na styku trzech kontynentów „nowy Babilon" ma też być miastem samowystarczalnym, które korzystać będzie wyłącznie z odnawialnych źródeł energii: z parków solarnych oraz farm wiatrowych. W mieście swoje przedstawicielstwa mają mieć najwięksi giganci technologiczni z całego świata. Zakończenie pierwszego etapu inwestycji planowane jest na 2025 r. W zeszłym roku prace nad nową metropolią znacząco jednak zwolniły, ponieważ po brutalnym morderstwie dziennikarza Jamala Khashoggiego z pro-

eprasa.pl 5ea8026dbc

Mieszkańcy Elysium City mają mieć dostęp do sieci Wi-Fi o prędkości 1 Gb/s

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na budowę miata Lusail Katarczycy planują wydać 50 mld dol.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jektu wycofało się grono prominentnych inwestorów.

Już wkrótce za 50 mld dol. nowe miasto od podstaw wybuduje Katar. Lusail – bo tak się nazywa futurystyczna metropolia – ma być podzielone na cztery ekskluzywne wyspy, a także 19 dzielnic handlowych z drapaczami chmur oraz mieszkalnych z luksusowymi willami i komfortowymi apartamentowcami. Do tego na pustyni powstanie ponad 20 nowych hoteli oraz dwa pola golfowe.

Turyści i mieszkańcy w rozmieszczonych na ulicach całego miasta ponad 150 kioskach multimedialnych będą mogli szukać aktualnych informacji o lokalnych atrakcjach, pobliskich restauracjach, hotelach, połączeniach lotniczych czy też pogodzie. W całym mieście dostępne będzie darmowe, bardzo szybkie Wi-Fi.

W nowej metropolii powstają nowoczesna sieć tramwajowa, system wodnych taksówek, a także ścieżki rowerowe. Poszukiwanie najdogodniejszego środka transportu ma ułatwić specjalna aplikacja. Właściciele samochodów skorzystają z kolei z systemów sterowania ruchem, które mają zapobiegać korkom, a także z aplikacji, które nie tylko wskazują dostępne miejsca parkingowe w okolicy, lecz także pozwalają je zarezerwować.

„Inteligentne" mają być zarówno domy czy biurowce korzystające z odnawialnej energii i automatycznie sterujące oświetleniem czy klimatyzacją (co ma pozwolić na oszczędności rzędu 32 proc.), jak i systemy podlewania miejskich trawników, ulicznego oświetlenia czy miejskiego monitoringu. Śmieci będą zbierane automatycznie za pomocą systemu pneumatycznej zbiórki odpadów. Miasto ma być też wyposażone w tysiące skanerów, kamer i czujników. Za sterowanie inteligentnymi rozwiązaniami odpowiedzialni będą pracownicy „centrum dowodzenia i kontroli" miasta. To do nich będą trafiać informacje o wypadkach drogowych – automatycznie wykrywanych przez system tysiąca kamer.

W sercu nowego miasta – przewidzianego na 200 tys. mieszkańców – budowany jest już Lusail Iconic Stadium, zaprojektowany przez słynnego brytyjskiego architekta Normana Fostera. Miasto ma być gotowe najpóźniej w 2022 r., bo wówczas w Katarze odbędą się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Na Lusail Iconic Stadium – największym tego typu obiekcie na Bliskim Wschodzie, który będzie mógł pomieścić ok. 90 tys. kibiców – rozegrane zostaną zarówno mecz otwarcia, jak i finał mundialu.

Cel jest ambitny, ale wydaje się realny, bo Katar nie żałuje pieniędzy na inwestycje. Szacuje się, że pół miliona dolarów Katarczycy zainwestowali tylko w technologię wywoływania chmur, które mają chronić kibiców, a w przyszłości także mieszkańców przed zbyt ostrym słońcem.

Katarczycy mają jednak problem wizerunkowy – wielu robotników budujących Lusail skarży się bowiem, że są traktowani niczym niewolnicy.

ZALESIONY SINGAPUR

Dwa razy więcej niż Lusail – czyli 100 mld dol. – ma kosztować realizacja projektu Leśne Miasto. Zbudowana od podstaw w Malezji metropolia będzie przypominać miejską dżunglę: drzewa mają wyrastać z dachów i balkonów. Zieleń oplecie też ściany budynków. Planowane na 700 tys. mieszkańców Forest City ma być bowiem metropolią ekologiczną i zeroemisyjną. Powstające na czterech sztucznych wyspach miasto – które ostatecznie ukończone ma być w roku 2040 – jest budowane na kilku poziomach. Drogi oraz parkingi planowane są pod ziemią, na powierzchni będą mogli się poruszać jedynie rowerzyści oraz piesi.

Inteligentne metropolie powstają też w USA. Twórcy Union Point – miasta budowanego od zera na terenie zamkniętego lotniska wojskowego niedaleko Bostonu – planują, że jego mieszkańcy będą spacerować po podgrzewanych chodnikach, a na dalsze odległości wozić ich będą autonomiczne autobusy. Na dachach obiektów przemysłowych, galerii handlowych oraz apartamentowców mają powstać panele fotowoltaiczne, a w obrębie miasta zbudowana zostanie także duża farma solarna, której zadaniem będzie dostarczanie energii potrzebnej m.in. do oświetlenia ulic. Koszt projektu szacowany jest na 15 mld dol.

Podobne projekty nie są jednak wcale skazane na sukces. Deweloperzy pamiętają o takich miastach jak zbudowane za 40 mld dol. południowokoreańskie Songdo czy też stworzone od zera w Zjednoczonych Emiratach Arabskich Masdar City, które energię czerpie wyłącznie ze źródeł odnawialnych. Chociaż oba są naszpikowane technologiami przyszłości, to nie potrafią przyciągnąć do siebie wystarczającej liczby przedsiębiorców oraz mieszkańców. I jeśli nic się nie zmieni, to staną się nowoczesnymi miastami duchów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska – rajem bez PIT?

Dwa i pół roku temu w tym miejscu („Do Rzeczy", nr 29/2016) nalegałem, by w staraniach o lepszą przyszłość demograficzną Polski, rysującą się w czarnych barwach, nie zapominać o 2,5 mln Polaków, którzy ostatnimi laty rozpierzchli się, głównie po Europie, i przygotować dla nich zestaw przywilejów, które skusiłyby ich do powrotu do ojczyzny. I oto minister przedsiębiorczości Jadwiga Emilewicz zdradziła, że rząd pracuje nad takimi zachętami, ujawniając przy tym jedynie, iż mają to być ulgi podatkowe, a nie dodatki socjalne.

Jak daleko odważy się w tej sprawie posunąć polski rząd? Tak daleko jak portugalski czy dalej? Portugalski – przypomniała „Rzeczpospolita" – przyznał wracającym z emigracji w pierwszym roku i przez kolejne cztery lata prawo do płacenia o połowę niższego PIT. W przypadku Polski taki krok mógłby się okazać niewystarczający, dlatego w 2016 r. sugerowałem, byśmy kusili rodaków do powrotu potraktowaniem ich tak, jak traktuje się u nas rolników – i na zawsze zwolnili ich z obowiązku uiszczania podatku od dochodów osobistych PIT.

Czy taka oferta dla Polaków, którzy wróciliby z emigracji i od tej pory wzbogacali swą pracą siebie i Polskę (zamiast siebie i Wielką Brytanię czy Niemcy), nie brzmiałaby zachęcająco? Na tyle zachęcająco, by naprawdę dużą część z nich skłonić do powrotu? Jeśli zaś idzie o kasę państwa, to co prawda na operacji tej nie zyskałaby ona na PIT – bo niepłacący go dziś w Polsce po powrocie do kraju nadal by go nie uiszczali – ale za to trafiałoby do niej więcej pieniędzy dzięki płaconym przez nich innym podatkom, w tym VAT i akcyzie, oraz przeróżnym składkom, np. do ZUS i NFZ.

Pytanie, jak ów przywilej reemigrantów przyjęliby ci, którzy nigdy nie wyemigrowali, a więc nie mogliby z niego skorzystać. Z jednej strony jakoś znoszą oni setki przywilejów rolników, górników, policjantów itd. Z drugiej w tym przypadku mogłoby im to przyjść dużo trudniej. I właśnie dlatego warto rozważyć darowanie – choćby z czasem – obowiązku płacenia PIT wszystkim Polakom; tym bardziej że rząd PiS właśnie zapowiedział zrobienie kroku w tym kierunku i zwolnienie z obowiązku uiszczania PIT Polaków do 26. roku życia.

To prawda: na starcie operacja taka kosztowałaby budżet państwa „małe co nieco" – wszelako i tak mniej od programu „500+" w nowej wersji, czyli z 500 zł dla każdego dziecka. I, to fakt, pieniędzy na to w budżecie na razie nie ma – jednak nie bardziej niż nie ma tam pieniędzy także na rozszerzenie programu „500+". Za to demograficzny efekt byłby na pewno większy i natychmiastowy. W końcu w takiej Polsce, w Polsce bez PIT dla każdego, a nie tylko dla rolników, każdy Polak chciałby żyć – czyli pracować i mieć rodzinę. A na początek co najmniej milion spośród 2,5 mln najnowszych polskich emigrantów. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Zakorkowane miasta i smog

Wraz ze wzrostem zamożności Polaków rośnie liczba samochodów na ulicach miast. To z kolei powoduje potężne korki, wydłużenie i nieprzewidywalność czasu dojazdu, więcej stresów i wzrost stężenia szkodliwych zanieczyszczeń w powietrzu. W Warszawie nawet korzystanie z metra stało się uciążliwe, bo bardzo trudno zaparkować samochód w pobliżu stacji, a w centrum w godzinach pracy często wymaga to długiego krążenia wokół docelowego miejsca pracy lub spotkania. W efekcie rocznie mamy miliardy złotych strat z powodu straconego czasu i zdrowia. Problem zostanie rozwiązany za jakieś 20 lat dzięki autonomicznym współdzielonym pojazdom. No dobrze, ale co można zrobić już teraz, żeby rozwiązać problem korków?

To wymaga wielu działań naraz: stworzenia bardziej efektywnej sieci transportu publicznego, budowy nowych dróg (np. obwodnic miast), zakazu korzystania z silników niespełniających norm emisji spalin. Te działania są już prowadzone i jak widać, zamiast lepiej jest coraz gorzej, korki i smog są coraz bardziej uciążliwe. Dlatego w wielu miastach czas na radykalne działania, które przyniosą ulgę ich mieszkańcom.

Te działania mieszczą się w dwóch obszarach: (1) zmniejszenie popytu na jazdę samochodem po mieście i (2) nowe technologie racjonalizujące samochodowy ruch miejski. Popyt na jazdę samochodem spada, gdy rośnie koszt tej jazdy. Najprostszym sposobem podniesienia kosztu poruszania się samochodem po mieście jest radykalne podniesienie cen za parkowanie. Na przykład w strefach szczególnie zatłoczonych trzykrotnie, w pozostałych strefach – dwukrotnie. Ponadto mieszkańcy w najdroższych płatnych strefach zamiast bezpłatnego parkowania w godzinach szczytu mogliby mieć zniżkę w wysokości 50 proc. To spowodowałoby jednoczesne radykalne ograniczenie liczby osób, które jadą samochodem do miasta na cały dzień, oraz wzrost liczby dostępnych miejsc parkingowych w centrum. Efektem ubocznym byłby wzrost dochodów miasta.

Można jednocześnie zacząć wdrażać nowe technologie, aby rozwiązać problem korków i braku miejsc do parkowania. Na przykład system kamer miejskich wsparty technologią rozpoznawania obrazu za pomocą głębokich sieci neuronowych mógłby służyć do automatycznego rozpoznawania numerów rejestracyjnych i liczby osób w samochodzie. Alternatywnie można analizować ruch telefonów komórkowych. Oba podejścia mogłyby pozwolić na personalizację opłat za poruszanie się samochodem po mieście, np. osoba, która jedzie sama, płaci więcej niż osoba, która wiezie ze sobą pasażerów.

Jest wiele możliwości uwolnienia miast od koszmaru korków i smogu. Czas na działanie. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 5ea8026dbc

TRE MONTI
SKI & BIKE RESORT

NAJLEPSZA INWESTYCJA W CENTRUM KARPACZA!

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!

130 przestronnych apartamentów

30 dni pobytu właścicielskiego

Bogata infrastruktura i atrakcje regionu

Lokalizacja w centrum Karpacza – idealna do inwestowania

wprost NIERUCHOMOŚCI

numer telefonu
22 299 00 22

sprzedaz@tremonti.pl

www.tremonti.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Prawnego.

TEST „DO RZECZY": LENOVO YOGA 920-13

Świetna jakość wykonania, duży dotykowy wyświetlacz i dobra bateria – to największe zalety jednego z najciekawszych konwertowalnych laptopów dostępnych obecnie na rynku.

Obudowa wykonana z aluminium oraz ze szkła wygląda smukło i elegancko. Zarówno jakość użytych materiałów, jak i sposób ich zmontowania są na wysokim poziomie. Ramki matrycy są bardzo wąskie, dzięki czemu chińskim konstruktorom udało się zmieścić w tym modelu ważącym niecałe 1,4 kg ekran o przekątnej 13,9 cala. To pierwsza przewaga Lenovo nad konkurentami takimi jak Asus Zenbook czy HP Spectre, którzy oferują laptopy z wyświetlaczem o przekątnej 13,3 cala.

Matryca IPS o rozdzielczości 3840 x 2160 jest dotykowa – komputer można więc obsługiwać zarówno palcem, jak i specjalnym piórkiem. Pokrycie barw jest dobre. Na pochwałę zasługuje również maksymalna jasność. Ekran z powodzeniem sprawdzi się więc zarówno w pracy, jak i do domowej/podróżnej rozrywki.

Aby laptop w każdej chwili można było przekształcić w tablet, inżynierowie zastosowali zawias bransoletkowy, który pozwala odchylić wyświetlacz o 360 stopni.

Wygodna klawiatura ma dwustopniowe podświetlenie, a tuż pod nią znajduje się czytnik linii papilarnych, który ułatwia bezpieczne logowanie bez konieczności zapamiętywania złożonych haseł. Niektórym przeszkadzać będą ostre krawędzie obudowy, które po wielogodzinnym pisaniu na klawiaturze mogą zacząć wrzynać się w nadgarstki.

System audio stanowią dwa głośniki JBL (2 x 1,5 W) – jak można się spodziewać po ultrabooku, ich brzmienie jednak nie zachwyca.

Zaletą testowanego laptopa jest jego wydajność. Procesor Intel Core i7-8550U oraz 16 GB pamięci operacyjnej w połączeniu z szybkim dyskiem SSD pozwalają nie tylko szybko odpalać kolejne arkusze kalkulacyjne, lecz także spróbować sił w edycji zdjęć oraz filmów, a nawet pobawić się mniej wymagającymi grami.

Na pochwałę zasługuje także duża bateria, dzięki której na laptopie wyposażonym w ekran 4K na jednym ładowaniu możemy oglądać filmy przez blisko osiem godzin.

Wadą może być niewielka liczba złączy. Na szczęście mamy jednak oba typy portów USB, co pozwoli np. na używanie zarówno nowych, jak i starszych pendrive'ów. Z lewej do dyspozycji są dwa porty USB 3.1 typu C z interfejsem Thunderbolt, a z prawej USB 3.0. Aby podłączyć kabel HDMI, trzeba już jednak zaopatrzyć się w przejściówkę, której w zestawie próżno szukać.

Cena: 7250 zł. ©℗

Jacek Przybylski

TROCHĘ WIĘCEJ STYLU

Jeździsz na rowerze i masz dość niewygodnych najczęściej, mało estetycznych kasków, które sprawiają, że wyglądasz jak zmutowany dinozaur ze zrogowaciałą czaszką? Jest szansa na dobrą zmianę. Firma Park & Diamond ze Stanów wypuściła nowy rodzaj ochraniaczy na głowę dla rowerzystów. Są one czymś w rodzaju skrzyżowania czapeczki baseballowej i czako używanego przez miłośników jazdy konnej.

Gadżet o nazwie Park & Diamond: Foldable Bike Helmet to kask rowerowy spełniający amerykańskie normy bezpieczeństwa, który w dodatku można ładnie złożyć i schować do plecaka. Cały bajer polega na tym, że składany kompozytowy hełm ochronny jest obszyty wysokiej jakości skórą wypreparowaną tak, by można ją było prać, a także by zachowywała swoje właściwości nawet po wielokrotnym złożeniu. W dodatku rzeczony, ukryty pod materiałem kask wykonany jest z wielu geometrycznych elementów, które – zazębiając się – pochłaniają i przenoszą na siebie energię uderzenia.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Składany kask Park & Diamond będzie dostępny w trzech rozmiarach dla dorosłych (S, M, L), a jego deklarowana waga wynosi ok. 230 g. Zamawiać go można na portalu Indiegogo w cenie ok. 450 zł, ale z dostawą dopiero w sierpniu.

PRAWIE JAK SPA

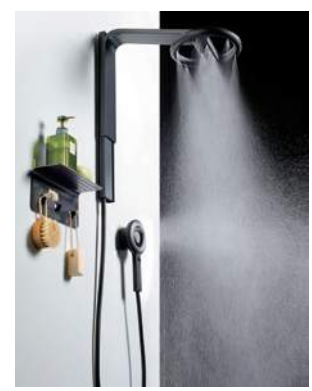

„Chciałbym cię mydlić mydełkiem Fa, byłoby fajnie, szabadabada" – pamiętacie starego hiciora Marka Kondrata i Magdaleny Drozdowskiej? Trudno nie pamiętać. Teraz możecie sobie go nucić również w wyśmienitych warunkach i to bynajmniej nie potrzebując do tego teledyskowego domku z Drewbudu ani wypasionej wanny. Czego w takim razie potrzeba? Drobnego łazienkowego remontu i zainstalowania Nebia Spa Shower 2.0.

Producenci przekonują, że korzystając z tego nowoczesnego prysznica, można całkowicie „zanurzyć się w wodzie" i umyć w „czasie nie dłuższym, niż potrzebny jest do zaśpiewania jednej piosenki", zaoszczędzając przy tym sporo wody. Planety w ten sposób – wbrew zapewnieniom ekologów – nie ocalimy, ale może to korzystnie odbić się na naszych rachunkach.

Generalnie tajemnica skuteczności Nebia Spa Shower 2.0 kryje się w procesie atomizacji, czyli rozdrabnianiu wody na maleńkie kropelki, co ma powodować, że ta sama ilość wody będzie w stanie objąć i nawilżyć większą powierzchnię ciała, stwarzając przy tym efekt strumieni wody spadających z taką intensywnością, by jednocześnie masować ciało. Kąt i wysokość prysznica można ustawić tak, by uniknąć np. nawilżania włosów.

Ów nowoczesny prysznic ma kosztować ok. 1,1 tys. zł. Można zamówić na Kickstarterze, dostawa zaplanowana jest na czerwiec. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 5ea8026dbc

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

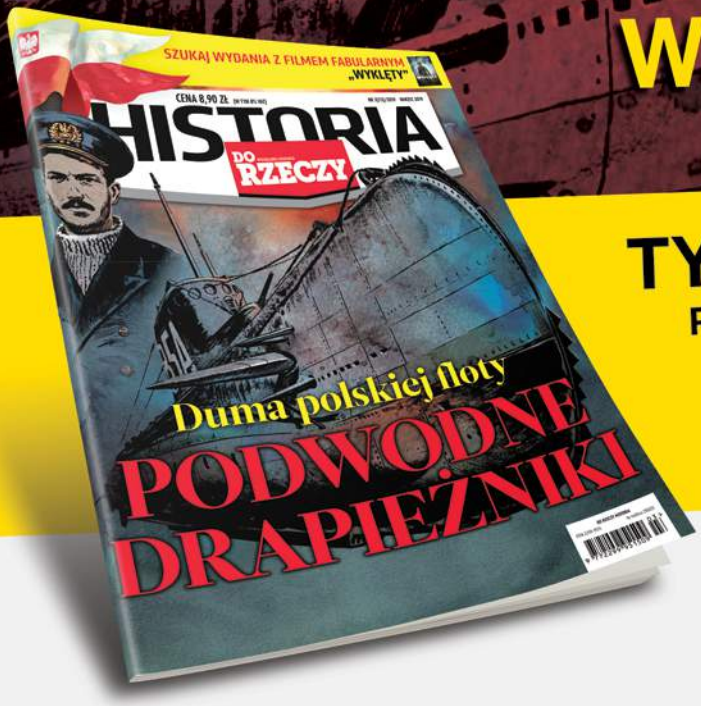

TYLKO U NAS!

POSZUKIWACZE WRAKÓW ZATOPIONYCH OKRĘTÓW.
SENSACYJNA ROZMOWA Z PROF. TIMMYM GABINEM.

Mariusz Borowiak – **Boje polskich okrętów podwodnych**
Tomasz Stańczyk – **„Straszne bliźniaki" atakują**
Sławomir Koper – **Błędy akcji na Kutscherę**
Gerald Posner – **Dzieci Mengelego, Himmlera i Göringa**
Piotr Zychowicz – **Wielka afera okupowanej Warszawy**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Anglicy skrzywdzili polskiego oficera**
Mikołaj Iwanow – **Tajemnica śmierci Berii**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5ea8026dbc

Joanna Bojańczyk

Męskie ubranie?

Mężczyźni zakładają garnitur już tylko na specjalne okazje. W zamian oferuje się im plisowane spódnice, nadmuchiwane getry czy kombinezony w kwiatki

Co można powiedzieć o męskim ubraniu? Marynarka, koszula, krawat – stwierdził kiedyś na męskich pokazach mody Michael Roberts, redaktor mody miesięcznika „Vanity Fair". To był oczywiście żart – każdy, kto widział kiedykolwiek pokaz mody męskiej, odniesie wrażenie, że garnitur to już artykuł démodé. Przynajmniej garnitur w wersji ortodoksyjnej. Szary, granatowy, z gładkiej wełny, z kamizelką. Taki, jaki coraz częściej mężczyźni sprawiają sobie już tylko na maturę, ślub, rocznicę... Na co dzień go nie noszą.

„Garnitur staje się powoli ubraniem na specjalne okazje. Coś takiego jak codzienny garnitur jest domeną kurczącej się liczby zawodów, w których wizerunek i szacunek dla drugiej osoby wciąż się liczą, a w których przyjęło się, że manifestuje się go również przez ubiór" – pisze Wojciech Szarski, autor bloga o modzie męskiej Macaroni Tomato.

Jest już pokolenie, dla którego garnitur szyty na miarę jest abstrakcją. Dwudziesto-, trzydziestolatkowie znają tylko trzy rozmiary: S, M i L. Całe życie chodzili w dżinsach i bluzie. I tak to wygląda, gdy spojrzeć na nasze ulice. A w wielu biurach i korporacjach też przychodzi się do pracy na luzie. Zapoczątkowany przez informatyków z Kalifornii rozbiór męskiego ubrania stał się faktem.

ODWAGA POSZUKIWANA

Więc co w zamian? Oferta jest ogromna, potrzebna tylko odwaga, żeby ją wprowadzić w życie. Pokazy mody męskiej – jeszcze w latach 90. mało interesujące i nieliczne – teraz stały się feerią pomysłów i fantazji, czasem naprawdę całkowicie „odjechanych". Zwłaszcza pokazy w Paryżu.

W tym roku wydarzenie trafiło na polityczne oko cyklonu: wielotysięczne manifestacje żółtych kamizelek przeciwko elitom i prezydentowi Macronowi. Przemysł artykułów luksusowych, jedno z naj-

FOT. GONZALO FUENTES/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 5ea8026dbc

ważniejszych źródeł francuskiego importu, jest na celowniku manifestantów. Uważają go za jeden z symboli zdegenerowanego systemu, pękniętej Francji, przywilej bogatych elit, na który nie stać zbiedniałej klasy pracującej. Atakowano luksusowe sklepy, m.in. sklep Diora na Polach Elizejskich, z którego ukradziono towary za milion euro. Jak widać, przeciwnicy luksusu aż tak bardzo nim nie gardzą...

Na paryskich pokazach kreatorzy jeszcze nie każą nosić panom wysokich obcasów, ale reszta propozycji wygląda tak, że tylko twarz modela daje poszlakę, iż prezentowane są ubrania męskie. Plisowana spódnica (Louis Vuitton), nadmuchiwane getry (Thom Browne), kombinezon w kwiatki (Angus Chiang). Mamy wszystkie atrakcje właściwe dotąd modzie damskiej: kolor, fantazyjne połączenia, delikatne materiały.

Jeśli chodzi o sylwetkę, są dwie tendencje. Pierwsza to ubrania przeskalowane, namioty, w których modele toną. Olbrzymie marynarki, spodnie o nogawce szerokości 50 cm – prawie spódnice, szale wielkości prześcieradła, poncza, wielkie peleryny. W tych fasonach przejawia się wpływ mody raperów, ale nie należy interpretować ich dosłownie. Ekstremalna skala to tylko na pokaz. Granatowy kombinezon z ultraszerokimi spodniami i dwukolorową górą (Yamamoto) czy ponczo w olbrzymią kartę (Burberry) wyglądają efektownie na wybiegu, ale czy rzeczywiście znajdą chętnych? Pozostaje nadzieja, że wybieg jest zawsze ekstremalny – to, co trafia do sklepów, uszyte jest prościej, zgodnie z oczekiwaniami klientów.

Przeciwstawną do oversize tendencją są ubrania dopasowane do sylwetki, wręcz obcisłe. To nic nowego, modę tę zapoczątkował projektant męskiej kolekcji Diora Hedi Slimane już kilkanaście lat temu. Pokazał ubrania tak obcisłe, jakich mężczyźni jeszcze nie widzieli. Sprzyjała im fala sfeminizowanej mody metroseksualnej. I chociaż metroseksualni dzisiaj są już historią, to męski garnitur przez ostatnich 15 lat znacznie wyszczuplał. Schudł również dlatego, że w XXI w. męska sylwetka zaczęła podlegać takim samym wymaganiom jak damska. Nadwaga to kompromitacja, mężczyźni odchudzają się równie obsesyjnie jak kobiety.

Szczupłej linii wierna jest stara gwardia Francuzów: Dior, Lanvin, Hermes, ale także klasycy włoscy: Armani, Ermenegildo Zegna, Dolce & Gabbana. Ten ostatni to marka o dwóch obliczach. Z jednej strony producent masowego lukschłamu typu paski, czapki, T-shirty, skarpetki. Z drugiej – pełen rozmachu twórca wspaniałych kreacji. Głównie festiwalowych. W dyscyplinie męskiej w tym roku duet D&G pokazał haftowane złotem marynarki, smokingi, garnitury z brokatu i lamy. Niektóre przepiękne, ale kto je włoży? Hollywoodzki gwiazdor lub saudyjski szejk.

W każdym razie widać, że do przeszłości należą czasy, kiedy mężczyźni nosili tylko dyskretne ubrania w ciemnych kolorach. Haftowane złotem marynarki D&G to nie ekstremum, wzory kwiatowe, geometryczne, abstrakcyjne, graffiti obecne są w ubraniu męskim na równi z kobiecym. W koszulach całodziennych, nie tylko hawajskich, w kurtkach, nawet garniturach. Różowe koszule parę lat temu wywalczyły sobie masowe uznanie, w tym roku na czoło wybija się kolor żółty.

PITTI UOMO

Jednak to nie Paryż uchodzi w branży za stolicę męskiej mody. Matecznikiem klasyki pozostaje Londyn, ale generator stylu znajduje się we Włoszech. Łatwo to zrozumieć. Każdy, kto podróżował po Włoszech, wie, że tam każdy sprzedawca pomidorów potrafi się ubrać. Do kuchni i do mody Italia ma serce jak żaden inny kraj. Obca jest jej fascynacja głupawymi nowinkami, ma wspaniałe rzemiosło i świetnych krawców. Żeby to wszystko zobaczyć, należy udać się do Florencji.

Salon mody męskiej Pitti Uomo, który odbywa się co roku jesienią w Palazzo Pitti, właściwie nie jest pokazem mody, tylko imprezą handlową, na której wystawcy pokazują towary, a sklepy je zamawiają. Jednak powiedzenie, że nie jest to pokaz mody, nie byłoby całkiem ścisłe.

Florencka impreza gromadzi najelegantszych mężczyzn z Włoch i ze świata. Prezentują tam modę na żywo, nie na modelach. Ze smakiem i wyczuciem stylu tłumaczą na język ubrania aktualne trendy, a często je wyprzedzają. Zdjęcia z tego wydarzenia pokazują portale i media poświęcone modzie, nie tylko męskiej, bo zważywszy, jak bardzo dwa „dżendery" upodobniły się do siebie, kobiety także są ciekawe, co tu się dzieje.

Wydaje się, że dobrze się ubrać to żadna sztuka, wystarczy parę rzeczy zestawić ze sobą. Problem polega na tym, jak to zrobić. Na pewno w sposób nieoczekiwany. Dwie lub więcej różnych krat, w zharmonizowanej tonacji: marynarka, płaszcz, szalik. Kurtka puchówka z zarzuconą zamiast szala (niby niedbale) dżinsową kurtką; ta sama dżinsowa kurtka włożona pod marynarkę. Pod „krawiecką", dopasowaną marynarką kolorowy (oczywiście bardzo markowy) T-shirt.

Okazuje się, że wzorzysty sweter niekoniecznie musi się kojarzyć z tureckim bazarem, a buty typu derby (półbuty z dziurkami) można nosić do kolorowych skarpetek, przykrótkich spodni albo nawet szortów. O tym, że kolorowe skarpetki przeszły do mainstreamu, świadczy przykład Justina Trudeau, który miał je na nogach w zeszłym roku na Forum Ekonomicznym w Davos. W czerwonych skarpetkach i przykrótkich spodniach wystąpił ostatnio nasz świetny kontratenor Jan Józef Orliński na koncercie w Filharmonii Narodowej. Przełamał obowiązkową filharmoniczną czerń.

Chyba wszyscy już zauważyli, że sportowe buty nosi się teraz do wszystkiego z garniturem włącznie. Podobnie czapkę bejsbolówkę. To już nurt główny, nie awangarda. Koszula zapięta pod szyję bez krawata bardziej konserwatywnym gustom może się wydać rozwiązaniem trudnym (w celu podkreślenia swojej chłopskości taką nosił premier Wincenty Witos), jednak pokazują je takie marki jak Balenciaga czy Dolce & Gabbana. Na ulicach Florencji również zaobserwowane...

Do przeszłości należą już czasy, kiedy mężczyźni nosili tylko dyskretne ubrania w czarnych kolorach

Silnie obecny w modzie użytkowej jest trend zainspirowany częścią pokolenia lat 90., tzw. vexed generation. Ci obrażeni, wściekli na cywilizację XXI w. kontestatorzy, aktywiści, uczestnicy antysystemowych protestów wnieśli swój wkład także do mody. To wszelkiego rodzaju ubrania typu ochronnego – kurtki parki, skafandry, kaptury typu ninja (Juun.J). Można się pod nimi ukryć. Kojarzą się z zamaskowanym zbirem albo pracownikiem drogowym, ale moda na takie rzeczy nie zwraca uwagi.

Żółte kamizelki, o ile wiem, jeszcze nie objawiły się na wybiegach mody. Ale prędzej czy później to nastąpi. Wszystko przed nami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

Życie wewnętrzne klasztoru

Z Dom Antoine'em Forgeotem, opatem seniorem benedyktynów w Fontgombault
rozmawia Paweł Milcarek

FOT. PAWEŁ KULA

PAWEŁ MILCAREK: Ile czasu jest przewidziane na modlitwę mnichów w ojca opactwie?

DOM ANTOINE FORGEOT: Trochę ponad pięć godzin. Zaczynamy od jutrzni i laudesów, które trwają średnio godzinę i trzy kwadranse.

To najdłuższa część codziennej służby Bożej?

Tak, najdłuższa. Następnie każdy kapłan odprawia mszę prywatną, do której służy brat zakonnik. Msza, po niej dziękczynienie – to zabiera ok. godziny. Potem pryma, na którą trzeba liczyć mniej więcej pół godziny. Msza konwentualna, poprzedzona tercją, zajmuje trochę ponad godzinę. Następnie dwie inne małe godziny: seksta i nona – każda po kwadransie. Nieszpory trwają mniej więcej pół godziny, zależnie od długości psalmów. Dzień kończy się kompletą, która zajmuje pół godziny.

Gdy podsumujemy, wychodzi mniej więcej pięć godzin i trzy kwadranse. Jednak to tylko oficjum publiczne.

Tak, to oficjum publiczne, do którego trzeba dodać czas modlitwy prywatnej: mamy odbyć półgodzinne rozmyślanie i odmówić Różaniec.

Rozmyślanie jest czymś odrębnym od Różańca?

Tak, to oddzielne modlitwy. Rozmyślanie odprawia się albo bezpośrednio przed nieszporami, albo bezpośrednio po nich. Natomiast Różaniec – często po kolacji, przed kompletą. Jednak to już są modlitwy prywatne.

W soborowej „Konstytucji o liturgii świętej" czytamy, że liturgia jest „szczytem i źródłem" życia chrześcijańskiego. Czy ojciec sądzi, że ta zasada zdążyła się już upowszechnić w praktyce życia Kościoła? Z przekonania, że liturgia jest jakby prawdziwym centrum życia każdego chrześcijanina, powinien wyniknąć najwyższy szacunek dla kultu Bożego we wspólnocie kościelnej.

Być może nie zawsze tak się to formułuje, ale myślę, że jest to zasada o najwyższym znaczeniu, sięgająca początków Kościoła. Pierwsi chrześcijanie „trwali w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwach" (Dz 2, 42). Szczytem liturgii jest Najświętsza Ofiara Mszy, która jest rzeczywiście niewyczerpanym źródłem życia Kościoła. Papież Benedykt XVI powiedział, że od początku jego studiów teologicznych myśl o kwestii liturgicznej zawsze mu towarzyszyła, ponieważ – jak mówi – liturgia wyraża drogę duszy do Boga, co jest rzeczą zasadniczą: jesteśmy na ziemi, aby iść do Boga: fecisti nos ad Te Deus („Stworzyłeś nas jako skierowanych ku Tobie, Boże").

Tak, we wstępie do swoich pism liturgicznych Benedykt XVI mówi, że to jest prawdziwa ortodoksja. Często pojmuje się ortodoksję jako zbiór przekonań, prawd. I słusznie. Jednak Benedykt XVI podkreśla, że ortodoksję stanowi przede wszystkim właściwy sposób czci Bożej, prawda człowieka sprawującego kult przed Bogiem.

Lex orandi, lex credendi! Tak. Można do tego odnieść to, co jasno mówi w swojej książce „Duch liturgii" o participatio actu-

eprasa.pl 5ea8026dbc

osa. Są tam trzy czy cztery strony, na których wspaniale zostało wyjaśnione, czym jest to participatio i w czym uczestniczymy. Otóż uczestniczymy w dziele Boga, w Jego działaniu. To Bóg działa w liturgii i przez liturgię. To wymaga od wiernych pewnych dyspozycji: skupienia, uwagi, ducha modlitwy i adoracji, aby przybliżyć się choć trochę do tego Bożego dzieła.

Gdy mówimy o uczestnictwie, najważniejszy jest cel naszego działania. Zbyt często mówi się o uczestnictwie jako o sposobie robienia czegoś.

Tak, Ojciec Święty też o tym mówi. Ludzkie działanie odgrywa rolę, ale powinno pozostać na swoim miejscu, z umiarem, z rozumnym wyczuciem. Wielki kard. Journet napisał kiedyś: „Chociaż wyrażenie »uczestnictwo aktywne« jest powszechnie rozumiane jako uczestnictwo manifestowane zewnętrznie, należy zauważyć, że z punktu widzenia uczestnictwa w życiu liturgicznym Kościoła, słuchanie czy uchem, czy sercem, jest naprawdę tak samo aktywne jak mówienie".

No tak, można to aktywne uczestnictwo doprowadzić aż do pląsów wokół ołtarza...

Tak, wielkim niebezpieczeństwem jest uczynienie z liturgii przedstawienia, podczas gdy celebracja liturgiczna powinna być bardzo skupiona i wewnętrzna. Chrześcijanie wschodni celebrują misteria wiary za ikonostasem, w świętej ciszy.

Często wydaje mi się, że w tej części liturgii, która rzeczywiście przewiduje participatio actuosa wiernych, robi się wiele dobrych rzeczy, które jednak stają się substytutem liturgii.

Wtedy ryzykuje się przejście obok tego, co istotne.

Mam wrażenie, że w liturgii wszystko jest zaczerpnięte z ludzkiego ziemskiego życia, ale wszystko też nabiera nowego znaczenia: postawy, gesty, przemieszczanie się, używanie określonych przedmiotów, wszystko tak precyzyjnie określone...

Wszystko to jest przeżywane w świetle wiary, która pozwala dostrzec coś z misterium, które celebrujemy. To z kolei sprawia, że jesteśmy bardziej skupieni na tym, co wykonujemy.

To trochę tak jak z monstrancją: wiele promieni koncentruje naszą uwagę...

Na unum necessarium, na tym jednym, co jest najważniejsze.

DOM ANTOINE FORGEOT „Z CAŁĄ PROSTOTĄ" WYDAWNICTWO DĘBOGÓRA 2018

Tę sakralizację, to skumulowanie rzeczy i gestów świętych, często uznawano jednak za obcą duchowi prostoty Nowego Testamentu.

To prawda, że w historii Kościoła i liturgii były reformy albo adaptacje, i często, gdy było zbyt wiele kwiecistości, trzeba było nieco ją przyciąć. Robił to np. św. Pius X. Jasne jest, że po Soborze Watykańskim II chciano uczynić to samo, ale zrobiono to w zupełnie innej manierze, która w żadnej mierze nie jest zgodna z tradycją. Dom Guéranger napisał kiedyś, że gdy zdarzały się modyfikacje w liturgii, były one takie, że można było je nanieść na używane księgi liturgiczne: coś wykreślano albo coś dodawano, tak jak np. Jan XXIII dodał św. Józefa do Kanonu Mszy św., ale księgi pozostawały te same.

W posoborowej reformie liturgii wyraźnie widać, że nie była to zmiana, ale raczej zerwanie, zupełnie nowy sposób patrzenia

Mam wrażenie, że zanurzenie w liturgii, i szerzej – w całej tradycji monastycznej, która przecież w zasadniczy sposób wpłynęła na liturgię Kościoła i jej rytuały, powoduje zmianę perspektywy, zmianę hierarchii ważności spraw, o które toczy się spór. Okazuje się, że ważne jest nie tylko to, co się słyszy, i język, jaki się słyszy. Może nawet ważniejsze jest to, co się widzi, ogląda, czuje. Przypominam sobie słowa Romano Guardiniego do uczestników Trzeciego Kongresu Liturgicznego w Moguncji w 1964 r., że prawdziwego uczestnictwa w liturgii doświadczył kiedyś w katedrze w Palermo, gdzie ludzie „tylko" w sposób zaangażowany patrzyli na to, co się działo. To było według Guardiniego rzeczywiście aktywne uczestnictwo.

Właśnie tak. Trzeba dodać, że patrzenie na ołtarz to patrzenie na Pana, który wyznacza orientację celebracji, do tego stopnia, że w starożytności, gdy kościoły nie były orientowane, a tak było np. w przypadku kościoła św. Piotra w Rzymie, w momencie rozpoczynania Kanonu wszyscy zwracali się w kierunku wschodnim. Wierni obracali się plecami do kapłana...

Ale za to „versus Dominum", w kierunku Pana. Wy także jesteście wierni tej starożytnej i cennej tradycji liturgicznej. W ogóle w dawniejszej formie rytu rzymskiego, która dziś często nazywana jest formą nadzwyczajną, całe bogactwo liturgii jest bardziej widoczne niż w formie nowszej.

Przede wszystkim nie należy przeciwstawiać sobie tych dwóch form. Obie są dobre, chociaż jedna z nich, nie można temu zaprzeczyć, jest nieporównanie bogatsza w wyrażaniu doktryny i pobożności. Jednak w tym, co należy do istoty, w obu formach jest to msza katolicka, jest to Ofiara Chrystusa, która jest uobecniana na ołtarzu. Oczywiście, wokół tej istoty przez lata i wieki nagromadziły się skarby tradycji...

Profesor Robert Spaemann zwrócił kiedyś uwagę, że w zwykłym biegu rzeczy liturgia, owszem, zmienia się, ale w jednym pokoleniu nie zdajemy sobie z tego sprawy, nie powinniśmy tego zauważać. Widać tę niewielką zmianę dopiero z perspektywy następnych pokoleń.

Tak. W posoborowej reformie liturgii wyraźnie widać, że nie była to zmiana, ale raczej zerwanie, zupełnie nowy sposób patrzenia na liturgię i jej pojmowania. To prawda, często reformy liturgiczne bywały dość głębokie, ale nigdy nie były zerwaniem. Gdy św. Pius X reformował kalendarz, usunął z niego wielu świętych, ale wtedy widać było, że tradycja jest żywą rzeczywistością: miejsce po usuniętych świętych wypełnili nowi... Tak jak w naturze. Gdy przycina się drzewo, pojawiają się nowe pędy, które bardzo szybko rosną. Widać, że jest to to samo życie, te same siły witalne, które odnawiają wszystko. Jesteśmy świadomi tego, że strzeżemy skarbu tradycji liturgicznej jako skarbu Kościoła. Kardynał Journet mówił, że tradycja jest jak rzeka, która nieprzerwanie płynie; niekiedy zamiast rzeki są tylko wątłe strumyczki, ale to wystarczy, aby zapewnić ciągłość. Myślę, że na naszym klasztorze w momencie reformy spoczywała szczególna odpowiedzialność. Na przykład w kwestii języka liturgicznego. Jak stwierdził Sobór, łacina jest oficjalnym językiem Kościoła w jego liturgii. Jednak bardzo szybko po Soborze niektóre klasztory prosiły o zgodę na wprowadzenie do liturgii języków narodowych. Na początku papież Paweł VI mówił: „Nie, ponieważ liturgia powinna być dostosowana do zgromadzenia, które ją celebruje, a dla was, mnichów, łacina nie stanowi problemu. A jeśli przybywają do was wierni, to właśnie dlatego, że chcą ją znaleźć".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ea8026dbc

JACEK KOMUDA

GRZECHY PIASTÓW

Pachołki Zakonu

W bitwie pod Grunwaldem piastowscy książęta Mazowsza, Śląska i Pomorza brali udział po obu stronach konfliktu. Dwóch z nich – książę oleśnicki Konrad VII Biały i Kazimierz V Szczeciński – zostało uwiecznionych na płótnie Matejki. Pierwszy ukazany jest, kiedy upada z koniem w szatach ze złotogłowiu; drugi broni się mieczem, atakowany kopią przez rycerza Skarbka z Gór.

FOT. WIKIPEDIA

Konrad Biały przez całe życie lawirował pomiędzy własnym suwerenem – królem Czech, któremu składał przysięgę posłuszeństwa, królestwem polskim i Krzyżakami. Karierę dworską zaczynał wprawdzie jako paź królowej Polski Anny Cylejskiej, jednak w wielkiej wojnie opowiedział się po stronie Zakonu.

Zadebiutował w roli dyplomaty w 1409 r., kiedy jako poseł króla czeskiego Wacława przybył do Jagiełły oblegającego Bydgoszcz, domagając się zaprzestania walki i oddania sporu pod sąd rozjemczy swego pana. Pośredniczył w rokowaniach zakończonych rozejmem podpisanym 24 czerwca 1410 r., zawartym już po zdobyciu Bydgoszczy. Pod Grunwald przybył na czele własnej chorągwi rycerstwa śląskiego. Został wzięty do niewoli, jednak potraktowano go surowiej niż pozostałych gości i sojuszników krzyżackich. 16 lipca Jagiełło zaprosił go na ucztę razem z innymi znakomitymi jeńcami, jednak nie wypuszczono go jak pozostałych – za poręką i rycerską obietnicą – że stawią się w Krakowie 29 września. Księcia zatrzymano w niewoli, więziono i dopiero po roku został wykupiony przez brata. Później nie wspierał Krzyżaków. W wojnie głodowej w roku 1414 wziął udział po stronie polskiej, jednak w następnych latach znów wahał się pomiędzy Polską a Zakonem.

W 1416 r. przejął samodzielne rządy w ziemi kozielskiej i bytomskiej, później wspólnie z bratem władał księstwem oleśnickim. Jednak w całej rodzinie nastąpił zwrot prokrzyżacki. Dość powiedzieć, że jego młodszy brat Konrad VIII niespodziewanie i poniewczasie wstąpił do Zakonu (trochę tak jakby zapisał się do PZPR w 1989 r.!). Wszyscy synowie Konrada III Starego byli obecni w ceremonii przyjęcia w Malborku, w zamian za pożyczkę zawarli też układ z nowym mistrzem krzyżackim Michałem Küchmeisterem, obiecując pomoc, gdyby Zakon został zaatakowany przez Polskę lub Litwę.

W późniejszych latach książę znów kluczył. Próbował poślubić córkę Elżbiety Granowskiej z jej pierwszego małżeństwa, a w roku 1417 złożył przysięgę wierności… księciu Witoldowi. Później walczył na Śląsku z husytami, a w 1433 r. na zjeździe w Kaliszu znów zawarł układ z Jagiełłą, udzielając mu pomocy w wyprawie polsko-husyckiej na Pomorze Gdańskie i Nową Marchię. Próbował też wspierać Jagiellonów w walce o tron czeski, ale ostatecznie złożył hołd Albrechtowi II Habsburgowi. Po licznych konfliktach z bratankami o Wołów, Ścinawę i Rudną został typowo piastowsko-śląskim obyczajem pojmany w 1450 r. i uwięziony na zamku w Oleśnicy – przez Konrada IX i Konrada X, którzy odebrali mu wszystkie ziemie i miasta; zmarł zapomniany, bezdzietny w 1452 r. we Wrocławiu.

Kolejnym sojusznikiem Krzyżaków, walczącym pod Grunwaldem, był Kazimierz V Szczeciński, stojący na czele własnej chorągwi, pochodzący z rodu Gryfitów, spowinowaconych z Piastami. On również dostał się do niewoli – wypuszczony za rok za poręczeniem Bogusława VIII, księcia stargardzkiego.

O wiele silniejszą reprezentację wystawili pod Grunwaldem Piastowie mazowieccy – Siemowit IV, książę rawski, płocki i bełski, który przyprowadził własną chorągiew, wziął udział w bitwie razem ze starszym bratem Januszem, księciem czerskim. Ten ostatni był zawziętym wrogiem Krzyżaków, pierwowzorem być może w jakiejś mierze bohaterów powieści Sienkiewicza, w 1393 r. bowiem został porwany ze Złotorii przez komturów Rudolfa i Walrodota, przewieziony do Malborka i uwolniony dopiero po interwencji króla Jagiełły. Powtórnie porwano go razem z całą rodziną – żoną i synami w roku 1404, uprowadzono w głąb zakonnego państwa i zwolniono po kolejnej groźbie i interwencji dyplomatycznej króla Polski.

Po bitwie pod Grunwaldem, 16 lipca, przed ucztą Janusz Starszy na kolanach dziękował królowi Jagielle za oswobodzenie Mazowsza i Polski od niebezpieczeństwa krzyżackiego. W dowód łaski otrzymał od króla zamki w Nidzicy, Ostródzie i Olsztynie, które jednak musiał opuścić na mocy pokoju toruńskiego. W roku 1414 poparł znów króla, wysyłając na wojnę z Krzyżakami syna Bolesława. Kiedy zmarł w 1429 r., pochowano go w kościele św. Jana na Starym Mieście w Warszawie, która za jego czasów stawała się coraz silniejszym miastem. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

GRZEGORZ ŁAPANOWSKI I KULINARNA KONTRREWOLUCJA

Środowisko skupione wokół czasopisma naukowego „The Lancet" zajęło się analizą naszych przyzwyczajeń żywieniowych. Z jednej strony pod kątem naszego zdrowia, a z drugiej strony – kwestii środowiskowych. Okazuje się, że system żywieniowy jest do totalnej przebudowy. Zaczęliśmy jeść ogromne ilości mięsa, nabiału i produktów wysoko przetworzonych, a w Europie mamy dużą nadprodukcję żywności. Ze szkodą dla własnego zdrowia, środowiska naturalnego i ekonomii. Podstawą naszej diety powinny być warzywa. Dopiero dalej są produkty zbożowe, jeszcze dalej nabiałowe, a na samym końcu mięso, którego powinniśmy spożywać najmniej. Trzy czwarte, a nawet cztery piąte produktów na naszym talerzu powinno być pochodzenia roślinnego – warzywa, fasole, kasze, zioła itp., a do tego jedynie dwa–trzy plasterki smażonego czy pieczonego mięsa. Nikt nam mięsa nie zabrania, sam je uwielbiam, ale warto zachowywać odpowiednie proporcje. I taka dieta jest najzdrowsza dla ludzkiego organizmu i najlepsza dla środowiska.

Kolorowy bowl

A że żyjemy w erze mediów społecznościowych i powszechnej estetyzacji wszystkiego, to chcielibyśmy, by nasz talerz był nie tylko zdrowy, lecz także ładny i modny. Popularność zdobywa ostatnio coś, co się nazywa po prostu bowl i jest misą z różnymi rzeczami. Moda wywodzi się z Hawajów, ale możemy przygotować bowl z polskimi składnikami. Zaczynamy od treściwego wypełniacza, którym może być coś na kształt arabskiej sałatki tabbouleh (na bazie orkiszu, ciecierzycy bądź soczewicy z natką pietruszki, kolendrą, sokiem z cytryny i odrobiną oliwy). Obok w misce ląduje marchewka pokrojona en julienne z dressingiem na bazie natki pietruszki i oliwy. Dalej: jarmuż blanszowany z brukselką polany dressingiem miodowo-musztardowym; jabłko pokrojone w drobną kostkę; piklowana cebula bądź blanszowana szalotka, polana zalewą słodko-kwaśną (cukier, ocet i odrobina wody). Fajnym dopełnieniem będzie smalec z fasoli (miksujemy ugotowaną białą fasolę z usmażoną, karmelizowaną białą cebulą i jałowcem, podlewamy odrobiną wody jak humus, dodajemy olej, pieprz, sól i majeranek). Dorzucamy jeszcze trochę pieczonych orzechów laskowych i pieczone buraki pokrojone w kostkę, polane oliwą i balsamico. Do misy podajemy dwie kromki chleba. ©℗

oprac. raw

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

Grzegorz Łapanowski jest kucharzem, dziennikarzem kulinarnym, prowadzącym programy kulinarne, założycielem fundacji Szkoła na Widelcu.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Lekcja pani Madeleine

W czasie studiów spędzałam wakacje we Francji, pracując w domu zamożnej rodziny.

Państwo D. mieszkali w Paryżu, w eleganckiej siódmej dzielnicy, w obwieszonym obrazami impresjonistów apartamencie. Na lato wynajmowali dom nad morzem w Blonville-sur-Mer w Normandii i tam na dwa miesiące przenosiła się niepracująca część rodziny z dziećmi, inwentarzem w postaci szkockiego teriera oraz z kucharką Madeleine, która pracowała dla trzeciego pokolenia państwa D. Madeleine, prawie 80-letnia, mocno głucha i poruszająca się z trudem, wciąż gotowała świetnie, ale w mieszkaniu D. nie zasługiwała na więcej niż klitkę bez okna przy kuchni. Po zejściu z łóżka było tam miejsce na postawienie stóp, nic więcej.

FOT. ADOBE STOCK

Moja funkcja była czymś w rodzaju dzisiejszego „zmywaka". Miałam starszą panią wyręczać w zakupach, nakrywaniu i sprzątaniu ze stołu, zmywaniu. Od razu po przyjeździe zostałam wysłana na targ. Raz w tygodniu, w czwartek, zjeżdżali okoliczni farmerzy z własnym towarem, a po świeże i lokalne produkty (wtedy jeszcze bez ideologii, która dzisiaj im towarzyszy) przychodziła cała okolica. Według instrukcji Madeleine (zawsze w fartuchu w niebiesko-białe paski) spisałam listę zakupów, bo nie było pewności, czy kucharka umie pisać. Karczochy, melon, kartofle, sałata, pomidory, marchewka, winogrona, sery. Nazajutrz na obiad zaplanowano solę, jako entrée melon. Zostałam przeszkolona, po czym rozpoznać dojrzały melon – (nacisnąć na biegun, ma być miękki), jakie wybrać karczochy (zielone, bez żółtych plam, z soczystymi liśćmi). – Czy mogę kupić banany? – spytałam nieśmiało, jako dziecię Polski Ludowej, gdzie banan był symbolem luksusu. – Banany to zimowe owoce – pouczyła Madeleine. – Teraz jest sezon na melony i brzoskwinie. Ale kup, kup, oczywiście.

Wyzwaniem okazał się wybór pont-l'Évêque, normandzkiego sera w typie camemberta. Miałam naciskać na środek, sprawdzając, czy środek jest miększy niż reszta, ale żeby, broń Boże, ser nie płynął. Dziewiętnastoletni człowiek, który znał tylko sery tylżycki i edamski, czuł się zestresowany odpowiedzialnością, która spoczęła na jego barkach. Jeszcze gorsze były ryby. Miotający się na straganie sprzedawca, który głośno żonglował morskimi tworami, był onieśmielający. Ale poinstruowana, że mam powiedzieć, iż chodzi o ryby dla państwa D., miałam łatwiejsze zadanie. – Aa, pour madame D.! – wykrzyknął pan rybiarz. – Ca c'est autre chose! (To co innego!).

Wreszcie, ciągnąc za sobą wózeczek z zakupami francuskiej gospodyni domowej, mogłam wrócić w poczuciu wykonanej misji i po pierwszej lekcji kuchni francuskiej. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

MAŁY MIEJSKI „SAMOCYKL"

Seat Minimó to wymarzony pojazd dla pracowników tych zagłębi biurowych, które dzięki przekupnym lub głupim urzędnikom dostały zgody na budowę mimo o wiele za małej liczby miejsc parkingowych. Dwuosobowe autko – zaprezentowane na Mobile World Congress w Barcelonie – skrzyżowanie kompaktowego samochodu i motocykla, ma zaledwie 2,5 m długości i 1,24 m szerokości, co znacząco ułatwia poszukiwanie miejsca parkingowego.

Waży niecałe 425 kg, dzięki czemu maksymalny zasięg na jednym ładowaniu wynosi 100 km. Niby szału nie ma, ale na dojazd do biura i z powrotem spokojnie wystarczy. Mały seacik ma być też naszpikowany elektroniką, dzięki czemu, gdy prawodawcy dadzą zielone światło autom autonomicznym na poziomie czwartym, będzie mógł całkowicie przejąć obowiązek żmudnego prowadzenia po zakorkowanym mieście. Miejski mikroseat ma wejść do seryjnej produkcji już w roku 2021. I może być poważnym konkurentem dla modelu Twizy ze stajni Renault.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CUPRA FORMENTOR – HYBRYDOWY CROSSOVER

Tego modelu nie da się przeoczyć na ulicy. Agresywna linia nadwozia, kubełkowe fotele, sportowa kierownica i cyfrowe zegary. Tak prezentuje się pierwszy własny model marki Cupra. Formentor ma być hybrydą o łącznej mocy 245 KM i maksymalnym zasięgu na prądzie wynoszącym 50 km. Prędkość maksymalna ma wynieść 250 km/godz. Zaprezentowana wersja to na razie tylko auto koncepcyjne, ale już wkrótce SUV coupé o sportowym charakterze ma się przeobrazić w model seryjny.

ELEKTRYCZNY MACAN...

W 2022 r. na ulice ma wyjechać nowa generacja kompaktowego SUV-a spod znaku Porsche. Samochód będzie zasilany wyłącznie silnikiem elektrycznym. Wcześniej, bo pod koniec obecnego roku, na rynek mają trafić pierwsze egzemplarze Taycana, czyli pierwszego sportowego auta niemieckiego producenta wyłącznie z elektrycznym napędem.

To z pewnością nie koniec premier elektryków tej marki, bo do 2022 r. Porsche planuje zainwestować w elektromobilność ponad 6 mld euro. Do 2025 r. udział „elektryków" w gamie modelowej Porsche ma zaś wynieść 50 proc.

... I SUPERSZYBKA 911

Zaledwie 8,1 s potrzebuje Porsche 911 GTstreetRS na rozpędzenie się od zera do... 200 km/godz. Pierwsza setka na liczniku pojawia się po zaledwie 2,5 s, a maksymalna prędkość tego potwora została elektronicznie ograniczona do 340 km/godz. Specjalna wersja Porsche 911 Turbo S – przygotowana przez specjalistów z firmy tuningowej TechArt – ma pod maską 3,8-litrową turbodoładowaną jednostkę sześciocylindrową o mocy 770 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 920 Nm. Do tego w standardzie każdy klient otrzyma m.in. kask rajdowy i specjalną torbę do jego noszenia. Cena? Na razie nie została ujawniona, ale ona też z pewnością będzie robić oszałamiające wrażenie. ©℗

oprac. Jacek Przybylski

eprasa.pl 5ea8026dbc

Wtorek 21:30

KONIEC systemu

Zapraszam
Dorota Kania

REPUBLIKA

Oglądaj również Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 5ea8026dbc

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wściekłe naśladownictwo

Wzeszłym roku ukazał się u nas wywiad rzeka z jednym z najwybitniejszych współczesnych antropologów, René Girardem. Pierwsze wydanie rozmowy z autorem „Kozła ofiarnego" ukazało się w 2007 r. Francuski badacz mimetycznego (odtwarzanego) mechanizmu mordu założycielskiego zmarł trzy lata przed ukazaniem się polskiej edycji rozmowy („Apokalipsa tu i teraz").

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

René Girard pod wieloma względami jest przeciwieństwem tego, co współcześnie kryje się pod nazwą „francuski antropolog" (czytaj: neomarksista, neokonstrukcjonista, lata świetlne oddalony od szukania jakiejkolwiek inspiracji w chrześcijaństwie). Girard to nawrócony na katolicyzm agnostyk, a jego konwersja w dużej mierze nastąpiła pod wpływem prowadzonych przezeń badań nad mechanizmami powstawania mordu założycielskiego jako podstawy ładu społecznego i politycznego wszystkich społeczności, od czasów prehistorycznych poczynając. O tym pisał w swoim przełomowym „Koźle ofiarnym". Tam wskazał, że męka Chrystusa była ostatecznym obnażeniem niesprawiedliwości tkwiącej za odtwarzaną regułą szukania niewinnej ofiary przelewającej krew „za naród".

Religia, zwłaszcza religia chrześcijańska, jest dla Francuza kluczową kategorią, zarówno w sensie intelektualnym, jak i duchowym. Jak pisze we wprowadzeniu do „Apokalipsy tu i teraz": „Ludzkość wywodzi się z ofiary, jesteśmy więc dziećmi religii". Trzeba przyznać – wstrząsające twierdzenie. Nie tylko dlatego, że mówimy o reprezentancie współczesnego francuskiego życia naukowego, które jako żywo podąża w swoich ustaleniach zupełnie w innym kierunku. Wywody Girarda, które sprowadzają się do przypominania o ofiarniczym charakterze religii, zwłaszcza religii chrześcijańskiej, muszą dzisiaj brzmieć jak nowość także dla wielu ludzi Kościoła, bynajmniej nie tylko świeckich. Wielu z nich zdaje się bowiem zapominać, że ksiądz jest przede wszystkim kapłanem – ofiarnikiem, a nie pracownikiem pozarządowej organizacji charytatywnej.

René Girard w swoim ostatnim wywiadzie rzece dużo miejsca poświęca także relacjom francusko-niemieckim. Przyzwyczailiśmy się traktować współpracę Paryża i Berlina jako oś europejskiej integracji; jako warunek powodzenia „projektu Europa". Francuski uczony – co także odróżnia go od znakomitej większości świata akademickiego po obu stronach Renu – mówi tymczasem rzeczy niepokojące. Przypomina, że raczej nie współdziałanie, a „tajemnicza nienawiść między Francją a Niemcami była alfą i omegą Europy". Bez zrozumienia francusko-niemieckiej konfrontacji, „wypełnionej równocześnie fascynacją i nienawiścią", nie będziemy w stanie dostrzec czegoś „decydującego dla zrozumienia świata, do którego wkroczyliśmy".

Decydujący jest zaś mechanizm „wściekłego naśladownictwa" między Francją a Niemcami, który w XIX i XX w. popchnął całą Europę do „szukania skrajności". Najpierw w 1914 i potem w 1939 r. Najgorsza jest więc tendencja do „zbytniego naśladownictwa", która prostą drogą wiedzie do „ambiwalencji wojny i pokoju, porządku i chaosu". Co gorsza, nie ma gwarancji – zdaniem Girarda – że ten mechanizm nie powtórzy się w relacjach francusko-niemieckich także w naszych czasach.

Wywody francuskiego antropologa przyszły mi na myśl przy okazji kolejnych medialnych doniesień o nowych wersjach „wizjonerskiego planu naprawy UE", regularnie wysuwanych przez francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona. Kolejne wizje sprowadzają się do opracowania kunsztownego mechanizmu transferu niemieckich pieniędzy do francuskiego budżetu. Niemiecka kanclerz doskonale zdaje sobie z tego sprawę i tym goręcej zapewnia o „nienaruszalności francusko-niemieckiej przyjaźni" jako „fundamencie zjednoczonej Europy". Tyle że za górnolotnymi deklaracjami nie idą żadne konkrety. Modelowym wręcz przykładem takiego działania niemieckiej dyplomacji jest podpisany w Akwizgranie 22 stycznia 2019 r. traktat o współpracy i integracji francusko-niemieckiej. Dużo wielkich słów, mało konkretów. Nad Sekwaną zdają sobie chyba sprawę z tego manewru Angeli Merkel, stąd ostatnia wolta Paryża w sprawie dyrektywy gazowej UE.

Tak wygląda w naszych czasach „wściekłe współzawodnictwo" na górnolotne frazesy. Alfa i omega współczesnej Europy. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Wydłużone rzęsy oraz adwokat

Wyobrażają sobie państwo, że przychodzi do państwa facet i mówi: „Ty, jesteś winny 50 tys. zł, oddawaj”? Są tu możliwe różne scenariusze zachowania się, w zależności od kontekstu. Jeżeli facet cedzący ową frazę jest typologicznie fizyczną popierdółeczką, a my żadnych pieniędzy od niego nie braliśmy (niby skąd popierdółeczka miałaby mieć 50 tys.?), mówimy mu np. tak: „Spaceruj ode mnie w odległości dalszej, w dystansie, znaczy się, lamusie”. Następnie kontynuujemy anemiczne piłowanie paznokci, przyznaję – nieco na pokaz. Jeżeli facet jest jednak typem karka oraz wysuwa głowę ze szczęką dolną do przodu przy mówieniu, to robimy szybki przegląd znanych nam bardziej karków, bardziej wysuwających głowę ku przodowi z mocniejszymi szczękami dolnymi, które mogłyby być użyteczne w pełnych napięć negocjacjach i gramy delikatnie na zwłokę. Jeżeli natomiast jest to wydłużony adwokat i mówi poważnie, to oznacza, że akcja dzieje się w Polsce, w naszej skomplikowanej ojczyźnie. Gdyż w Polsce może się wydarzyć wiele.

W Polsce można serio przez media żądać 50 tys. zł publicznie od kogoś, nie przedstawiając żadnych dowodów, żadnego pokwitowania, że ten ktoś pieniądze wziął. Legalnie można to robić, serio, przez np. wydłużonego adwokata. Więcej. Można żądać 50 tys. od kogoś, wiedząc, że ten ktoś tych pieniędzy nie wziął. To się naprawdę wydarzyło, gdyż… Gdyż w Polsce może się wydarzyć wiele.

Ja kocham Polskę bardzo, ponieważ mnie zaskakuje. À propos różnych zaskakujących wydłużeń, to są np. bardzo wydłużone rzęsy na twarzy pani gangsterowej Moniki Banasiak, która szerzej jest znana jako żona gangstera „Słowika”, ale to krzywdzące uproszczenie odzierające ją z części jej wydłużonego nie tylko przez rzęsy i więzienie życiorysu. Otóż pani gangsterowa jest też pisarką (tak twierdzi) oraz kołczem, znaczy trenerem, tak się przedstawia, i przyznam, że nie zdążyłem sprawdzić, o co tu chodzi z tym kołczem i obiecuję, że nie sprawdzę, bo mi się nie chce. Przecież chodzi o coś innego.

Chodzi o to, że pani pisarka poczuła się okradziona przez Vegę Patryka ze swego życiorysu, który ma ponoć punkty bardzo zbieżne z życiorysem pewnej kostropatej pani w filmie „Kobiety mafii 2” zwanej Spuchniętą Anką. W tym filmie ujmująco głupia główna bohaterka siedzi trochę w więzieniu, trochę sprzedaje swoje stare torebki i buty bardzo markowe oraz robi rzeczy stawiające ją w świetle całkowitego braku ajkju. Tymczasem pani pisarka m.in. mówi, że Vega okradł ją z życiorysu, i to jest moim zdaniem naprawdę odważne. I brawa dla tej pani.

Teraz pani z wydłużonymi rzęsami może, nieco wzorując się na innym wydłużonym, rzec reżyserowi Patrykowi: „Ty, jesteś winny 50 tys. zł, oddawaj”. Kocham Polskę, ponieważ w Polsce gangsterka miesza się czasem z polityką wprost. I trudno powiedzieć, kto się tu kim inspiruje… ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Anatomia fake newsa

Według współczesnych standardów medialnych nie jest to historia nowa, ale od strony mechanizmów manipulacji zarówno pouczająca, jak i ponadczasowa.

Rzecz wydarzyła się w środowy poranek 20 lutego, chwilę po tym, gdy perturbacje po konferencji bliskowschodniej oraz rasistowska wypowiedź szefa izraelskiego MSZ o „Polakach, którzy wyssali antysemityzm z mlekiem matki” stanowiły główny temat dyskusji w obydwu państwach. Właśnie wtedy napisał do mnie znajomy dziennikarz z Tel Awiwu, informując, że największe telewizje i portale internetowe (dla odmiany) przekierują swoją uwagę na akt profanacji cmentarza żydowskiego w Świdnicy, dokonany rzekomo w odwecie za upokorzenie dyplomatyczne, które spotkało polski rząd ze strony Izraela. W końcu w takim duchu od kilkunastu godzin pisał niemal każdy: od „The Jerusalem Post” do „The Times of Israel”, podając depeszę szacownej, założonej w 1917 r. żydowskiej agencji informacyjnej Jewish Telegraphic Agency.

Otóż jej dziennikarz – powołując się na relację portalu wMeritum.com, stanowiącego fakenewsowy klon polskiego wMeritum.pl, który z kolei bazował na nieznanym (a również publikującym tajemniczego pochodzenia dezinformację polityczną) portaliku Publiszer.pl – stworzył informację, której nie sposób nie nazwać inaczej niż bronią propagandową. Bez żadnego sprawdzenia faktów u źródeł w świat poszła historia o 15 wywróconych świdnickich nagrobkach oraz antysemickiej zemście, a żeby uwiarygodnić tę historię, o komentarz poproszono nieświadomą manipulacji członkinię Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP.

Gdy zwróciłem na Twitterze uwagę na zdjęcie obrazujące artykuły, dosyć szybko się okazało, że mówimy nie o Świdnicy, ale o Olkuszu, nie o 2019, ale kwietniu 2015 r., i nie o antysemityzmie, ale satanistycznej profanacji cmentarza. W newsie podawanym bezrefleksyjnie przez izraelskich dziennikarzy nie zgadzało się właściwie nic ponad to, że suflowana za jego pomocą teza o mściwych Polakach wcale nie musi być odległa od słów Israela Katza.

Po tym, jak postanowiłem działać, informować o sprawie znajomych dziennikarzy i dyplomatów, w ciągu kilku godzin, za sprawą interwencji m.in. ambasadora Marka Magierowskiego, udało się zmusić izraelskie portale do sprostowania, a agencję informacyjną do wysłania korygującej depeszy.

Proszę sobie jednak wyobrazić, ilu podobnych spraw nie dostrzegamy i jak wielu kłamstw nie dane nam było odkręcić. Na sam koniec sprawy jeden z dyplomatów napisał mi: „Chyba rosyjska ambasada w Tel Awiwie może być dzisiaj z siebie dumna”. Im bardziej jako państwo będziemy na punkcie dezinformacji czujni, tym mniej będzie ona miała powodów do radości. ©℗

eprasa.pl 5ea8026dbc

OKIEM BLOGERKI

Giertych kontra Giertych

KATARYNA

***ROMAN GIERTYCH:* Przeczytałem tekst w „GW" o ks. Jankowskim. Jeśli to prawda, to należy jego pomnik rozebrać, nazwy ulic czy placów zmienić i odebrać mu wszystkie ordery i medale, które otrzymał (w tym ten, który mu dałem jako szef MEN za zasługi w okresie Solidarności).**

Kiedy przeczytałam ten komentarz, poczułam coś między zażenowaniem a obrzydzeniem. Zbyt dobrze pamiętam okoliczności przyznania księdzu Medalu Komisji Edukacji Narodowej – najwyższego odznaczenia przyznawanego „za szczególne zasługi dla oświaty i wychowania". Wbrew temu, jak próbuje to dzisiaj przedstawiać Giertych, Jankowski dostał je od niego nie za „zasługi w okresie Solidarności", ale jako zadośćuczynienie za krzywdy wyrządzone mu przez „Gazetę Wyborczą". Mówił o tym wprost sam Giertych na uroczystości wręczenia medalu.

Giertych świetnie wiedział o oskarżeniach o molestowanie, demoralizację i rozpijanie nieletnich

„Oto osoba potraktowana przez Trzecią RP w sposób, który zasługuje na zadośćuczynienie. W roku 2003 nastąpił zmasowany atak na księdza prałata ze strony gazety, która kiedyś miała czelność posługiwać się znaczkiem „Solidarności" – to fragment laudacji wygłoszonej przez Giertycha na cześć Jankowskiego, już po serii artykułów o molestowaniu i rozpijaniu nieletnich, skutkujących nie tylko prokuratorskim śledztwem, lecz także wewnętrznym postępowaniem w samym Kościele, w którego efekcie ksiądz Jankowski został pozbawiony probostwa w parafii św. Brygidy. „Powodem jest nieład etyczny tolerowany na plebanii, o czym mówię nie tylko na podstawie prowadzonej już wtedy przez prokuraturę sprawy o molestowanie, lecz także w oparciu nie o toczące się postępowanie prokuratorskie, ale o rozmowy z rodzicami, przychodnią narkotykową, psychologiem szkolnym, a także z kapłanami, którzy przecież nie mieszkają na Księżycu, ale na plebanii św. Brygidy" – tak arcybiskup Gocłowski tłumaczył swoją decyzję, i to tłumaczenie miał okazję poznać Giertych na długo, zanim zdecydował się wygłosić płomienną mowę o księdzu – wychowawcy młodych pokoleń i wzorze dla młodzieży. „Mógłbym wymienić bardzo wiele zasług księdza prałata Jankowskiego, ale nie w dziedzinie edukacji. Dlatego jestem tą inicjatywą zadziwiony i wyrażam współczucie panu ministrowi Giertychowi" – to też Gocłowski.

Przyznając w 2007 r. księdzu Jankowskiemu najwyższe resortowe odznaczenie „za szczególne zasługi dla oświaty i wychowania" (!), Giertych świetnie wiedział o oskarżeniach o molestowanie, demoralizację i rozpijanie nieletnich, bo wiedzieli o nich wszyscy, wiedział też od samego arcybiskupa, że zarzuty nie są wyssane z palca, a pewnie jako urzędujący wicepremier miał też możliwości dyskretnego zweryfikowania ich w prokuraturze i służbach. Nie zrobił tego, bo z księdzem było mu politycznie po drodze. Dzisiaj jest mu po drodze z „Gazetą Wyborczą", więc jest pierwszy do zdzierania z nieżyjącego prałata przyznanego przez siebie medalu i obalania pomnika. Pomnika, który stoi dzięki licznym tchórzom, którzy wiedzieli, ale milczeli, i cynikom, którzy wiedzieli, ale wybielali. Jedni i drudzy dzisiaj pierwsi do zapasów z trupem, bo teraz to się politycznie opłaca. ©℗

PODSŁUCHANE

Dajemy młodym szanse

Panie generale, co tam wyje pod oknem?
To chyba nasze auto... To znaczy to, którym mnie przywieźli.
Nie można tego wyłączyć? Po cholerę pan tu w ogóle na bombach podjechał do ministerstwa? Przecież pan już SOP-em nie kieruje.
No tak, ale na pożegnalne spotkanie z panem ministrem mnie chcieli jeszcze przywieźć chłopaki z wdzięczności i znowu im się przypadkiem syrena włączyła. I się zacięło, i nie umieją wyłączyć. Proszę poczekać, może ja im przez okno tam powiem... Hej, Wojtek! Weź może akumulator odłącz! Że co? Znowu wam się samochód zatrzasnął? To zadzwońcie do tej firmy od otwierania zamków. Tak, tej co poprzednio! Już, panie ministrze, przepraszam.
A za co oni są panu tak wdzięczni?
Ja im dałem szansę rozwoju. O, np. ten Wojtek. Na busie w Wiśle jeździł jeszcze rok temu, a teraz z ministrami zasuwa w kolumnie. Albo ten Karol, ten, co z prezydentem jeździ – cztery miesiące temu jeszcze w spożywczym palety rozpakowywał.
Matko Boska, niech się pan tym nigdzie nie chwali!
Ale dlaczego? Przecież o to chodzi: dajemy młodym szansę rozwoju, zdobycia doświadczenia, przygody. Nawet takie hasło wymyśliłem: „Sprawdź się w SOP-ie, dzielny chłopie!". Dobre, co nie? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kaczyński swoją rodzinę już oszukał. Teraz chce oszukać każdą rodzinę w Polsce".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 5ea8026dbc

fot. Jerzy Gumowski

Symetria

Furorę robi nad Wisłą od paru miesięcy słowo *„symetria”* (plus jego pochodne: *„symetryzm”* i *„symetryści”*). Mianem (zazwyczaj epitetem) *„symetryści”* określa się figury publiczne, które stoją w rozkroku między dwoma obozami zwalczającymi się w Polsce dzisiaj, lub przynajmniej komentują/krytykują działania obu stron stosując te same kryteria, bez ulgowej taryfy. Michał Szułdrzyński o dziennikarzach niepodporządkowujących się drapieżnym regułom *„wojny polsko–polskiej”*: *„Tych niewielu, którzy nie chcą się poddać logice sporu politycznego i czasami robią szpagat, nazywa się symetrystami”* (2018). Niegdyś nazywano to obiektywizmem, a nie *„symetryzmem”*, i uważano za cnotę. Bywało, że kosztowną, co się nie zmienia — głośne są dziś dymisje dane przez Salon paru *„pismakom”* (Rafał Woś, Grzegorz Sroczyński), którzy popełnili *„błąd symetryzmu”*.

Furorę słowo *„symetria”* robi na wielu estradach, od filmu (exemplum **„Symetria”** Konrada Niewolskiego, o relatywizmie dobra i zła), do liftingu i sportu. Dzięki książce Piotra Zachary **„Zrobieni. Co może medycyna estetyczna w Polsce”** (2018) wiemy, iż ci, którym chirurdzy plastyczni zdeformowali twarz (miast upiększyć), pocieszają się głosząc, że *„symetria jest logiką głupców”* (starożytni i renesansowi artyści uważali na odwrót: że jest ona logiką mistrzów). W sporcie symetria bywa królową nie tylko przez równe wielkości rywalizujących zespołów, lecz i wynikowo, a sportowcy nierzadko frustrują się tym, czyli remisem (gdy można było wygrać). Królem pechowców uznano tu Sammy'ego Wynne'a, obrońcę Manchesteru United, który A. D. 1923, w meczu zremisowanym 2:2 z drużyną Oldham, strzelił wszystkie cztery bramki. Dawne strzelanie pojedynkowe także miewało symetryczny efekt, wedle zasady *„nieszczęścia chodzą parami”* tyczącej symetrycznego fatum. Myślę zresztą nie jedynie o symetrii polegającej na równoczesnym okaleczeniu lub zabiciu obydwu rywali, ale też o dziwniejszych losowych aspektach. Dwaj najwięksi rosyjscy poeci, Puszkin i Lermontow, zginęli w pojedynkach, zabici przez oficerów Pułku Kawalergardów, Dantesa i Martynowa. Tragiczne zgony lubią owocować bulwersującą symetrycznością. Według sporej liczby Polaków krypta wawelska została zaśmiecona grobami dwóch polskich przywódców, którzy zginęli w katastrofach lotniczych obrośniętych spiskową mitologią, pełną podejrzeń.

Padło wyżej określenie *„logika głupców”*. Jakże często rządzi ona mędrkowaniem–symetryzowaniem. Drastyczny tego przykład to dywagacje endeka Adama Wielomskiego o równorzędności stacjonowania w Polsce wojsk sowieckich i amerykańskich (*„to wszystko już było”*, itd. — 2017). Z Rosją i Ameryką *„wszystko już było”* w zupełnie innych sprawach, poczynając od symetrycznego (także chronologicznie) zdiagnozowania ich systemów politycznych i charakterów narodowych. Za najlepsze rozprawy o tym uchodzą (po dziś dzień!) prace dwóch francuskich arystokratów (hrabia de Tocqueville i markiz de Custine) opublikowane w czwartej dekadzie XIX w. dzięki wojażom odbytym przez tych panów do tych państw. I kontynuując jeszcze temat symetryzmu między USA a Rosją — warto zauważyć, że Kreml nie przegrywa rywalizacji tylko w konkurencji wzajemnego wydalania dyplomatów–szpiegów (wydala liczbę *„symetryczną”* wobec wydalonych przez zachodnie państwo), lecz od dekad przegrywa planując symetryczność zbrojeniową (lub przynajmniej rakietową) ze Stanami; te parytetowe wysiłki (ściganie jankeskich *„gwiezdnych wojen”*) doprowadziły ZSRR do krachu ekonomicznego skutkującego upadkiem politycznym. Wojenna symetryczność zawsze w historii była ceniona (równej wielkości armie, itp.), lecz nie zawsze winna być polecana. Michał Fiszer: *„Gdyby Amerykanie chcieli w sposób symetryczny odpowiedzieć na muzułmańskie ataki z 11 września, to Delta Force powinna porwać samoloty jakichś arabskich linii lotniczych i rozbić je o meczety w Mekce i Medynie”* (2017).

Henryk Sienkiewicz: „Doskonała równowaga jest genialnością”

Niektórzy publicyści, miast symetryzować relacje mocarstwowe (choćby amerykańsko–rosyjskie) — symetryzują stosunki polsko–żydowskie, równając antysemityzm i antypolonizm. Ma to długą brodę i tyczy nawet *„marcowego antysyjonizmu”*, panuje bowiem idealna symetria w egzegezach tyczących spowodowanego moczarowskim Marcem '68 exodusu z Polski 15 tysięcy polskich Żydów. Salon rozgłasza, że tych nieszczęśników wypędzono poza umiłowaną przez nich ojczyznę, natomiast część antySalonu perswaduje, że to było 15 tysięcy farciarzy, którym dano paszporty i możliwość wyjechania z totalitarnego parałagru, czyli coś, o czym rdzenny Polak (goj) mógł wtedy tylko marzyć, a wielu marzyło o wydostaniu się (hr. Plater załatwił sobie w tym celu żydowskie papiery, co zostało tak skomentowane przez satyryka Janusza Szpotańskiego: *„To żaden wstyd, że hrabia Plater jedzie jako Żyd”*). Ci drudzy mają słuszność, ale ci pierwsi (salonowcy) mają słyszalność, i to też jest symetria swego rodzaju. Świat zna niewiele przypadków przerobienia eskapologii na martyrologię.

W dzisiejszej polityce międzynarodowej *„symetryzm”* to częsty *„modus operandi”*. Wiele państw stara się balansować symetrycznie pomiędzy mocarstwami, co szczególnie przy próbach utrzymywania równych stosunków z Chinami kontynentalnymi i Tajwanem stanowi gimnastykę akrobatyczną. Świat zna to od dawien dawna. Gdy sojusznik ZSRR, dyktator Jugosławii, Josip Broz–Tito, zaczął w 1948 roku współpracować także z krajami zachodnimi — prezydent Egiptu, Gamal Naser, powiedział: *„ — Od marszałka Tito nauczyłem się korzystać z pomocy dwóch wrogich sobie stron, nie przechodząc na żadną z nich”*. Finalnie taki balans wyszedł bokiem Jugosławii, gdyż dobiły to państwo NATO–wskie bombardowania dywanowe roku 1999 (z inicjatywy USA), będące karą za prorosyjskie sympatie Belgradu, a prezentowane bezczelnie jako humanitarny akt obrony albańskich (kosowskich) muzułmanów.

Dzisiaj najbardziej bezczelną *„symetryczność”* międzypaństwową notują stosunki polsko–ukraińskie. Orężem politycznym Kijowa stało się równoważenie (symetryzowanie) *„masowych zbrodni Polaków i Ukraińców”*. Roku 2016 kilkanaście ukraińskich person (w tym dwóch byłych prezydentów, Krawczuk i Juszczenko) wystosowało publicznie ***„List Ukraińców do Polaków”***, apelując o wzajemne wybaczenie sobie win *„symetrycznych”*, obciążających obie nacje tak samo. Podczas niedawnej (lipiec) rocznicy *„krwawej niedzieli”* (kulminacji ludobójstwa wołyńskiego) prezydent Duda złożył na Wołyniu wieniec tam, gdzie UPA dokonała masowej rzezi Polaków, a prezydent Poroszenko, dla stworzenia *„symetryczności”* polskich i ukraińskich przewin, tego samego dnia o tej samej godzinie złożył wieniec w Sahryniu, gdzie poległo paru Ukraińców.

Polsko–izraelskie stosunki też czasami notują symetryczny casus. Wspólna deklaracja premierów Izraela i Polski, towarzysząca *„znowelizowaniu nowelizacji”* (czyli utrąceniu nieszczęsnej nowelizacji ustawy o IPN), wywołała identyczną, pełną zarzucania *„zdrady”* furię miniśrodowisk ekstremistycznych tak w Polsce (vide wszelacy *„odleceni”* typu reżysera Grzegorza Brauna), jak też w Izraelu (vide polakożercy typu ministra edukacji, Naftali Bennetta). Pełna symetryczność: i tu, i tam, po obu stronach, piętnowanie renegatów/zaprzańców, którzy przehandlowali narodową godność oraz państwowy interes.

Sam również jestem *„symetrystą”* — przy goleniu nucę sobie zazwyczaj dwie melodie: **„St. Louis Blues”** (1914) Williama Christophera Handy'ego oraz **„Windmills of Your Mind”** (1971) Michela Legranda. I niezmiennie biję pokłony przed najpiękniejszą (moim zdaniem) symetrią malarską wszech czasów — **„Śmiercią Prokris”** Piera di Cosimo (1505). ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 5ea8026dbc

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYK
ŁUKASZ DRAPAŁA | MAREK PIEKARCZYK | JAKUB WOCIAL | KRZYSZTOF KILJAŃSKI
ORAZ ORKIESTRA POLSKIEJ FILHARMONII BAŁTYCKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

Niezapomniany koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

GDAŃSK

POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

18 MARCA 2019

GODZ. 20.00

Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego

BILETY DOSTĘPNE
W KASACH FILHARMONII BAŁTYCKIEJ

Bilety24
WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | /GINTROWSKI.PRZEMYSLAW | #GINTROWSKI

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

MECENAS KONCERTU: LOTOS

PARTNERZY: LOTTO, Poczta Polska, GDAŃSK

PATRONI MEDIALNI: trojmiasto.pl, Zarząd Transportu Miejskiego w Gdańsku, Do Rzeczy, wprost

eprasa.pl 5ea8026dbc